Jakub Augustyn Maciejewski
HOMOIDEOLOGIA. HISTORIA PRAWDZIWA

Piotr Lisiewicz
WIATR W ZŁOCISTYCH WŁOSACH I SZMUGIEL PRZEZ GÓRY

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

JAN OLSZEWSKI

1930-2019

PRO MEMORIA

#156 3/2019 NOWE

cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 14 330 indeks 211060 #156 3/2019

fot. Ireneusz Radkiewicz/PAP

ISSN 1895-4960

eprasa.pl d14e7ac149

PRO MEMORIA ▼ 4–25

fot. Radek Pietruszka/PAP

Kierunek Zachód / 4

IDEE ▼ 26–33

Homoideologia. Historia prawdziwa / 26

HISTORIA ▼ 34–63

fot. NAC

Wiatr w złocistych włosach i szmugiel przez góry / 34

KULTURA ▼ 68–72

fot. MAT PRAS

Egzorcyści kontra zombie / 68

ŚWIAT ▼ 74–97

fot. MICHAEL KLIMENTYEV/PAP/EPA

Nowatorska rakieta Putina / 74

Spis treści

PRO MEMORIA

Tomasz Sakiewicz
Kierunek Zachód /4

Marcin Gugulski
Rząd Olszewskiego – u progu niepodległości /8

Ryszard Czarnecki
Jan Olszewski i początki przemysłu pogardy /11

Maria Dłużewska
Odwaga jako choroba zakaźna /12

archiwalna rozmowa Katarzyny Gójskiej z Janem Olszewskim
Powołanie mojego rządu to był prawdziwy cud /16

archiwalny tekst Jacka Kwiecińskiego
Jan Olszewski 1991. Idee polityczne adwokata, które doprowadziły do starcia 4 czerwca 1992 /22

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Homoideologia. Historia prawdziwa /26

Małgorzata Matuszak
I nie opuszczę cię aż do rozwodu... /32

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Wiatr w złocistych włosach i szmugiel przez góry /34

Dariusz Jarosiński
Polskie Orły i Orlęta /40

Magdalena Złotnicka
Tolo niedźwiadek i wiosna na Bałutach /46

Agnieszka Kowalczyk
O czym ryby śpiewają w Ukajali /52

Ewa Poak-Pałkiewicz
To szaleństwo było jego szczęściem /58

KULTURA

Krzysztof Karnkowski
Egzorcyści kontra zombie /68

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Nowatorska rakieta Putina /74

Hanna Shen
Trzy reżimy /80

Stefan Czerniecki
Jak polskie miasto stało się Jemenem /84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

oprac. Antoni Rybczyński
„Dzikie gęsi" czy „Psy wojny"? /94

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Cześć i chwała Bohaterowi!
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... pycha
KATECHIZM INTELIGENTA 64

Waldemar Milewicz
PPK dla naszego dobra
SŁOWEM O GOSPODARCE 66

Ryszard Czarnecki
Polska – kraj unikatowej ordynacji europejskiej
CZARNECKO TO WIDZĘ 67

Marek Kalinowski
Za górami, za Sejnami
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 72

Olga Doleśniak-Harczuk
Głód wiedzy lubi samotność
Z GLOBALNEGO TYGLA 90

Marcin Wolski
Prawda czasu, prawda propagandy
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Państwo naturalne
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 00 90 wew. 3
prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
47124010531111001019991772

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl d14e7ac149

Katarzyna Gójska

Cześć i chwała Bohaterowi!

Tym numerem „Nowego Państwa" oddajemy hołd świętej pamięci premierowi Janowi Olszewskiemu. Odszedł bowiem człowiek wybitny, który zmienił historię Polski.

Przez całe lata w przestrzeni publicznej funkcjonował wypaczony wizerunek Jana Olszewskiego. Ukazywany był jako polityk nieskuteczny, a wręcz swą nieporadnością blokujący dobre zmiany w naszym kraju. Misterne budowanie całkowicie niesprawiedliwego i zmanipulowanego wizerunku pierwszego premiera Rzeczypospolitej wyłonionego w wolnych wyborach trwa od lat. Niestety uczestniczą w tym procesie także publicyście cenieni przez niepodległościową część polskiego społeczeństwa. Warto zadać pytanie: jak to jest, że wobec kogoś podobno tak nieskutecznego i beznadziejnego przez ponad dwie dekady prowadzono regularną akcję oczerniającą – z różnym natężeniem, w zależności od potrzeb – ale jednak nieustannie? Dlaczego postkomunistyczne media tak wiele energii włożyły w to, by z premiera Olszewskiego uczynić człowieka szalonego i nieobliczalnego? Czy dlatego, iż był tak słaby, czy raczej dlatego, że miał odwagę naruszyć żywotne interesy postsowieckich beneficjentów III RP? Wspominając świętej pamięci Jana Olszewskiego, prezes Prawa i Sprawiedliwości powiedział, że bez jego determinacji i odwagi wejście Polski do NATO nie byłoby możliwe w 1999 roku. To właśnie jego gabinet uniemożliwił pozostanie Sowietów w paramilitarnej formie na terytorium RP – w tej kluczowej dla naszej przyszłości sprawie był tak skuteczny, jak to tylko możliwe. Efektem pracy gabinetu niezłomnego obrońcy w procesach politycznych był także pierwszy zbilansowany budżet. Zatrzymanie złodziejstwa majątku publicznego, które sprzedawane było społeczeństwu jako budowanie kapitalizmu – racjonalne i jako zdrowa reprywatyzacja. To w końcu rząd premiera Olszewskiego rozpoczął proces lustracji. To prawda, iż do dziś przebiega on w bardzo ułomny sposób, jednak w na początku lat 90., niemalże tuż po wyjściu Czesława Kiszczaka z MSW, sprawdzenie przeszłości osób publicznych było heroicznym wyczynem. Idę o zakład, że podobnie jak z obraniem jednoznacznego kursu na Zachód, tak i w sprawie lustracji bylibyśmy wiele lat do tyłu, gdyby nie determinacja zmarłego kilka tygodni temu premiera. Cześć i chwała Bohaterowi! ■

Dlaczego postkomunistyczne media tak wiele energii włożyły w to, by z premiera Olszewskiego uczynić człowieka szalonego i nieobliczalnego? Czy dlatego, iż był tak słaby, czy raczej dlatego, że miał odwagę naruszyć żywotne interesy postsowieckich beneficjentów III RP?

eprasa.pl d14e7ac149

Tomasz Sakiewicz

Kierunek Zachód

Czy Polska mogłaby się znaleźć w sytuacji dzisiejszej Gruzji lub Ukrainy? Niewyobrażalne? A jednak byłoby to możliwe, gdyby nie rządy Jana Olszewskiego. Rosja, również w Polsce, chciała przeprowadzić scenariusz, który na lata zablokował wejście tych dwóch państw do struktur zachodnich. Ten scenariusz był gotowy wraz z upadkiem ZSRS.

epfasa.pl d14e7a

fot. Radek Pietruszka/PAP

Lato 2008 roku. Narasta napięcie wokół narodowościowych enklaw w Abchazji i Osetii należących formalnie do Gruzji. Z tych terenów dokonywane są nieustanne ataki na tę odrywającą się od Moskwy republikę. Na terenie obydwu enklaw stacjonują wojska rosyjskie. Po kolejnych prowokacjach i akcjach najemników przeciwko ludności cywilnej wojska gruzińskie wkraczają do autonomicznych obwodów. Za chwilę uderza na nich cała potęga rosyjska, jak się okazało – od dawna przygotowana do wojny na tym terenie. Gruzini wycofują się, a armia Putina zbliża się do Tbilisi. Marsz wojsk rosyjskich zatrzymuje międzynarodowa dyplomacja, a przede wszystkim wyjazd Lecha Kaczyńskiego z przywódcami czterech innych państw Międzymorza do stolicy Gruzji. Do ataku na Tbilisi nie dochodzi, ale Kreml okupuje obydwa okręgi autonomiczne i część samej Gruzji. Aspiracje prozachodniego rządu do NATO i UE zostają zatrzymane.

Mniejszość na Ukrainie

Podobny scenariusz realizowany jest od 2014 roku na Ukrainie. Tym razem powodem interwencji stała się mniejszość rosyjska na Krymie i Ukrainie Wschodniej. Interwencja zaczyna się, gdy zostaje obalona marionetka Moskwy – Wiktor Janukowycz – i do władzy, po buncie na Majdanie, dochodzi prozachodni rząd dążący do UE i NATO. W wyniku działania „zielonych ludzików" Krym formalnie zostaje oderwany od Ukrainy, a na Wschodzie tego kraju wojska rosyjskie okupują znaczne terytoria pod przebraniem miejscowych separatystów. Nasz wschodni sąsiad od pięciu lat pogrążony jest w permanentnej wojnie. Wszelkie dążenia do NATO i UE zostały zatrzymane. Zapewnienia, że się to zmieni, wyglądają mało wiarygodnie.

Dlaczego NATO nie broni Gruzji i Ukrainy

Uznanie przynależności Gruzji lub Ukrainy do NATO oznaczałoby przyznanie, że jakaś część Paktu jest okupowana przez wojska rosyjskie. To stawia Sojusz Północnoatlantycki na granicy wojny światowej. Zaakceptowanie włączenia okupowanych terytoriów do Rosji oczywiście nie wchodzi w grę w przypadku Tbilisi i Kijowa. Powstał więc pat. Rosja, przynajmniej na razie, nie jest w stanie podbić reszty zaatakowanych krajów, ale one nie mogą wejść do struktur obronnych, które zapewnią im bezpieczeństwo. Wojna wywołuje kryzys ekonomiczny, a Rosja próbuje wpływać na ruchy swoich przeciwników i kompromitować politykę wewnętrzną zaatakowanych państw. Na Ukrainie wspiera radykałów, którzy natychmiast pogarszają stosunki z Polską i niemal zamrażają z Węgrami. Podstawowy cel Moskwy został zrealizowany. Słabe, zdane na siebie kraje nie są w stanie trwale oderwać się od wpływów rosyjskich. Istnieje zawsze szansa, że po kolejnych kryzysach wrócą w objęcia Moskwy albo wręcz utracą państwowość.

Tak miało być w Polsce

Polska nie ma ani rosyjskiej mniejszości, ani żyjących w dużych skupiskach mniejszości innych narodowości. Czym więc mieliby tu grać Rosjanie? Enklawami rosyjskimi. Chcieli tu zostać na zawsze.

W 1991 roku na terenie Polski stacjonowało kilkadziesiąt tysięcy wojsk rosyjskich. Miały swoje bazy, które faktycznie były eksterytorialne. Od 1989 roku niemal powszechne stało się żądanie wyprowadzenia wojsk rosyjskich z Polski. Rząd Mazowieckiego nie kwapił się do tego. Realne rozmowy podjęto za czasów rządów pierwszego premiera, którego ekipa powstała dzięki całkowicie wolnym wyborom – Jana Olszewskiego. Rosjanie już wcześniej wyprowadzali swoje wojska z Europy Środkowej i był to mniej lub bardziej jawny element porozumień z USA. Nie zamierzali jednak wyjść do końca. Na Kremlu powstał plan przekształcenia baz rosyjskich w bazy ekonomiczne. Tak naprawdę to nie wiadomo, jak ich funkcjonowanie miało wyglądać. Jedno jest pewne: Rosjanie zostawiliby w Polsce tysiące ludzi w swoich dawnych enklawach wojskowych. Były tam osiedla mogące pomieścić dziesiątki tysięcy mieszkańców. W razie problemów istniały, przy większości z nich, lotniska, drogi i bocznice kolejowe. Pewnie chroniłyby je firmy rosyjskie – „zielone ludziki".

Ochrona ludności i interesów gospodarczych

Czy scenariusz gruzińsko-ukraiński w Polsce mógłby się powtórzyć? Powtórzyłby się na pewno. W imię obrony tysięcy Rosjan i interesów gospodarczych Moskwy. Pewnie sytuacja zaogniłaby się gdzieś około roku 1995, kiedy Polska zaczęła finalizować swoje starania o wejście do NATO. Łatwo można sobie wyobrazić prowokacje z udziałem mieszkających tu Rosjan. Moskwa zapewniłaby wtedy „zwiększoną ochronę", nie pytając rozbrajanej polskiej armii o zgodę. Nie musiałby paść nawet jeden strzał, ale pewna część terytorium Polski

eprasa.pl d14e7ac149

stałaby się po prostu okupowana. Resztę załatwiłoby całkowite uzależnienie od ropy i gazu, a także tysiące agentów służb komunistycznych przejętych lub szantażowanych przez Moskwę.

Polska znalazłaby się w sytuacji dzisiejszej Gruzji i Ukrainy. Ochrona ze strony Zachodu nie byłaby możliwa. Nie byłoby też możliwe w tej sytuacji wejście do Unii Europejskiej, a więc nasz poziom życia nie byłby dużo wyższy niż na Białorusi czy Ukrainie. Nieszczęście minęliśmy o włos. Zapobiegł temu Jan Olszewski.

Wałęsa chciał baz

Jan Olszewski, wbrew dzisiejszym analizom, nie parł do konfliktu z prezydentem. Jego koalicyjny i faktycznie mniejszościowy rząd szukał stabilizacji i miał z tym ogromny problem. Jednak sam program polityczny był jasny. Przede wszystkim ogłoszono chęć rozmów o wejściu do NATO. W tym celu po prostu trzeba było wyprowadzić wojska rosyjskie i wszystkich Rosjan, którzy z nimi stacjonowali. Cel był oczywisty. Jednak nie dla wszystkich. W czasie majowych (1992 rok) negocjacji, które prowadził Lech Wałęsa w Moskwie, pojawił się postulat pozostawienia w Polsce baz rosyjskich. Wałęsa chciał się na to zgodzić, czego nawet nie ukrywał. Szybki szyfrogram rządu w Warszawie zablokował mu tę możliwość. Wałęsa w ostatniej chwili wycofał się z pozostawienia w Polsce rosyjskich enklaw. Czemu zgodzili się na to Rosjanie? Ich państwo po puczu Janajewa było bardzo osłabione. Byli w ciężkim kryzysie gospodarczym i za wszelką cenę szukali porozumienia z Zachodem. Po prostu widząc opór, cofali się, i to wszędzie. Wojska rosyjskie wyszły nie tylko z Niemiec czy Polski, lecz nawet z niewielkich krajów bałtyckich. Co ciekawe, większość realnej siły zbrojnej, ze znaczną częścią broni nuklearnej włącznie, znajdowała się na wyzwalającej się Ukrainie i Moskwa ją po prostu traciła lub mogła stracić. Na awanturę z Polską nie miała wtedy siły.

Przejście do metod subtelniejszych

Wyprowadzenie wojsk rosyjskich okazało się kamieniem milowym w odzyskiwaniu przez Polskę niepodległości. Ale Moskwa miała też inne możliwości. Zaraz po negocjacjach dotyczących wycofania wojsk Wałęsa złożył wniosek o odwołanie rządu. Porozumienie mogło po prostu nie wejść w życie, gdyby Wałęsa wprowadził swój plan. Wtedy nieoczekiwanie pojawiła się sprawa lustracji agentów komunistycznej bezpieki. Wniosek zgłosił Janusz Korwin-Mikke, niebędący w koalicji rządowej. O konieczności lustracji mówiło się już wcześniej, a proces ujawniania agentów zaczęły przeprowadzać inne kraje postkomunistyczne – Niemcy i Czechy. Uchwała Sejmu nie dawała szefowi MSWiA wielkiego manewru i musiał ją wykonać. Wielu jej entuzjastów szybko ochłonęło, kiedy okazało się, że w archiwach tajnej policji byli zarejestrowani szefowie prorządowych partii. Tylko Porozumienie Centrum nie miało w swoim klubie agentów. Oczywiście akcja lustracyjna doprowadziła do przyspieszenia odwołania rządu. Jednak losy ekipy Jana Olszewskiego były już przesądzone po negocjacjach z Rosjanami. Polska poszła na Zachód. Wałęsa chciał to zatrzymać koncepcją NATO-bis i EWG-bis, ale nawet postkomuniści dogadywali się już z USA i Zachodem. Rosja nie miała siły, by wyegzekwować scenariusz, który został zrealizowany w Gruzji i Ukrainie.

Olszewski zapłacił wielką cenę polityczną za swój niezwykły czyn, ale uratował Polskę przed powrotem w łapy Kremla. Kiedyś historia doceni te pięć niezwykłych miesięcy, które dały Polsce niepodległość. ■

OLSZEWSKI ZAPŁACIŁ WIELKĄ CENĘ POLITYCZNĄ ZA SWÓJ NIEZWYKŁY CZYN, ALE URATOWAŁ POLSKĘ PRZED POWROTEM W ŁAPY KREMLA. KIEDYŚ HISTORIA DOCENI TE PIĘĆ NIEZWYKŁYCH MIESIĘCY, KTÓRE DAŁY POLSCE NIEPODLEGŁOŚĆ.

eprasa.pl d14e7ac149

Marcin Gugulski

Rząd Olszewskiego – u progu niepodległości

O rządzie Jana Olszewskiego powiedziano przez ostatnie tygodnie więcej dobrych słów niż przez poprzednie ponad ćwierć wieku.

Po wojnie żaden polski rząd nie rządził tak krótko, ale żaden też nie doczekał się równie obfitej literatury i filmografii. Teraz jednak chciałbym wreszcie przeczytać nie kolejne relacje, wywiady-rzeki, analizy czy opinie, lecz porządną, napisaną na podstawie wszystkich dostępnych źródeł historię tych nieco ponad pięciu miesięcy.

Amatorowi, choćby nawet był uczestnikiem lub świadkiem wydarzeń, niełatwo dotrzeć do dokumentów z archiwów publicznych i prywatnych, nagrań, relacji i innych źródeł, których chyba sporo się zachowało. Także te dokumenty, które 27 lat temu były opatrzone klauzulami niejawności, są już lub zapewne mogłyby być dostępne dla badaczy, bo choćby w związku z upływem czasu klauzule te z większości tych dokumentów zostały już lub z czasem będą zdjęte.

Nie byłaby to długa historia, bo żaden rząd niepodległej Polski od czasów premiera Walerego Sławka nie trwał tak krótko. Byłaby to jednak historia gęsta, bo od przedstawienia 21 grudnia Sejmowi programu i składu rządu oraz uzyskania 23 grudnia wotum zaufania do ostatniej mowy premiera i odwołania rządu nocą z 4 na 5 czerwca przez 167 dni sporo z najważniejszych punktów programu całkiem energicznie i skutecznie realizowano lub zrealizowano.

▶ NATO

Już na posiedzeniu Rady Ministrów 28 stycznia i dzień później na dorocznej odprawie kadry kierowniczej MON i Sił Zbrojnych (Radzie Wojskowej MON) diagnozie, że jesteśmy niepodlegli, lecz osamotnieni, oraz informacji o przyjętej przez rząd trwałej zmianie opcji ze wschodniej czy neutralistycznej na zachodnią towarzyszyła zapowiedź szukania bezpieczeństwa tam, gdzie ono może być zapewnione, to znaczy na Zachodzie i w NATO. Nie były to puste deklaracje, bo wcześniej przeprowadzono obiecujące konsultacje z przedstawicielami paru najważniejszych państw członkowskich NATO. Mam nadzieję, że historyk ustali i opisze, z kim, kiedy i z jakim wynikiem. 12 marca rozmowy z sekretarzem generalnym NATO Manfredem Woernerem zakończył komunikat, że drzwi do NATO są otwarte. Obie strony zadeklarowały wolę rozwijania współpracy, wskazano też, że to Polska sama zdecyduje, w jakim tempie będzie to robić. Niemal w tym samym czasie prezydent Lech Wałęsa lansował koncepcję neutralistycznego NATO-bis, a Ukraina deklarowała, że chce pozostać neutralna, poza blokami wojskowymi. Warto by ten pierwszy etap polskich starań o dołączenie do NATO przedstawić nieco bardziej detalicznie.

▶ Rosja

Podpisanie 22 maja w Moskwie układu o wycofaniu wojsk byłego ZSRS z terytorium Polski oraz innych porozumień towarzyszących traktatowi z Rosją to najtrudniejsze i w ocenie wielu autorów najowocniejsze osiągnięcie rządu. Bez niego dalsze starania o przyjęcie do NATO byłyby zapewne bezowocne, ale też bez niego wniosek prezydenta o „przezwyciężenie tego impasu" (czyli *de facto* o odwołanie rządu) być może nie zostałby złożony już 27 maja. Temat ten został, także przeze mnie, wielokrotnie[1] i dość szczegółowo opisany („...w bazach wojskowych po jeszcze nie wycofanych z Polski wojskach rosyjskich obóz promoskiewski chciał zainstalować polsko-rosyjskie spółki. Prezydent Lech Wałęsa obiecał to Rosjanom, ale w maju 1992 roku został zmuszony przez rząd Jana Olszewskiego do wynegocjowania korzystnych dla Polski porozumień, choć wcale nie miał zamiaru ich negocjować. Rząd wygrał ten pojedynek z Rosją i z prezydentem własnego państwa. Dosięgła go za to szybka zemsta. 9 dni później, 4 czerwca, rząd został obalony".). Gdy wracam dziś do tych tekstów i do swoich wspomnień, widzę, że brakuje w nich wielu istotnych szczegółów:

A) 5 maja „przedstawiciele MSZ otrzymują spory plik pisemnych zastrzeżeń ministrów do wynegocjowanych przez resort Skubiszewskiego traktatu i umów niższej rangi". Czyich zastrzeżeń? Jakich? Z jakim skutkiem?

B) 15 maja „wiceminister Iwo Byczewski (MSZ) parafuje wszystkie nieparafowane dotychczas dokumenty [...] »To ostatnia formalność« – mówi do kamer radośnie uśmiechnięty ambasador Jurij Kaszlew. Premier i ministrowie o przygotowaniach do parafowania nie zostali przez MSZ na czas poinformowani. Kto wydał Byczewskiemu polecenie parafowania dokumentów? Być może do rozwiązania tej zagadki zbliżyła się »Gazeta Wyborcza«, która 16–17 maja 1995 roku napisała, że o pospiesznym parafowaniu »zadecydowała być może rozmowa Olszewskiego z prezydentem«, w czasie której – i to jest tu istotne – »prezydent nalegał, by rząd zatwierdził wynegocjowane teksty umów«". Czy tak właśnie było? Czy zachowały się w MSZ lub w KPRP jakieś notatki na ten temat?

[1] Marcin Gugulski „Przed nocną zmianą był traktat z Rosją", „Gazeta Polska", 20 X 1995 (szersze wersje: http://gugulskim.salon24.pl/423459,przed-nocna-zmiana-byl-traktat-z-rosja, 4 VI 2012, 4 VI 2017).

fot. Ireneusz Radkiewicz/PAP

eprasa.pl d14e7ac149

Czy i jakie zachowały się (w KPRM?) notatki na temat informacji przekazywanych przez premiera Radzie Ministrów lub mniejszym gronom ministrów na ten temat?

C) 21 maja „o 17.00 samolot z Lechem Wałęsą ląduje w Moskwie. Wcześniej na Okęciu rzecznik prezydenta Andrzej Drzycimski oświadcza, że »wobec traktatu rząd nie wniósł żadnych zastrzeżeń, natomiast do towarzyszących dokumentów wnosił zastrzeżenia i można powiedzieć, że te zastrzeżenia zostały jak gdyby wycofane, bo nie znalazły formalnego wyrazu«. Premier uznaje, że nie pozostaje mu nic innego, jak dostarczyć panu prezydentowi do Moskwy ów »formalny wyraz« znanego mu – wydawałoby się – stanowiska rządu, które znalazło przecież »formalny wyraz« w protokole z obrad i ustaleniach rządu z 19 maja". Wyciąg z protokołu zostaje wysłany szyfrogramem do Ambasady RP w Moskwie. Czy nadal nosi klauzule tajności?

▶ Gaz

W archiwach (KPRM? MG? ABW?) powinna zachować się sporządzana bodaj w styczniu notatka z wykazem przedsiębiorstw, które po ewentualnym ponownym i dłuższym niż na początku stycznia odcięciu dostaw gazu z Rosji do Polski, trzeba będzie odciąć od tego paliwa (oraz takich, do których dostawy gazu dałoby się kontynuować). W tych mroźnych miesiącach, gdy gaz płynął z Rosji albo nie płynął, sporządzono te wykazy, wiedząc nie tylko, że odcięcie gazu oznacza trwałe zniszczenie niektórych z tych zakładów, lecz także że lepszego wyjścia nie ma i nie będzie, bo gdyby można było gaz gdzie indziej zakontraktować, to nie ma go jak do Polski sprowadzić. A czy zachowała się gdzieś poprzecierana na zgięciach schematyczna mapa europejskich złóż gazu i gazociągów przesyłowych, którą w tym czasie prezentowano wąskim gronom na naradach zakończonych konkluzją, że trzeba rozpoznać, jakie są możliwości wybudowania gazociągu podmorskiego, zaopatrującego Polskę w gaz ziemny z Morza Północnego, bo jest to kluczowe dla wzmocnienia bezpieczeństwa Polski? Minęło 27 lat i dopiero zbliżamy się do zakończenia realizacji tego zadania.

▶ Lustracja

Temat dobrze opisany i sfilmowany, a sporo dokumentów już opublikowano, więc dziś tu o tym pisać nie muszę.

▶ Konkordat

Wszczęcie kroków zmierzających do uregulowania sytuacji Kościoła w Polsce w formie umowy międzynarodowej ze Stolicą Apostolską zostało zapowiedziane 21 grudnia, a zrealizowane 30 stycznia w Rzymie w trakcie pierwszej zagranicznej podróży premiera Rzymu. Zadanie wykonane, lecz rzadko przypominane.

▶ Gospodarka

W ciągu kilku miesięcy rządów gabinetu Olszewskiego Polska zaczęła odwracać niekorzystne tendencje: wróciła na ścieżkę wzrostu PKB, zmniejszała inflację, ożywiała eksport, poprawiała ściągalność podatków oraz przestała traktować zwiększanie deficytu i prywatyzację wszystkiego, co się da jako panaceum. Przeczytałbym coś więcej na ten temat, bo poza kilkoma wywiadami z niektórymi ministrami nie przypominam sobie fachowych publikacji na ten temat. Może źle szukałem?

▶ Poprzednicy i następcy

Po kilku katastrofalnych latach poprzedni rząd zostawił w spadku niespotykanej dotąd wielkości deficyt i tak zabagniony, że trudny do szybkiego ustalenia stan kasy państwowej. 23 stycznia Donald Tusk jako jedno z pierwszych przedstawił premierowi oczekiwanie swego ugrupowania, że się o tym nie będzie za dużo ani za głośno mówić („Intensyfikacja współpracy zależy od tego, czy i na ile pan Premier jest zainteresowany w tworzeniu atmosfery [ataku]".). Po spotkaniu, w trakcie którego głosu nie zabierał, jeden z kilku przyprowadzonych przez przewodniczącego Tuska posłów KLD (a w latach 1990–1991 jeden ze stu najbogatszych ludzi w Polsce) wręczył mi wizytówkę i zauważył, że ministrem się tylko bywa, a kasa zawsze jest człowiekowi potrzebna, więc gdy kiedyś przestanę być rzecznikiem rządu, to będę wiedział, gdzie go szukać, a on sobie ceni młodych zdolnych ludzi. Nie skorzystałem, a poseł – nie bez związku z sześciu prawomocnymi wyrokami sądowymi wydanymi w sprawach obyczajowych, kryminalnych i gospodarczych – wkrótce potem zmienił swoje dwusylabowe nazwisko na jednoliterowe. Projekt ustawy o CBA wpłynął do Sejmu wprawdzie także 23 stycznia, ale dopiero w 2006 roku. Zbigniew K. zmarł tydzień później. ■

_____

Marcin Gugulski – dziennikarz, redaktor, rzecznik prasowy rządu Jana Olszewskiego (1991–1992), uczestnik prac komisji i zespołów pod przewodnictwem Antoniego Macierewicza badających różne sprawy i sprawki (1976–1977 i 2006–2019), mokotowski radny (2010–2018).

eprasa.pl d14e7ac149

Ryszard Czarnecki

Jan Olszewski i początki przemysłu pogardy

1992 rok, czerwiec. Okładka tygodnika „Wprost". Na niej fotografia premiera Jana Olszewskiego i wielki tytuł drukowanymi literami: „NIENAWIŚĆ".

Rok 1992, czerwiec. Tuż po upadku rządu mecenasa Olszewskiego tekst w „Gazecie Wyborczej" Piotra Pacewicza, którego puentą są słowa o robactwie (sic!), które wypełzło przy okazji lustracji. W taki sposób określano „olszewików" (skojarzenie z bolszewikami oczywiste) i w ogóle wszystkich ludzi, którzy bronili polskiego rządu A.D. 1992. Dehumanizujące? Jasne, ale tak wtedy było. Dziennikarz i współautor filmu „Nocna zmiana" i książki „Lewy czerwcowy" Piotr Semka powiedział mi niedawno, już po śmierci Jana Olszewskiego, że tak naprawdę „przemysł pogardy" narodził się właśnie wtedy. Co prawda Piotr Zaręba ukuł to określenie na czas prezydentury Lecha Kaczyńskiego – brutalnie i permanentnie zwalczanego przez lewicowo-liberalny establishment – ale przedsmak tego rzeczywiście mieliśmy parenaście lat wcześniej. Tyle że prezydenta RP starano się mieszać z błotem przez pięć lat (a jego brata Jarosława Kaczyńskiego już przez ponad ćwierć wieku), a premiera RP przez sześć miesięcy.

Olszewskiego zapamiętam jako jednego z najlepszych mówców, jakiego słyszałem w swoim długim politycznym życiu. Na świecie dla mnie niezrównany był lewicowy premier Jej Królewskiej Mości Tony Blair. Przemówienia Brytyjczyka w gmachu Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie (2000) oraz w Parlamencie Europejskim (2005) były fascynujące. Ale gdy Jan Olszewski przemawiał w polskim Sejmie, zapadała cisza jak makiem zasiał. Nie było wówczas takiego zbydlęcenia jak w Sejmie obecnej kadencji – do części posłów dzisiaj bardziej niż słowo „parlamentaryzm" pasuje słowo „tłuszcza". Wówczas szczytem chamstwa był pojedynczy okrzyk jakiegoś posła opozycji do naszego premiera: „Kręcisz!". Dziś takie określenie wobec premiera Morawieckiego byłoby pewnie uznane przez resztę opozycji jako eufemizm, bo większość debat (jeżeli w ogóle można użyć tego słowa) toczy się na emocjonalnym „maksie".

Zatem Olszewski przemawiał, a na Wiejskiej słychać było bzyczenie muchy. Słuchali go także ci, którzy za chwilę mieli go obalić. Obóz pragnących zgilotynować rząd, który chciał wejścia Polski do NATO i lustracji, dzielił się na tych, którzy od początku byli w opozycji – jak postkomuniści (PSL wstrzymała się w głosowaniu o wotum zaufania dla rządu), i zdrajców, którzy najpierw gabinet Olszewskiego poparli, a potem wbili mu nóż w plecy. Ci zdrajcy to KLD z D. Tuskiem i J.K. Bieleckim. Trzeba przyznać, że ten drugi przynajmniej pojawił się na pogrzebie śp. Jana Olszewskiego jako były premier. Tuskowi zabrakło chęci i przyzwoitości, aby być w warszawskiej katedrze św. Jana, choć był na mszy pogrzebowej Pawła Adamowicza w Gdańsku.

Jestem na tyle długo w życiu publicznym, aby dobrze wiedzieć, że wielu polityków potrafi nieźle mówić, ale znacznie mniej umie słuchać. Jan Olszewski posiadł tę sztukę. Wsłuchiwał się w głosy nie tylko współpracowników, innych polityków, naukowców, lecz także zwykłych ludzi, którzy przyjeżdżali do niego z odległych miejsc Polski, gdy nie pełnił już funkcji prezesa Rady Ministrów. Wysłuchiwał ich nieraz godzinami w tej czy innej warszawskiej kawiarni. Może dlatego wiedział, jak i czym żyją Polacy – nie tylko ci na Krakowskim Przedmieściu.

A teraz napiszę coś, czego nie pisano i nie mówiono po śmierci szefa polskiego rządu z lat 1991–1992. My, którzy go wybraliśmy, a przynajmniej spora część z nas, mieliśmy poczucie, że ten rząd szybko stał się *de facto* rządem mniejszościowym. Chcieliśmy poszerzyć jego polityczne zaplecze. Diagnoza była – jak się okazało – słuszna, ale proponowane recepty różne. Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, którego jednym z najmłodszych posłów i rzecznikiem wówczas byłem, zawarło tzw. Trójporozumienie z Porozumieniem Ludowym Gabriela Janowskiego i PSL, chcąc zapisać ZSL do obrony rządu. Inni myśleli o UD. Jednak PSL i UD woleli zagrać z Wałęsą w „zbijanego". A za dwa lata Wałęsa „zbił się" sam.... ■

eprasa.pl d14e7ac149

ODWAGA JAKO CHOROBA ZAKAŹNA

Maria Dłużewska

Nie ma już z nami człowieka, przy którym zawsze czuliśmy się bezpiecznie, wiedzieliśmy, że w najgorszych terminach nie zostaniemy sami, że odszedł nie tylko Premier, nie tylko adwokat, lecz także Obrońca naszego świata, systemu wartości – Obrońca Polski. Jan Olszewski – wzór, punkt odniesienia, opoka.

eprasa

To było tuż przed obaleniem rządu Jana Olszewskiego, przez prasę przelewała się fala pomyj, dziś zwanych hejtem. Pracowałam wtedy w „Tygodniku Solidarność" z Martą Miklaszewską, żoną Jana Olszewskiego. Odkąd Pan Jan został premierem, Marta rzadko pojawiała się w redakcji i pamiętam, że wszyscy myśleliśmy wtedy o Jej straszliwej sytuacji osaczenia, samotności i naszej bezradności. Dziś, w dniu pogrzebu Pana Jana, przypomniało mi się, że napisałam wtedy tekst – analizę ówczesnej prasy; do dziś pamiętam okładkę „Wprost" przedstawiającą wykrzywioną twarz Pana Premiera z napisem „Nienawiść" na czole. Nie mogę sobie przypomnieć tytułu mojego artykułu, ale brzmiało to chyba „Nienawiść z kibitką w tle" czy jakoś tak. Chodziło o to, że któryś ze zlustrowanych komunistów wykrzykiwał wtedy: „Kibitkami na Sybir nas wywiozą!". Bardzo mnie to ubawiło, wydało mi się tak absurdalne, że właściwie kabaretowe, i taki ton miał ten artykuł. Trudno było wtedy przyjąć, że to dzieje się naprawdę, że wraca język wprost z późnych lat 40., że dojdą do głosu ludzie tak żałośnie mali – a często byli to nasi koledzy z podziemia – posługujący się językiem i stosujący chwyty wprost z ubeckich nagonek, znanych nam z literatury historycznej.

Bardzo się wtedy myliłam, to nie miało nic wspólnego z kabaretem czy tragifarsą. Rzeczywiście, to wtedy nastąpiła erupcja, ale pomyje płyną do dziś przez Polskę coraz szerszym, wygodniejszym korytem tak, że ledwie udaje nam się łapać oddech nad ich powierzchnią. A Pana Jana nie ma. Nie ma człowieka, przy którym zawsze czuliśmy się bezpiecznie, wiedzieliśmy, że w najgorszych terminach nie zostaniemy sami, że odszedł nie tylko Premier, nie tylko adwokat, lecz także Obrońca naszego świata, systemu wartości – Obrońca Polski. Wzór, punkt odniesienia, opoka.

▶ Wychwytywał to, co mogło pomóc oskarżonemu

Ponad rok temu napisałam książkę pt. „Obrońcy", bazując na wywiadach, które przeprowadzałam do filmu „Drzwi do wolności". Bardzo chciałam, żeby Pan Jan Olszewski był jednym z bohaterów tego filmu i książki – najważniejszym. Jednak koledzy, którzy byli blisko Pana Premiera, powiedzieli mi, że Pan Jan z całą pewnością odmówi mi, że nie chce się już pokazywać, czuje się bardzo słabo, że źle widzi. Pamiętam, pomyślałam wtedy, że to Dobry Bóg odebrał mu wzrok i nie musi już patrzeć na to wszystko. Choć wiedziałam, że Pan Jan w żaden sposób nie wyłączył się, jak zawsze niezwykle trafnie i przenikliwie diagnozował rzeczywistość, że mimo wszystko nie opuścił nas. Tak czy inaczej powstał film, jest książka, a moi bohaterowie opowiadają o Panu Janie.

Jan Krzysztof Kelus: „Byłem na kilku procesach, oglądałem wystąpienia adwokatów i miałem takie przemyślenia, że w tym trudnym czasie był pewien gatunek obrońców – palcem nie wskażę – których sposób obrony polegał na wygłoszeniu płomiennego przemówienia, co skutkowało tym, że oskarżony czuł się dowartościowany, usatysfakcjonowany, no ale efekt mógł być taki, że dostawał pół roku więcej. Wracając do pana mecenasa Olszewskiego, to on miał zupełnie odmienna strategię. Siedział z kamienną twarzą, prawie wcale się nie odzywał, ale – jak na prawdziwym amerykańskim filmie prawniczym – w tych zawiłościach procesowych wychwytywał i punktował dokładnie to, co mogło bezsprzecznie pomóc oskarżonemu. No ale takich odważnych i dobrych adwokatów było jak na lekarstwo. A potem, jak wybuchła »Solidarność«, wszystko ogromnie rozpączkowało i na przykład moi uniwersyteccy koledzy, których znałem z moich prób studiowania prawa, Piotr Andrzejewski czy Wiesiek Johann, dołączyli do tych już zaprawionych w bojach obrońców. Opozycjonizm i wszelka niezgoda to jest choroba zakaźna i oni zostali, jak rozumiem, zakażeni".

I jeszcze jedno wspomnienie Janka Kelusa: „Tych zacnych, porządnych adwokatów, do których można było mieć zaufanie, poznałem wtedy, jak zaczął się KOR. To była garstka, można ich było na palcach jednej ręki policzyć i to nie jest przysłowiowa jedna ręka. To byli: pan Jan Olszewski, pan Siła-Nowicki, pan Lis-Olszewski, pan Grabiński, chyba jeszcze pan Szczuka... doliczyliśmy do pięciu? No to doliczyliśmy. Wielkiej to byli zacności ludzie, bo przecież ogromnie wtedy ryzykowali. Nie wiadomo było, jak to się skończy, nikt nie mógł przewidzieć, co będzie dalej. [...] Pamiętam, jak wymyśliłem sobie, że na domowym sposobem robionych kasetach z moimi piosenkami zamieszczę formułę, że jestem niezależnym twórcą, że działam poza monopolem państwowym, że wyceniam wartość swoich piosenek na tyle i tyle i w związku z tym proszę o wysłanie mi tantiem. Nurtowało mnie tylko pytanie, co mnie za to czeka? Co na to powie przenajświętsza władza? Poszedłem z tym problemem do Jana Olszewskiego. [...] Pan Jan długo się zastanawiał, czym ogromnie mnie ujął, w końcu rozłożył ręce i powiedział: »Panie Janku, nie wiem... no, naprawdę nie wiem«. [...] Zacny pan Jan Olszewski rozłożył ręce, ja zaryzykowałem i okazało się, że eksperyment się udał".

▶ Kilku znakomitych adwokatów

A to głos Andrzeja Rozpłochowskiego, przywódcy strajku w Hucie Katowice, zupełnie osamotnionej wtedy, podczas sierpniowych strajków '80 roku:

„Wezwani przez diecezje, do których zwróciliśmy się o pomoc, przyjechali: mecenas Jan Olszewski, mecenas Siła-Nowicki i Wiesław Chrzanowski. To oni między innymi opracowali dla nas statut NSZZ z tymczasową siedzibą w Hucie Katowice i ten nasz dokument stał się później podstawą do skonstruowania statutu NSZZ »Solidarność«. Zatem pierwszy statut powstał u nas w Hucie Katowice. [...] To chyba akt Łaski Bożej, że ci wspaniali przedstawiciele polskich elit prawniczych, patriotycz-

FOT. PAWEŁ KULA/PAP

eprasa.pl d14e7ac149

nych tak szybko przybyli do Huty, żeby nas wspomóc. Nas, ludzi zwyczajnych, którzy jeszcze wczoraj nie mieli do czynienia z polityką, z działalnością publiczną. Ja byłem maszynistą lokomotyw spalinowych. [...] I nagle, bez żadnych wcześniejszych uzgodnień – tak jak w klockach Lego – kliknęło i już byliśmy razem! Swoisty mechanizm, wspólny dla ludzi dążących do wolności, do walki z komunizmem, zadziałał natychmiast. Ci ludzie, polskie elity, siedzieli ramię w ramię z hutnikami i ubierali w prawne formuły nasze najważniejsze postulaty: zniesienie cenzury, prawdziwie wolne i niezależne związki zawodowe. My chcieliśmy wolności i podmiotowości jako ludzie, jako Polacy, a nasi doradcy doskonale to rozumieli. Przyjechali, uścisnęliśmy się, a potem usiedliśmy po jednej stronie i zaczęliśmy negocjacje z komunistami, z tak zwaną stroną rządową. 11 września podpisaliśmy najważniejszą część porozumienia, na mocy którego tak naprawdę doszło do utworzenia »Solidarności«".

Tak wspomina Jana Olszewskiego z czasu stanu wojennego sędzia, wówczas adwokat, Wiesław Johann:

„Miałem wtedy taki glejt Prymasowskiego Komitetu Pomocy [...] mogłem jeździć po całej Polsce, bo zawsze miałem oparcie w parafiach. W Warszawie istniała spora grupka adwokatów, którzy stawiali się wszędzie, gdzie było trzeba. To byli także ci wielcy adwokaci: mecenas Olszewski, Piotrek Andrzejewski, mecenas Grabiński, Edek Wende. Według moich obserwacji każdy obwiniony po demonstracjach miał przed Kolegium obrońcę. [...] Mieliśmy kilku znakomitych, powiedziałbym – mentorów, nauczycieli. Moim mistrzem adwokackim był Jan Olszewski. Muszę powiedzieć, że nie spotkałem prawnika posiadającego nie tylko tak ogromną wiedzę zawodową, ale też umiejętność prezentacji stanu faktycznego, dowodów, kwalifikacji prawnej. Jego wystąpienia powinny być powielane, na nich powinni uczyć się młodzi adwokaci".

Z Rakowieckiej na Okęcie i z powrotem

W tej opowieści Jana Olszewskiego właściwie nie ma. Niemniej był świadkiem tej sceny, towarzyszył jej bohaterom od początku do końca. Wiem, że zapamiętał każde słowo i musiał żyć z tym obrazem pod powiekami. Rzecz dzieje się w 1988 roku, po powrocie Kornela Morawieckiego i Andrzeja Kołodzieja z lotniska Okęcie, na które zostali przewiezieni wprost z więzienia na Rakowieckiej. Mieli zostać deportowani z Polski. Na Okęcie pozwolono przyjść, pożegnać się z nimi rodzinie, przyjaciołom, adwokatom. Kornel i Andrzej nie dawali się wyprowadzić na płytę lotniska, gdzie czekał na nich samolot do Watykanu. Mówi Andrzej Kołodziej:

„Byliśmy w takiej oszklonej sali nad halą odlotów. Ludzie z dołu widzieli, że dzieje się coś dziwnego, więc w końcu zapakowali nas w samochody i zawieźli z powrotem na Rakowiecką. Tam popatrzyli na nas jak na wariatów, bo kto przytomny wraca dobrowolnie do więzienia? Zaprowadzili nas do gabinetu naczelnika, za chwilę przyszedł adwokat Kornela, Jan Olszewski, Andrzej Stelmachowski i ksiądz Alojzy Orszulik. No i zaczęło się przekonywanie nas do opuszczenia Polski. Przy czym muszę jasno powiedzieć, że rola Jana Olszewskiego była taka, iż przysłuchiwał się tylko, był tu świadkiem. Rozmawiali z nami Orszulik i Stelmachowski. I to oni nalegali, że powinniśmy wyjechać z Polski. [...] Orszulik zaczął nas zapewniać w imieniu Kościoła, że jeśli teraz wyjedziemy, będziemy mogli wrócić. [...] Późnym popołudniem poprosili Kornela na rozmowę w drugim pokoju. Kornel wrócił i mówi: [...] »Pokazali mi twoje dokumenty medyczne, twierdzą, że jesteś chory, masz raka i możesz być leczony tylko we Włoszech«. Pamiętam, powiedziałem Kornelowi, że to żadna różnica, obiecywali, że mnie powieszą, teraz mam umrzeć na raka... no, na coś trzeba umrzeć. [...] Kornel w pewnej chwili mówi: »Jeśli Andrzej jest chory, to niech jedzie, a ja zostanę«. [...] Na to ksiądz Orszulik: »Zadzwonię do Kiszczaka, zapytam...«. Podniósł słuchawkę, nakręcił numer i zaczął: »Słuchaj no, Czesiu, jest taka propozycja...«. Po chwili Czesiu oddzwonił i powiedział, że generał Jaruzelski nie zgadza się, żeby Kołodzieja leczono w szpitalu cywilnym w Polsce, a na mój wyjazd bez Kornela też nie wyraża zgody. Musimy wyjechać obydwaj. Na tym stanęło".

W watykańskim szpitalu raka nie stwierdzono, Morawiecki wracał do Polski nielegalnie, a Kołodziejowi pozwolili przyjechać dopiero na pogrzeb ojca.

Trwał przy Księdzu Jerzym

I jeszcze jeden obraz. Dwa lata temu realizowałam film „Ksiądz", bazując na pozyskanych z IPN-u esbeckich materiałach z prac prokuratury w sprawie zamordowania księdza Jerzego Popiełuszki. Były tam zeznania porywaczy przed zakłamanymi – tak samo jak oni – prokuratorami, mrożące krew w żyłach wizje lokalne dokumentujące kolejne etapy tortur, w końcu filmowy zapis sekcji zwłok Księdza. Tej sceny nie byłam w stanie oglądać; siedziałam tyłem do monitora, montażysta sam „sklejał" poszczególne sekwencje. Zresztą wtedy przestałam już spać, chorowałam, bałam się wyjść na ulicę. Któregoś dnia na monitorze kątem oka dostrzegłam znajomą sylwetkę. Tuż przy drzwiach wejściowych do prosektorium stał Pan Mecenas Jan Olszewski w zielonym fartuchu – jak wszyscy tam obecni funkcjonariusze, technicy i prokuratorzy. Stał tak między nimi wyprostowany, z kamienną twarzą. Patrzyłam na ten obraz i powoli docierało do mnie, że Pan Jan nie był tam tylko z adwokackiego obowiązku. W tym miejscu jak z koszmarów Bosha, On trwał przy Księdzu Jerzym, towarzyszył Mu do końca. Pamiętam, że wtedy wróciłam do montażu i skończyliśmy ten film. Panie Premierze, Panie Mecenasie, Panie Janie, dziękuję. ■

Cytaty pochodzą z książki „Obrońcy" wydawnictwa Trzecia Strona. Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl d14e7ac149

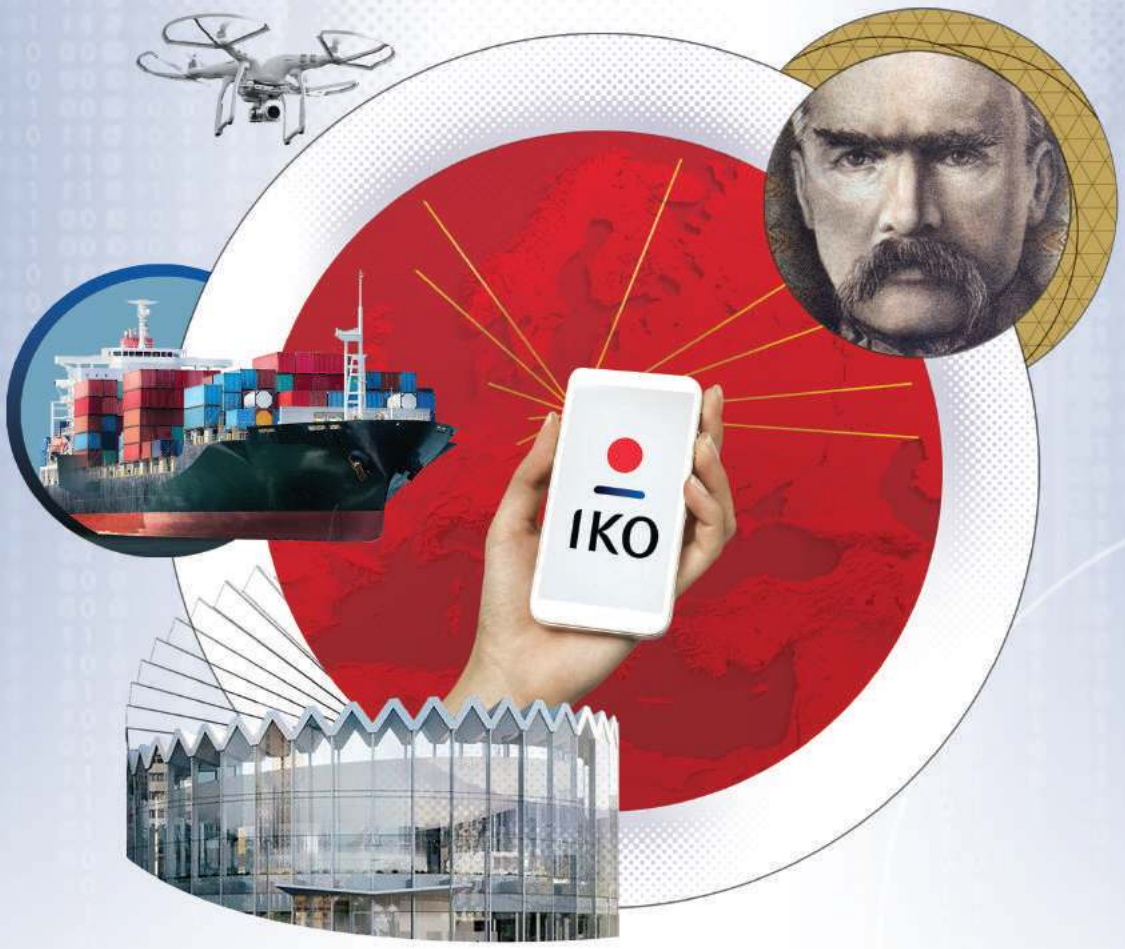

100 LAT ŚMIAŁYCH DECYZJI PKO BANKU POLSKIEGO

Bank Polski

100 1919/2019

eprasa.pl d14e7ac149

POWOŁANIE MOJEGO RZĄDU TO BYŁ PRAWDZIWY CUD

Katarzyna Gójska

W momencie, gdy odbyły się wybory w 1991 roku, zostały one przeprowadzone w oparciu o taką ordynację, która doprowadziła do rozdrobnienia i rozbicia parlamentu. Jak przypuszczam, w założeniu tych, którzy ją przygotowywali, wielopartyjność miała nie pozwolić na wybranie rządu, a już na pewno nie pozwolić na uchwalenie nowej konstytucji. W tych warunkach powołanie mojego rządu to prawdziwy cud – mówił w 2013 roku były premier **Jan Olszewski** w rozmowie z **Katarzyną Gójską**. Dziś przypominamy obszerne fragmenty wywiadu opublikowanego wówczas w grudniowym numerze „Nowego Państwa".

FOT. MARIUSZ TROLIŃSKI

▶ 4 czerwca 1989 roku był uznawany przez wielu za dzień triumfu polskiej wolności. Trzy lata później dokładnie ten sam dzień to smutna data zwycięstwa pozostałości po komunizmie. Jak Pan ocenia obie daty?

4 czerwca ma dla mnie podwójny wymiar: z jednej strony, był to główny punkt porozumienia Okrągłego Stołu. „Wybory", chociaż zawsze używaliśmy wobec tego aktu wyborczego cudzysłowu. Przecież w gruncie rzeczy trudno nazywać wyborami sytuację, w której skład Sejmu jest z góry reglamentowany. Z perspektywy dojrzałej demokracji europejskiej takie zjawisko było czymś egzotycznym i nie ukrywam, że nie byłem zwolennikiem tego porozumienia.

Gdy proponowano mi miejsce na liście wyborczej „Solidarności", bardzo stanowczo stwierdziłem, że nie będę startować. Może te wybory były koniecznością, ale w żaden sposób nie zaspokajały aspiracji polskiego społeczeństwa, które miało za sobą doświadczenie 16 miesięcy autentycznej wolności w 1980 i 1981 roku. Muszę powiedzieć jednak, że nie doceniłem Polaków. Polskie społeczeństwo potrafiło znaleźć luki, które na pierwszy rzut oka trudno było odszyfrować, ale w których można było dać wyraz swojej rzeczywistej postawy. W wyborach wzięło udział prawie dwie trzecie społeczeństwa, co było sukcesem organizatorów, ale tam były dwa punkty, jakich ci, którzy po postkomunistycznej stronie przygotowywali ten projekt, nie przewidzieli. Mianowicie była lista krajowa, a na niej te najważniejsze nazwiska strony postkomunistycznej. Nazwiska osób, które w normalnych wyborach po prostu by nie przeszły. Był też gest wobec „Solidarności", czyli wolne wybory do Senatu, w tamtych czasach mającego znaczenie symboliczne. W tych dwóch wypadkach polski wyborca bardzo wyraźnie zadeklarował swoją wolę. Z jednej strony, wszyscy postkomunistyczni kandydaci zostali skreśleni, a z drugiej, w wyborach do Senatu „Solidarność" osiągnęła rewelacyjny wynik – 99 mandatów na 100 możliwych. W ten sposób została wyraźnie zademonstrowana wola społeczeństwa, by odrzucić komunizm, powiedzieć „nie" i „dosyć, tym panom dziękujemy". To dało się odczytać w sposób zupełnie niewątpliwy i z tego punktu widzenia to był sukces.

▶ Mimo tej woli, by powiedzieć komunizmowi „nie", Wojciech Jaruzelski został prezydentem, Czesław Kiszczak faktycznym szefem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Chyba nie tego oczekiwali Polacy?

Zaczęło się od tego, że nastąpiła – co niebywałe – zmiana ordynacji wyborczej w trakcie wyborów. Tylko ona umożliwiła wejście do Sejmu osobom z listy krajowej, co absolutnie nie byłoby możliwe w przypadku uczciwych wyborów. A tak dostały się one do parlamentu przy jakiejś minimalnej frekwencji i ze śladową liczbą głosów. Następny akt tej farsy to wybór Jaruzelskiego na prezydenta. W porozumieniu Okrągłego Stołu to stanowisko było zagwarantowane dla I sekretarza KC PZPR. I tylko dlatego Jaruzelski został wybrany. Byłem biernym, ale bardzo pilnie przyglądającym się świadkiem tego, w jaki sposób ten wybór był wymuszany na posłach i senatorach, którzy na Jaruzelskiego głosować nie chcieli. Na niektórych wywierano presję nie tylko taką, by wstrzymali się od głosu, ale nawet, by nie przyszli na głosowanie.

Dziś prezydent Bronisław Komorowski propaguje tezę, że to był dzień zwycięstwa „Solidarności" i że to właśnie od tego momentu mamy pełną niepodległość. Zgadzam się z tym o tyle, że rzeczywiście był to dzień, w którym społeczeństwo mogło zademonstrować swoją wolę. Ale zarazem był to moment, który podważał moralny mandat naszej strony do dalszego uczestniczenia w tym porozumieniu. Praktycznie biorąc, strona opozycyjno-solidarnościowa przy Okrągłym Stole działała w imieniu społeczeństwa, ale zarazem samozwańczo. W tamtym momencie było to uzasadnione tym, że społeczeństwo nie miało głosu. Myśmy domniemywali tylko, że skoro „Solidarność" kiedyś skupiała wszystkie nadzieje Polaków, że był to 10-milionowy związek, więc ludzie, którzy dzisiaj zasiadają przy Okrągłym Stole w ich imieniu, mają prawo występować w imieniu narodu, a przynajmniej w imieniu tej części społeczeństwa podjąć jakąś decyzję. Ale moim zdaniem w momencie, w którym zwykli Polacy wyraźnie zademonstrowali, co zrobić z komuną, ten mandat wygasł moralnie.

▶ Czyli ci, którzy mieli obowiązek wysłuchać Polaków i uszanować ich wybór, zachowali się tak jak ci, którzy z komunistycznej strony usiedli do Okrągłego Stołu?

To jest oczywiste, że istnieją dwie strony. Jedna podtrzymująca, a druga kontestująca Okrągły Stół. Generalnie porozumienia Okrągłego Stołu są w dalszym ciągu przestrzegane i realizowane do dzisiaj. Nadal też nie została rozstrzygnięta kwestia moralnego mandatu, na mocy którego wtedy zostało zawarte porozumienie. Dlatego mam wątpliwości, czy to wielkie święto wolności będzie miało w przyszłości zakotwiczenie takie, jak inne piękne daty, jak 11 listopada czy 3 maja. Próba wprowadzenia tego nowego święta narodowego wydaje mi się co najmniej wątpliwa, żeby nie użyć mocniejszych określeń.

▶ A to, co wydarzyło się trzy lata później, 4 czerwca 1992 roku, co przeszło do historii jako nocna zmiana? Obalono Pański rząd, który był pierwszym rządem bezdyskusyjnie stawiającym na sojusz z Zachodem, opowiadającym się za lustracją i wyrzuceniem wojsk sowieckich z granic RP. Jak Pan odbierał te wydarzenia?

eprasa.pl d14e7ac149

Wynik wyborów 4 czerwca 1989 roku został przyjęty przez stronę solidarnościową, jednak bez konsekwencji. Wtedy powinniśmy wysunąć postulat doprowadzenia do jak najszybszych wolnych wyborów, takich bez żadnych ograniczeń. Byłoby to spełnienie bardzo wyraźnej woli Polaków. To jednak się nie stało i wybory rzeczywiście wolne odbyły się dopiero dwa lata później. Żeby osiągnąć ostatecznie ten akt wyborczy, musieliśmy doprowadzić do zmiany prezydenta, w trybie wolnego wyboru. To się odbyło i został wybrany Lech Wałęsa, ale to było już w atmosferze ogromnego zniechęcenia społecznego i całkowitej dezorientacji. Efektem tego stanu było to, że Wałęsa, absolutny idol dla całego narodu w 1980 i 1981 roku, startując wtedy w wyborach prezydenckich, wygrał dopiero w drugiej turze. Znaczące, zwłaszcza w sytuacji, gdy jego kontrkandydatem była osoba właściwie znikąd. To pokazuje, jak manipulowano, odwlekając wolne wybory do parlamentu, tak aby nie dać się wypowiedzieć suwerenowi, czyli obywatelom.

W momencie, gdy odbyły się wybory w 1991 roku, zostały one przeprowadzone w oparciu o taką ordynację, która doprowadziła do rozdrobnienia i rozbicia parlamentu. Jak przypuszczam, w założeniu tych, którzy ją przygotowywali, wielopartyjność miała nie pozwolić na wybranie rządu, a już na pewno nie pozwolić na uchwalenie nowej konstytucji. W tych warunkach powołanie mojego rządu to prawdziwy cud. Przeciwko niemu była sięgająca połowy składu Sejmu koalicja, postkomuniści i Unia Demokratyczna, która chciała kontynuowania linii Okrągłego Stołu. Przeciwko był także prezydent, który zresztą dość szczerze powiedział, że zrobi wszystko, aby nie dopuścić do tego, bym został premierem. Ostatecznie powstała sytuacja konfrontacji nowo wybranego w wolnych wyborach Sejmu z prezydentem, który demonstrował, że nie zaakceptuje popieranego przez parlament rządu. Zastanawiałem się nad tym i uznałem, że nie można dopuścić do sytuacji, w której okaże się, że pierwsze wolne przedstawicielstwo tego kraju skompromituje się tym, że nie będzie w stanie spełnić podstawowych obowiązków, z których głównym było wyłonienie rządu Rzeczypospolitej. Tylko dlatego zdecydowałem się przyjąć na siebie tę misję, choć zdawałem sobie sprawę, jak bardzo ja i cała nasza ekipa jesteśmy do tego zadania nieprzygotowani. To była jednak sytuacja, w której innego wyjścia nie było. Trzeba było podjąć ogromne ryzyko, by w momencie, kiedy Polacy zademonstrowali swój głos w wolnych wyborach, jakoś dalej przeprowadzić proces transformacji ustrojowej w taki sposób, aby stworzyć przyszłą Rzeczpospolitą nie na poprawianych strukturach PRL, ale po prostu przyjąć i przeprowadzić zmianę w oparciu o wzory II RP. I budować rzeczywiście niepodległe, suwerenne i demokratyczne polskie państwo.

▶ Czy z dzisiejszej perspektywy patrzy Pan na to tak samo?

Dziś mogę się jedynie zastanawiać, czy było warto podjąć się tego zadania i czy warto było próbować zmienić kierunek procesu zmian ustrojowych w Polsce.

▶ Warto było?

Tak. Jednym z głównych celów, jakie sobie wówczas postawiłem, było wyprowadzenie Polski z obszaru ziemi niczyjej, chociaż jest to stwierdzenie trochę na wyrost, bo w zasadzie byliśmy w rosyjskiej strefie wpływów. W ciągu tych dwóch lat nie udało się z Polski wyprowadzić rosyjskich garnizonów. One wyszły z Węgier i Czechosłowacji, ale u nas wszystkie bazy były utrzymane i okupowane przez wojska rosyjskie. My nie mieliśmy na nie wpływu ani żadnej kontroli nad nimi.

▶ Gdy otwierano komunistyczne archiwa, chociażby w Niemczech, ich polskie odpowiedniki płonęły. Tym zajmował się m.in. faktyczny minister spraw wewnętrznych w pierwszym „niepodległym" rządzie.

Archiwa dalej były w gestii tego aparatu, który je utworzył i istniał dalej, mimo zmian Okrągłego Stołu. Służby specjalne, ten rdzeń komunistycznego aparatu władzy, w dalszym ciągu zachowały swoje kompetencje i wpływy. Wprawdzie Służba Bezpieczeństwa została poddana weryfikacji, ale była to weryfikacja zaskórkowa i w gruncie rzeczy pozorowana. Wojskowe służby nie podlegały żadnym zmianom.

▶ Funkcjonariusze znaleźli mnóstwo sposobów na to, żeby od weryfikacji uciec.

Znaczna część aparatu wywiadu PRL-owskiego zawarła porozumienie, które zagwarantowało mu całkowitą nietykalność. Niektórzy szefowie tego aparatu wyraźnie przeszli na drugą stronę i podjęli działania usługowe dla niedawnych wrogów. W wyniku tego przewrotu udało im się uzyskać pewną cenę od Amerykanów: „Wy będziecie nas bronili".

▶ Dostali gwarancje bezpieczeństwa?

Tak. Tej części aparatu państwowego w tamtym czasie nie można było ruszyć.

▶ Czy to były gwarancje bezpieczeństwa kosztem Polski?

No cóż. Mógłbym powiedzieć, że ci ludzie zerwali ze służbą dla dotychczasowego ich dysponenta. Oddali się do dyspozycji innego mocarstwa, ale to nie znaczyło wcale, że również państwu polskiemu. Z tego punktu widzenia my w 1991 roku znajdowaliśmy się w zupełnie dramatycznej sytuacji. Dopiero zastanawialiśmy się nad sposobem jej zmiany i przygotowywaliśmy się do tego.

eprasa.pl d14e7ac149

Potrzebne było jeszcze pół roku, żeby wystąpić z kompleksową propozycją zmian całości układu. Tego czasu nam nie dano. Warto było jednak podjąć się misji stworzenia rządu. Przejmowaliśmy wtedy państwo w dramatycznej sytuacji gospodarczej, w sytuacji kryzysu, którego rozmiary trudno sobie dzisiaj nawet wyobrazić. Gospodarka wyglądała tak, że produkt krajowy brutto spadł o 40 proc. Wtedy wicepremier Balcerowicz, który odpowiadał za finanse w rządach Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego, podjął decyzję o druku pustych pieniędzy, czego dziś już nikt nie pamięta. Właściwie my nawet nie wiedzieliśmy, ile finalnie tych pieniędzy wpompowano w gospodarkę. Międzynarodowy Fundusz Walutowy, który pilotował przemiany ustrojowe w Polsce, zawiesił wtedy stosunki z naszym krajem. Musieliśmy się z tym zmierzyć. Myślę, że dlatego dopuszczono mnie do stworzenia rządu. Myślano, że się skompromitujemy i cała nasza opcja będzie unieszkodliwiona. Szukano kozła ofiarnego, na którego będzie można zwalić całą odpowiedzialność za to, co się tutaj stało, i myślano, że będziemy z tego wychodzili wspierani jakimiś dodatkowymi kredytami i obostrzeniami, co dawałoby szansę powrotu do reżimu, który został uświęcony przy Okrągłym Stole. To się nie udało. Były wprawdzie bardzo dramatyczne miesiące, ale jednak zdołaliśmy przygotować budżet. Paradoksalnie, parlament, który w nocy obalił mój rząd, następnego dnia rano przyjął projekt budżetu, który ten rząd po sobie zostawił. Chociaż przedtem twierdzono, że jest to dokument fikcyjny, to jednak to właśnie według tej podstawy budżetowej działał rząd Hanny Suchockiej. Wszystkie wartości w budżecie zostały zachowane i okazało się, że właśnie na jego podstawie można było wyprowadzić finanse publiczne z kryzysu.

▶ W którym miejscu byłaby dziś Polska, gdyby nocna zmiana nie nastąpiła i Pana gabinet miałby czas, aby rozwiązać najważniejsze dla naszego kraju problemy?

Trudno mi mówić, co by było, gdyby. Mogę jedynie powiedzieć o tym, co zamierzaliśmy zrobić i jakie ja sam przyjąłem priorytety. To było przede wszystkim wyciągnięcie Polski z szarej strefy politycznej i zapewnienie jej bezpieczeństwa przez docelowe przyłączenie do Paktu Północnoatlantyckiego. Następnie przeprowadzenie procesu zmian ustrojowych i własnościowych. Chcieliśmy przyjąć ustawę reprywatyzacyjną, potem wprowadzić pewną formułę powszechnego uwłaszczenia. Wreszcie, chcieliśmy całkowicie przebudować aparat, który został po PRL-u. Wtedy ocenialiśmy go jako coś całkowicie nieprzydatnego do pracy dla demokratycznego państwa. Uważaliśmy, że należy wykształcić zupełnie nową kadrę, którą dopiero w tamtym czasie można było zacząć przygotowywać. Wtedy powstała Krajowa Szkoła Administracji; to miała być przyszła kuźnia tych kadr. No, ale to dopiero była kwestia przyszłości. Osiągnięciem tego rządu było na pewno niedopuszczenie do tego, by w Polsce pozostały sowieckie bazy zamienione w polsko-rosyjskie przedsiębiorstwa o statusie ponadnarodowym.

▶ W zasadzie byłyby to rosyjskie enklawy w Polsce.

To utrwaliłoby związanie Polski z Rosją i zapewniłoby nam współczesny status Białorusi. Oczywiście o tym, abyśmy w tych warunkach kiedykolwiek przystąpili do NATO, nie mogłoby nawet być mowy. Zaczęliśmy więc bardzo ciężką walkę i w moim przekonaniu to, że nocna zmiana została tak dalece przyspieszona, że robione było to w tak niewyobrażalnym tempie, to była cena, którą zapłaciliśmy za niedopuszczenie do pozostawienia w naszym kraju wojsk rosyjskich.

▶ Także ta najbardziej współczesna historia Polski naznaczona jest piętnem stosunków polsko-rosyjskich. Od niemal czterech lat walczymy o wyjaśnienie przyczyn katastrofy smoleńskiej. Jak ocenia Pan to, co dzieje się w tej sprawie?

Myślę, że władze [wówczas koalicja PO-PSL – przyp. red.] nie doceniają wagi politycznej tej katastrofy. Abstrahuję tu od przyczyn i od tego, co do tej pory zostało niewyjaśnione, i od wszystkich hipotez mniej lub bardziej prawdopodobnych. One wszystkie są uprawnione tak długo, jak długo nie będziemy mieli możliwości rzetelnego zbadania wraku i oryginałów czarnych skrzynek, które nie są i nie były do naszej dyspozycji. Ciągle są wątpliwości, czy ta wiedza, którą mamy, odpowiada temu, co się rzeczywiście zdarzyło.

▶ Powiedział Pan, że nie doceniono politycznej wagi tej katastrofy.

Rząd przyjął ją jako szansę dla siebie na utrwalenie obecnego systemu władzy. To zupełnie bezprecedensowa sytuacja. Z dnia na dzień wszystkie stanowiska w państwie były do dyspozycji rządu, który w tym kraju sprawował władzę. Dzisiaj [koniec 2013 roku – przyp. red.] wyłącznie, całkowicie i jednoznacznie to ten rząd odpowiada za stan państwa, a jaki ten stan jest, to chyba wszyscy widzimy.

▶ Oprócz tego, że przejęto władzę i do jej utrzymania używa się katastrofy, jest też pewien inny aspekt sprawy: podległość wobec Federacji Rosyjskiej. Czy rzeczywiście polskie władze zapłaciły podległością?

Boję się, że wszyscy za to płacimy w ten sposób. Wyraźnie widać, że już jesteśmy przez Rosjan traktowani jak kraj, o którym się decyduje w porozumieniu z innymi mocarstwami ponad głową Polski.

eprasa.pl d14e7ac149

▶ Coś na kształt ziemi niczyjej, o której Pan wspomniał?

Tak. Przykład tego, jak o Polsce się decyduje, to cała historia związana z narzuceniem nam budowy dodatkowej linii rurociągu jamalskiego. Wobec dokładnie takiego samego problemu stanął mój rząd. Wtedy, w maju 1992 roku, w przeddzień wizyty moskiewskiej delegacji u Lecha Wałęsy i podpisania układu polsko-rosyjskiego, a co za tym idzie – protokołu decydującego o wyjściu z granic Polski rosyjskich oddziałów, czy też o ewentualnym zastąpieniu ich przedsiębiorstwami ponadnarodowymi. Kiedy mój rząd ostro się temu sprzeciwił i nie chciał dopuścić do takiej sytuacji, nastąpiło parafowanie dokumentu w takiej postaci, w jakiej Rosjanie go przygotowali. Przedstawiciele polskiego MSZ, zdając sobie doskonale sprawę z negatywnej opinii rządu i z tego, że jest to pójście na rękę stronie rosyjskiej, parafowali umowę, z której trzeba się było wycofywać. Z punktu widzenia klasycznej dyplomacji było to pewnego rodzaju herezją. Popełniono coś, co ja nazywam zdradą stanu. Do dzisiaj nie zostało wyjaśnione, kto się tego dopuścił i na czyje polecenie. Oczywiście wiemy, kto parafował, ale nie wiemy, kto wydawał polecenia i jakie uzasadnienia były przedstawiane urzędnikom, którym polecono to akceptować. Dziś powtórzyło się to w tym samym stylu z tzw. rurociągiem Jamał II. Rosjanie demonstrują fakt, że traktują nas jako kraj o ograniczonej suwerenności.

▶ Rozumiem, że wyjaśnienie przyczyn katastrofy smoleńskiej to klucz do tego, by z Polski zrzucić przekleństwo ziemi niczyjej.

Boję się, że katastrofa smoleńska to taki problem, który nie tylko zaważy na stosunkach polsko-rosyjskich, ale w pewnym momencie może zakłócić także normalny tok stosunków międzynarodowych. Nie da się tej sprawy zakończyć tak, jak się to właśnie robi. Nie mówię już nawet o działaniach MAK, lecz także o komisji Jerzego Millera. To jest oczywiste, że podane ustalenia są po prostu fałszywe. Prędzej czy później ten trup wypadnie z szafy. [...]

▶ Zakłada się, że współczesny świat, który stawia na ekonomię i biznes, nie dopuści do wojny na naszym kontynencie. Te założenia to mrzonki?

Niedopuszczenie do wojny w Europie było możliwe przez bardzo długi czas dlatego, że powstał tutaj pewien układ trwały, gwarantowany przez stronę amerykańską. Zakładano, że jeżeli nastąpi atak rosyjski na Europę, to nieuchronne jest użycie broni atomowej, zarówno przez Rosjan, jak i przez USA. Obawa przed tym powstrzymywała Rosjan. Wszelkie plany były przygotowane, ale przewidywany stopień zniszczeń powstrzymywał ich przed wykorzystaniem oczywistej przewagi militarnej.

▶ Czy Rosjanie uważają, że ta część Europy nie jest zdolna do obrony?

Wiadomo, że nie jest zdolna. Przecież przykład takich operacji jak w Libii i Syrii pokazuje, że Europa nic nie może zrobić.

▶ Czy to oznacza, że stoimy przed przetasowaniem w układzie sił?

Obawiam się, że w pewnym momencie mogą nastąpić zupełnie nieprzewidywalne wydarzenia. Nie wiemy tak naprawdę, co się stanie w Rosji.

▶ Czy powrót Związku Sowieckiego to nie jest kompletnie niemożliwy scenariusz?

Oni do tej pory uważali, że obecnie ich najlepsza broń to uzależnienie Europy od zaopatrzenia w energię. Ale to się kończy. Dlatego musi się znaleźć jakaś inna koncepcja.

▶ Inna forma uzależnienia?

Tak. Polityka rosyjska – w przeciwieństwie do niemieckiej – jest znacznie bardziej przewidywalna. Jeżeli jednak w Rosji nastąpi wewnętrzny kryzys, to odżyje naturalna tendencja rządzących, aby to skanalizować poprzez zewnętrzne sukcesy.

▶ Tego uczy historia Rosji.

W 1994 roku miała miejsce taka sytuacja, kiedy ktoś pobił rosyjskich turystów na Dworcu Wschodnim. Ówczesny minister spraw wewnętrznych twierdził wtedy, że jest gotów iść na klęczkach do Moskwy, żeby jakoś załagodzić sytuację. Cała sprawa miała miejsce w przeddzień wizyty rosyjskiego premiera i moim zdaniem było to zaplanowane, tak aby wymusić podpisanie zgody na rurociąg jamalski. Zawsze więc możemy sobie wyobrazić taki incydent i na przykład w ślad za tym zajęcie krajów bałtyckich. Czy my w jakikolwiek sposób jesteśmy temu w stanie przeciwdziałać? Nie. Trzeba się będzie pokłonić.

▶ A później co?

Później wszystko będzie się rozwijało dalej, w myśl logiki Hitlera w latach 30. Może ja ulegam sugestiom doświadczeń historycznych pierwszej połowy XX wieku, no, ale pamiętam przecież, jak było. Ludziom się nie mieściło w głowie: jest Polska, jest kraj, który się rozwija, bo chociaż przedwojenna Polska nie była krajem idealnym, to rozwijała się szybko. Ale gdyby wtedy, w 1937 roku, ktoś powiedział moim rodzicom, że oni za kilkanaście miesięcy będą w tak trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, że spali się nasz dom itp., to nikt by mu nie uwierzył i nie przyjął tego do wiadomości. Nie bądźmy więc tak pewni siebie, bo sytuacja rzeczywiście zaczyna się bardzo dynamizować. Mam wrażenie, że jednak nikt w Polsce nie docenia politycznych aspektów kryzysu w Europie, który nie wiadomo jak i kiedy się zakończy. ■

eprasa.pl d14e7ac149

Piotr Lisiewicz

O „nocnej zmianie" i rządzie Jana Olszewskiego powiedziano po śmierci premiera wiele, natomiast rzadko poruszany jest kluczowy fakt: do konfrontacji rządu Olszewskiego z postkomunistycznymi układami po prostu musiało dojść, bo wynikało to z głoszonych przez premiera niepodległościowych koncepcji, których fundamentem miało być wyrwanie państwa z rąk komunistycznej bezpieki. W maju 1991 roku te idee głoszone przez Jana Olszewskiego opisał śp. Jacek Kwieciński (późniejszy publicysta „Nowego Państwa") w czasopiśmie „Orientacja na prawo". W artykule tym znajdują się główne tezy niezwykle ważnego wystąpienia Olszewskiego z 1991 roku w czasie posiedzenia Komitetu Obywatelskiego. Jego ocena sytuacji w Polsce była zaprzeczeniem wszystkiego, o czym mówiły wówczas media, dlatego starały się one to wystąpienie przemilczeć. Ocena ta jest uzupełniona niezwykle trafnymi uwagami Jacka Kwiecińskiego. Niestety, wiele z nich jest aktualnych do dziś.

Jacek Kwieciński

Jan Olszewski 1991.

Idee polityczne adwokata, które doprowadziły do starcia 4 czerwca 1992

„Dopóki podstawowe organy państwa są w takim stanie, w jakim są obecnie, jest ono pozbawione atrybutów swojej suwerenności [...]. Dokumenty, które rzekomo są zniszczone, a jestem przekonany, że z pewnością zabezpieczono je i że znajdują się one w dyspozycji zarówno osób fizycznych, jak i specjalnych organizacji i siatek stworzonych w tym celu, o obcych mocarstwach nie mówiąc, są potężnym narzędziem w ręku politycznego przeciwnika" – Jan Olszewski, 7 kwietnia 1991 roku.

Podczas zebrania Krajowego Komitetu Obywatelskiego (7.04) poświęconego w dużej mierze tematowi: „Polityczne, moralne i prawne problemy rozrachunku z komunistami" wydarzeniem stało się wielkie wystąpienie mecenasa Jana Olszewskiego.

Mówca wyszedł poza temat i przedstawił krótko, lecz niezmiernie dobitnie i treściwie to, co najbardziej nurtuje i niepokoi środowiska niepodległościowe. Przez półtora roku od odsunięcia się komunistów od władzy nie dokonano faktycznie w Polsce autentycznej próby budowy nowego, wolnego państwa. „Zmiana ustroju jakby się u nas jąkała" – zauważa znany komentator. [...]

Popełniono wiele zaniedbań i zaniechań, co powoduje, że sytuacja nie tylko nie jest normalna, ale także, iż jest wciąż odwracalna. Przy tym wszystkim występuje zupełnie niezrozumiała niefrasobliwość, tak jakby korzystna koniunktura miała trwać wiecznie. Niektóre niezbędne zmiany są wręcz hamowane przez niekomunistyczne władze.

eprasa.pl d14e7ac149

Wystąpienie mecenasa Olszewskiego miało wyjątkową wymowę. Po raz pierwszy od długiego czasu osoba tej rangi, postać reprezentująca zawsze postawę wolnościową, ale zarazem znana ze spokoju i umiarkowania, potwierdziła – konkretnie i na przykładzie wielu dziedzin życia publicznego – że nasz m.in. krytycyzm wobec kierunku i tempa zmian politycznych w kraju nie wynika z przesadnego fundamentalizmu i chorobliwego radykalizmu, lecz jest w pełni uzasadniony.

Nie powiedziano do końca pełnej prawdy o 45 latach PRL, nie wyciągnięto z tej prawdy praktycznych wniosków, nie podjęto rzeczywistej próby unormalnienia Polski. Mówiąc językiem, który tak wiele elit politycznych razi: nie odkomunizowano państwa.

Jest wręcz zdumiewające, że wystąpienie osoby tej rangi, powszechnie szanowanej i w oczywisty sposób nie występującej w imię jakiegoś interesu partyjnego czy grupowego, zostało w środkach masowego przekazu, podobno wolnych, niezależnych oraz pluralistycznych, zbagatelizowane czy wręcz zignorowane [...]. Już sam ten fakt potwierdza podstawową tezę zawartą w przemówieniu Jana Olszewskiego.

„... dopóki podstawowe organy państwa są w takim stanie, w jakim są obecnie, jest ono pozbawione atrybutów swojej suwerenności".

„... czy zdołamy przełamać obecny impas, jaki wytworzył się na skutek odsunięcia na okres trudny do przewidzenia wyborów nowego parlamentu? Czy dokonamy jakichkolwiek zasadniczych zmian w strukturach prawnych państwa?.. Jeśli w tym zakresie sprawę przegramy – a jesteśmy obecnie na najlepszej do tego drodze – jeszcze raz okaże się, że przeżyliśmy tylko kolejny i bardzo głęboki kryzys komunizmu...".

Ponieważ w sposób świadomy wszelkie media starają się, by wystąpienie to nie stało się tym, na co zasługuje – publicznym wydarzeniem politycznym i impulsem zarówno do dyskusji, jak i do działania – postanowiliśmy podkreślić jego znaczenie w naszym skromnym zakresie. [...]

▶ FRAGMENTY WYSTĄPIENIA JANA OLSZEWSKIEGO PODCZAS POSIEDZENIA KRAJOWEGO KOMITETU OBYWATELSKIEGO 7.04.1991 roku

[...] Polityka „grubej kreski" nie dlatego jest szkodliwa, że uchyla indywidualną odpowiedzialność i że uniemożliwia prowadzenie procesów, tylko dlatego, że z jej powodu nie można sięgnąć do materiałów ujawniających pełną prawdę o tym systemie, w którym przez niemal pół wieku żyliśmy. Fakt, że tylko u nas – może poza Rumunią – nie ujawniono żadnych materiałów dotyczących SB i służb specjalnych, jest swoistym ewenementem lub wręcz skandalem. Co więcej, nadal robi się wszystko, aby to uniemożliwić. Byli funkcjonariusze SB, którzy chcą ujawnić przestępstwa – często zresztą wykonywane na rozkaz – zwracają się w tej sprawie do obecnych zwierzchników resortu o zwolnienie ich z tajemnicy służbowej. Mimo jednak odejścia z owej służby, zwolnień takich otrzymać nie mogą. Wiem, że sprawa tzw. tajnych list konfidentów SB jest po 45 latach policyjnego reżimu czymś szalenie drażliwym i trudnym. Tym bardziej że pozwolono na zniszczenie przynajmniej większej części dokumentacji. Ale przecież coś na ten temat obecnym władzom wiadomo, jakieś materiały ona w spadku przejęła. Nie można więc powiedzieć, że te, które są, nie interesują nas i że należy pozostawić je historykom. Nie wolno tak powiedzieć, bo jest to moralny ładunek wybuchowy o sile bomby atomowej.

Należy również pamiętać, że w każdej chwili materiały te mogą być użyte przeciwko nam przez tych, którzy budowali dawny system. Dokumenty, które rzekomo są zniszczone, a jestem przekonany, że z pewnością zabezpieczono je i że znajdują się one w dyspozycji zarówno osób fizycznych, jak i specjalnych organizacji i siatek stworzonych w tym celu, o obcych mocarstwach nie mówiąc, są potężnym narzędziem w ręku politycznego przeciwnika. I dlatego sprawy tej pozostawić i zakryć milczeniem nie wolno. Niedopuszczalna jest sytuacja, w której z ust urzędującego ministra MSW, ministra postsolidarnościowego, dowiadujemy się, że wśród nowych prominentów życia politycznego, wśród naszych senatorów i posłów, są ludzie, którzy współpracowali z SB i jednocześnie nie dowiadujemy się, kto to jest. To sytuacja, która nas wszystkich upokarza i na dłuższą metę jest nie do utrzymania. W nadchodzących wyborach, przy układaniu przez poszczególne partie list swoich kandydatów do parlamentu, powinniśmy domagać się od właściwych organów władzy ujawnienia przeszłości potencjalnych posłów bądź senatorów. Chodzi o to, abyśmy oddając głosy, mieli przynajmniej elementarną pewność, że nie jest w stosunku do nas prowadzona polityczna manipulacja i że w tej manipulacji nie uczestniczą również organy władzy Rzeczypospolitej [...].

***

Bardzo modną rzeczą jest dziś mówienie, że RP jest państwem prawa, co zresztą zostało wpisane do poststalinowskiej Konstytucji. Frazes ten powtarza się bez końca i przy każdej okazji. Tymczasem trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, w jakim zakresie to prawo, które ma być przestrzegane, w ogóle do przestrzegania się nadaje? Jestem prawnikiem, który przez 45 lat obser-

eprasa.pl d14e7ac149

wował funkcjonowanie tego systemu. Ludzie, którzy mówią dziś, że należy przestrzegać ustaw, także tych z okresu minionego, czynią to albo w złej wierze, albo naprawdę nie zauważyli, że system konstruowany był w taki sposób, aby przestrzeganie prawa praktycznie uniemożliwiało funkcjonowanie każdej władzy i każdego państwa. Był on świadomie budowany na sprzecznościach, ponieważ władza w tym kraju nie kierowała się prawem, a jedynie interesem politycznym. Utrzymanie tego stanu rzeczy w RP jest niemożliwe. Jest sprzeczne z samą istotą jakiejkolwiek praworządnej państwowości. [...]

W imię ochrony szczytnej zasady niezawisłości sądów i sędziów utrwaliliśmy obecną strukturę personalną całego sądownictwa. Również prokuratury oraz innych dziedzin, gdzie formalnie przeprowadzono tzw. weryfikacje, które jednak do niczego nie doprowadziły. W chwili obecnej, próba przebudowy tego aparatu w normalnym trybie działania polityki personalnej, jest po prostu niemożliwa. Spetryfikowaliśmy stare nomenklaturowe struktury w najbardziej newralgicznych miejscach struktury państwowej, takich jak wymiar sprawiedliwości, policja, wojsko, podstawowe ogniwa administracji czy oświata [...].

JAN OLSZEWSKI,
tekst wystąpienia nieautoryzowany.

***

▶ POWIEDZIEĆ WSZYSTKO

Niech mi będzie wolno dodać do tak celnych i ważkich uwag Jana Olszewskiego parę słów zarówno bardziej teoretycznych, jak i osobistych. [...]

Otóż, wbrew powszechnie głoszonym tezom – komunistów (i komunizmu) nie pokonaliśmy – to komuniści, z takich czy innych względów, odsunęli się z pierwszego rzędu. Toteż w bardzo znacznym stopniu nie czują się oni pokonani ani za swe wieloletnie rządy moralnie odpowiedzialni. Czują się dobrze. Powstaje jednak pytanie, czy tak musiało się stać, czy musiała powstać taka sytuacja? Jest zupełnie oczywiste, że owoce zła, które teraz zbieramy, narodziły się przy tzw. okrągłym stole. [...]

Tymczasem egzystuje nadal w najlepsze mit o jej niezbędności i automatycznie wynikłych z zawartego wówczas porozumienia zbawiennych dla kraju skutkach. Ex post dorobiono do tego całą ideologię: gdyby nie „okrągły stół", groziła nam wojna domowa i rozwiązanie rumuńskie. A także: peerelowski „okrągły stół" – stał się motorem i praprzyczyną wszelkich zmian w Obozie.

Obie tezy nie wytrzymują krytyki. Rozmowy w Magdalence rozpoczęto z inicjatywy komunistów czujących swą słabość i pragnących zbudować szerszy koalicyjny obóz władzy. Druga strona, nazwijmy to, z niecierpliwości (poprzestańmy tutaj na tym określeniu) źle oceniła sytuację i siłę przeciwnika, co zawsze stanowi niewybaczalny błąd polityczny. Należało tylko poczekać parę miesięcy, a mielibyśmy dziś inną Polskę. Twierdzenie, że „okrągły stół" spowodował wszystko i wszędzie, jest przejawem megalomanii. Był wynikiem, a nie przyczyną, zmian dokonujących się tam, gdzie się jedynie liczyły, tj. w Sowietach. Dotychczasowy styl i zasady rządów komunistycznych chwiały się wszędzie – Sowieci postanowili je wyprzedzająco zmienić, przy czym modelem dla pozostałych państw, modelem zmian kontrolowanych, „konstruktywnych" i „koalicyjnych" miała stać się Polska. [...]

Powstał układ niemoralny, demoralizujący i dezorientujący, układ rozbrajający psychologicznie i politycznie społeczeństwo polskie. Po okresie współpracy, z przyczyn w ogromnej mierze niezależnych od układających się stron, powstała szansa, by z owego układu – zakłamanego, zakłamującego i do żadnej pełnej wolności nie prowadzącego – wydostać się i rozpocząć odbudowę normalnego, naszego państwa, rozpoczynając od pełnego nazwania przeszłości oraz tego, z kim i z czym mamy do czynienia. Zaprzepaszczono tę szansę. Ewolucja w tym względzie (jej przeciwieństwem nie była bynajmniej gwałtowna rewolucja) pogłębiła szkody wywołane przez umowę „okrągłego stołu". Tępy opór rządu Mazowieckiego i decydującej części prezydium OKP przedłużył żywot zarówno istoty, jak i filozofii „okrągłego stołu".

***

W oparach obłudnego moralizatorstwa przemieszano i zatarto wszystko. Na fundamentach komunistycznych zadekretowano „państwo prawa", na narzuconych nam bolszewickich korzeniach chciano budować wolną Polskę. Ba, ogłoszono, że już powstała. Wyrywano i nowelizowano chaotycznie to i owo z dżungli bezprawia i nonsensu, współpracując cały czas z komunistami, których nie tylko uznano wręcz za patriotycznych i normalnych polityków, ale którym oddano jeszcze w pacht całą – lewicową – część sceny politycznej i uznano za „demokratów". O korzeniach, naturze i istocie systemu zaczęły wychodzić książki, ale w praktyce politycznej nic z tego nie wynikało i nie wynikło [...]

Najbardziej bohaterskich reprezentantów najbardziej bohaterskiego pokolenia pakowano do pohitlerowskich obozów koncentracyjnych. Wszystko zaś oblepiała coraz gęściej potworna, dusząca obłuda. Krańcowo upokarzano godność Polaków, opluwano najpiękniejsze fragmenty naszej historii, starano się

eprasa.pl d14e7ac149

zniszczyć naszą pamięć i złamać ducha. Dokonywano tego systemowo i w sposób zaprogramowany. Trudno znaleźć w naszej historii paralele dla potwornego losu, który dotknął wówczas Polskę. Znalazła się w kleszczach najstraszniejszego systemu znanego ludzkości – najstraszniejszego pod każdym względem. Systemu narzuconego w dodatku z zewnątrz. [...]

Tu i ówdzie ulice polskich miast noszą jeszcze nazwy ludzi podpisujących wyroki śmierci na patriotów, których ciała odnajdywane są dziś w masowych, bezimiennych grobach. Planowe mordy na przeciwnikach politycznych i grupach „wrogów klasowych" są takim samym ludobójstwem, jak te dokonywane z pobudek rasowych. A jednak ciągle wiele osób z naszych elit politycznych potępia antykomunizm jako odczucie zbyt jednostronne i prostackie. Redaktor najlepszego dziennika nazywa absurdem tezę głoszącą, że zniszczenia dokonane w Polsce po wojnie były większe niż w czasie jej trwania. Zapomina nie tyle o tym, z jakimi krajami stała Polska na równi przed wojną i jakim jest obecnie, ale o zniszczeniach niewymiernych, duchowych. Setki tysięcy emigrantów, zaprzepaszczone bądź nie odkryte, zdolności twórcze (w każdej dziedzinie) milionów ludzi, straty kulturowe, efekty codziennego wieloletniego schizofrenicznego życia, egzystowanie w kłamstwie paru pokoleń, dewastacja świadomości, odcięcie od świata – wyliczać by można długo.

***

Jestem zmęczony, a szczerze mówiąc – dostaję nudności od wynurzeń byłych aktywistów opisujących swe mentalne dylematy, „skomplikowanie" sytuacji powojennej oraz to, że nie żałują interesującego z punktu widzenia artystyczno-intelektualnego okresu kolaboracji z tymi, którzy dokonali gwałtu na Polsce. Nie dotyczy to problemu „rozliczenia" się z komunistami, ale na pewno z komunizmem. Nadal kwitnie mitotwórstwo. Z reguły pisze się, ile to milionów ludzi należało w sumie po wojnie do PPR i PZPR. Czas wreszcie powiedzieć głośno, i to bez zamiaru potępienia kogoś, lecz dla stwierdzenia faktu: miliony nie tylko nigdy do tych organizacji nie należały, ale zapisanie się do nich było dla nich czymś niewyobrażalnym. Wstąpienie do PZPR byłoby dla nich równoważne z napluciem na krzyż czy też biało-czerwony sztandar. Jakoś się o nich zapomina, o ich codziennym, szarym z konieczności życiu nie pisze się rozpraw.

Całe życie miałem dławiące uczucie otaczającego mnie absolutnego zakłamania, całkowitej wrogości i obcości otaczającego mnie systemu i obecności nienawistnej władzy, która tylko ze względów pragmatycznych posługuje się językiem polskim. Moimi herosami byli i pozostali „chłopcy z lasu", a choć to w naszych humanitarnych czasach zabrzmi źle, najwięcej podziwiałem tych, którzy wykonali wyrok na Martyce (z dzisiejszych publikacji wynika, że był on agentem NKWD już w czasie wojny, w Wilnie). Mało wówczas wyrosłem ponad ziemię, ale wobec szalejącego terroru czyn ten wydał mi się (słusznie) szczytem bohaterstwa. Niczym nie różnił się od wykonania wyroku na agentach gestapo w czasie wojny, a nawet wymagał jeszcze większego heroizmu. „W imieniu Rzeczypospolitej" – za zdradę należał się tylko jeden wyrok. Bohaterem mojej bardzo wczesnej młodości był nie Goździk, ale powstańcy węgierscy, dlatego że ich działanie przerodziło się w zryw czysto antykomunistyczny. To samo dotyczy Poznania 1956, które to „wydarzenia" na zawsze pozostaną w mej pamięci jako najwspanialszy masowy „zryw powojenny" – gdyż przekształciły się w walkę o honor i godność nie „klasy robotniczej", lecz po prostu człowieka i Polaka.

***

Rozumiem zapał tych, którzy przeżywali Październik 1956. Byłem na Placu w trakcie przemówienia Gomułki, lecz, mimo że nie chodziłem jeszcze nawet do liceum, dominowało we mnie uczucie uwolnienia od potwornej duszności, a nie żaden entuzjazm. Do dziś jestem przekonany, że gdyby na miejscu nowego pierwszego sekretarza znalazł się gen. Anders (czy ktokolwiek „z Londynu"), nie tylko śpiewano by mu ,,100 lat", ale poniesiono wraz z samochodem ulicami Warszawy. [...]

Trzeba wreszcie rozliczyć się z komunizmem. Wszystko nazwać, wszystko powiedzieć. O niczym nie zapomnieć. Odrzucić zakłamane pseudomoralizatorstwo i nazwać rzeczy po imieniu. Nazwać tak system skierowany przeciw człowiekowi i to niezależnie od jego fazy czy etapu. Infamię nazwać infamią, a zdradę zdradą. Nie krępować się, powiedzieć, że żyją tu tacy, którym za nic, nawet w imię „dobra ogólnego", nie podałoby się ręki. Nie udawać, że komunizm był, jest czy będzie normalnym, acz ekonomicznie niewydajnym, ustrojem. Nie potrzeba do tego siekierek. Wystarczy tylko wolny głos w wyborach w pełni wolnych ludzi. Wszelkie „grube kreski" są natomiast szkodliwe zarówno dla moralnego zdrowia społeczeństwa, jak i możliwości budowy normalnego państwa. Bez pełnego rozliczenia się z przeszłością i choćby moralnego, ale wyraźnego i głośnego, potępienia tych, którzy rządzili nie tylko wbrew, ale przeciw społeczeństwu, nie powstanie autentyczna III Rzeczpospolita. Jest to wykluczone. Czas wreszcie pokonać komunizm. ■

_____

Przedruk za: „Orientacja na prawo", Maj 1991, nr 5 (75).

eprasa.pl d14e7ac149

Jakub Augustyn Maciejewski

HOMOIDEOLOGIA. HISTORIA PRAWDZIWA

CZĘŚĆ I

Ma swoich myślicieli, intelektualistów, praktyków i wyznawców – próby jej zakwestionowania kończą się dobrze sprawdzoną histerią, agresją i przemyślanymi oskarżeniami. Już nawet samo określenie „homoseksualista" jest wymyślone po to, by złagodzić pierwotne, surowo brzmiące określenie.

eprasa.pl d14e7ac149

Choć pociąg seksualny mężczyzn do innych mężczyzn faktycznie istnieje w historii ludzkości od tysięcy lat, to jednak pomysł utworzenia na tej podstawie społeczności, powiązanej upodobaniami erotycznymi, pochodzi z XIX wieku. Choć nauka – psychologia, psychiatria, fizjologia i genetyka – po pierwsze w ogóle powstały, a po drugie posunęły się naprzód od tamtych czasów, w rzeczywistości postulaty pierwszych aktywistów „homoseksualnych" z połowy XIX stulecia są używane do dziś w ledwie zmienionej formie. Można wyciągnąć z tego dwa wnioski – albo prekursorzy ruchu byli tak genialni, że wyprzedzili odkrycia DNA, przewidzieli rozwój społeczeństwa, posiedli wiedzę o szczęściu człowieka większą niż wszystkie pokolenia filozofów razem wzięte, albo... stworzyli doktrynę, której podporządkowują naukę, filozofię, historię, a nawet język, i nie liczą się z faktami, szkodząc nie tylko społeczeństwu, lecz także samym osobom czującym pociąg do tej samej płci.

i niezdolnego do sprawowania władzy. Nastoletni władca najpierw zakochał się w swoim woźnicy, Hieroklesie, którego uczynił swoim kochankiem, publicznie nazywając go swoim mężem, a nawet następcą. Później zachwycił się czarnoskórym atletą Zotikusem, który słynął z tego, że był hojnie obdarzony przez naturę. Homoseksualne orgie urządzane przez cesarza obrastały w legendy, a niektórzy kronikarze epoki twierdzą, że cesarz rozważał nawet własne wykastrowanie i pytał medyków o możliwość sprawienia mu waginy. Zdarzało się, że młody imperator pokazywał się publicznie z makijażem, który nie tylko miał eksponować jego utożsamienie się z kobietami, lecz także maskować rany i sińce zadane mu przez kochanków w ramach erotycznych zabaw. Nic dziwnego, że babka cesarza wespół ze swoim innym wnukiem, Aleksandrem Sewerem, oraz z poparciem ludności wiecznego miasta przygotowała zamach stanu na nienormalnego władcę i zakończyła jego żałosne panowanie.

DO XIX WIEKU PRÓŻNO ZNALEŹĆ TEORETYKA, KTÓRY BY Z PREFERENCJI SEKSUALNYCH I UPODOBANIA DO OSÓB TEJ SAMEJ PŁCI CHCIAŁ UCZYNIĆ POSTULAT CYWILIZACYJNY.

Między aktem homoseksualnym a doktryną

Religie monoteistyczne potępiały homoseksualizm jako grzech Sodomii, odwołując się często do Starego Testamentu, w którym w miastach Sodoma i Gomora dochodziło do takich aktów między mężczyznami. Inaczej było w greckiej i rzymskiej kulturze, gdzie współżycie mężczyzn zazwyczaj z młodzieńcami było praktyką stosowaną, lecz nie powszechną. Co ważne, nawet jeśli mistrzowie myśli antycznej korzystali z wdzięków swoich młodszych adeptów, to z jednej strony traktowali to jako akt wprowadzania ich w dorosłość, obok przekazywania im nauk intelektualnych, a z drugiej oprócz przyjemności fizycznych mieli swoje rodziny – żonę, dzieci i wnuki. Poleganie tylko na związku z osobą tej samej płci nie było wskazane i nawet zwyrodniały cesarz rzymski z początków III w. n.e. Heliogabal, mimo swoich praktyk homoseksualnych, poślubiał kolejne kobiety, chcąc sobie zapewnić potomstwo. Tolerancyjne czy wręcz hedonistyczne społeczeństwo elit dojrzałego cesarstwa rzymskiego, choć znało i akceptowało romanse między mężczyznami, było przeciwne zastępowaniu tradycyjnych związków takim pożyciem. Tymczasem Heliogabal poprzez swoje praktyki zyskał opinię chorego na umyśle

W średniowieczu i wczesnej nowożytności stosunek między mężczyznami nazywano sodomią i potępiano jako grzech przeciwko Bogu i naturze. Rzecz jasna zdarzały się liczne przypadki aktów homoseksualnych, o które podejrzewano m.in. nawet króla Henryka Walezego, ogólnie uznawanego za zniewieściałego, ale w walce politycznej współżycie między mężczyznami uznawano za coś wybitnie upokarzającego. XVIII-wieczny świat oświecenia promował wiele rodzajów hedonistycznej rozrywki, a rzecznikiem stosunków homoseksualnych był także markiz de Sade, teoretyk zadawania bólu podczas stosunków seksualnych, który do swoich praktyk wliczał też orgie męsko-męskie. I do tej pory, choć homoseksualizm był obecny w społeczeństwie, nie stanowił jednak pozytywnego wzorca i nie zestawiano go na równi z innymi postawami życiowymi. XIX wiek przyniósł w tym względzie poważne zmiany i mity, które powstały wśród marginalnych kręgów intelektualnych i stanowią do dziś podstawę tworzenia ideologii homoseksualnych.

Szalony kapelusznik i początki ideologii

Wiele nurtów politycznych Zachodu, takich jak luteranizm, ateizm czy marksizm, a także homoideolo-

eprasa.pl d14e7ac149

gia, pochodzi z Niemiec. Do XIX wieku próżno znaleźć teoretyka, który by z preferencji seksualnych i upodobania do osób tej samej płci chciał uczynić postulat cywilizacyjny. Jednak przykład takich stosunków erotycznych z przeszłości oddziaływał na zainteresowanych, którzy zaczęli promować wizję sodomii jako naturalnej postawy. Jednym z pierwszych był Heinrich Hössli, szwajcarski, niemieckojęzyczny kapelusznik, który wydał 650-stronicową książkę publicystyczną pod tytułem „Eros: męska miłość Greków w historii, pedagogice, literaturze i prawie wszystkich czasów". W rzeczywistości książka rzemieślnika nie zawierała szczególnych badań i spostrzeżeń dotyczących stosunków seksualnych w starożytności, jednak proponowała narrację dotyczącą homoseksualizmu, która przyjęła się w późniejszych organizacjach i jest stosowana do dziś – nawet wbrew naukowym odkryciom. Hössli stwierdził, że człowiek rodzi się homoseksualny, powołując się na opinię lekarza i położnika Josepha Hermanna Schmidta, który opisał seksualność jako zależną nie od fizycznych genitaliów, lecz od „wnętrza duszy". Gdy dzisiejsi aktywiści ruchów LGBT powtarzają tę samą tezę, że homoseksualizm jest wrodzony, a tożsamość płciowa (gender) jest niezależna od fizycznych narządów płciowych, jedynie replikują myśl Hössliego, który nie miał intelektualnego przygotowania (wyrabiał kapelusze dla kobiet!), aby zweryfikować takie tezy. Hössli wymyślił jeszcze jeden rewolucyjny zwrot, który przyjęto w późniejszych ruchach lewicowych z nie mniejszą czcią jak doktryny Karola Marksa. Kapelusznik nie pisał, że niektórzy mężczyźni posiadają inną seksualność, lecz że są inni seksualnie. Ta walka o słowa przewija się do dziś. Nieprzypadkowo profesor Ryszard Legutko, członek europarlamentu z ramienia Prawa i Sprawiedliwości, konsekwentnie używa sformułowania „osoby o skłonnościach homoseksualnych", nie zaś „osoby homoseksualne" lub „homoseksualiści". Ta z pozoru nieznaczna różnica wyróżnia obie strony cywilizacyjnego frontu, bowiem „osoby o skłonnościach homoseksualnych" mają prawo do realizowania swoich skłonności, natomiast „homoseksualistów", a więc osoby będące takie rzekomo od urodzenia, w pełni zidentyfikowane w ten sposób, powinny być zaakceptowane w całym spektrum swoich oczekiwań: legalizacji związków, adopcji dzieci czy publicznego epatowania swoją seksualnością. Dobrze istotę funkcjonowania organizacji homoseksualnych skwitował prof. Legutko w wywiadzie dla portalu Wprost.pl: „Nie ma czegoś takiego jak mniejszość seksualna. Słowo »mniejszość« ma sens polityczny, a homoseksualiści nie są partią polityczną, nie stanowią jednolitej organizacji czy społeczności. Ludzie o skłonnościach homoseksualnych należą do różnych partii i mają różne światopoglądy. Wszelkie organizacje homoseksualne mają charakter uzurpatorski".

Hössli sformułował jeszcze jedną rewolucyjną tezę, która dziś jest jednym z przykazań homoreligii. W 1817 roku w stolicy Szwajcarii Bernie stracono Franza Desgouttesa, 32-letniego mordercę, który zabił o 10 lat młodszego mężczyznę Daniela Hemmelera, prawdopodobnie swojego kochanka. Kapelusznik uznał, że kara śmierci dla zabójcy jest wyrazem niezrozumienia tej sytuacji oraz opresyjności społeczeństwa wobec mężczyzn pożądających innych mężczyzn. Gdy pojęcie „opresywności społeczeństwa" wrośnie także w myśl Karola Marksa, Zygmunta Freuda, a później neomarksistowskiej Szkoły Frankfurckiej po II wojnie światowej, wraz z antykatolicką publicystyką włoskiego komunisty Antonio Gramsciego, homoideologia włączy się w nurt rewolucji społecznej, mającej obalić tradycyjny porządek. Ziarno destrukcji zostało zasiane.

Prawdziwą rewolucją w zakresie wprowadzania homoseksualizmu do kanonu zachowań społecznych było powołanie w 1919 roku Instytutu Seksuologicznego w Berlinie.

Zmiana w prawie, pierwsze instytucje

Kolejny krok do awansu skłonności homoseksualnych do rangi fundamentalnych praw człowieka miał miejsce w Prusach. Niepozorny i złowieszczy akt wykorzystania seksualnego niemieckiego ucznia jazdy konnej, Karla Heinricha Ulrichsa, przez jego 30-letniego instruktora pozostawił w psychice chłopca chęć współżycia z innymi mężczyznami, a zwłaszcza chłopcami. Ofiara molestowania – bo tak byśmy ją dzisiaj nazwali – idąc w kierunku kariery prawnej, jednocześnie rozważała uczynienie z preferowania męsko-męskich stosunków homoseksualnych powszechnie dozwolonej i aprobowanej postawy. Tymczasem w Prusach od lat 40. XIX wieku trwała reakcja konserwatywna, podczas której do władzy doszli purytańscy politycy, wprowa-

eprasa.pl d14e7ac149

dzający wiele rygorów nie tylko antydemokratycznych i wzmacniających specyficzny reżim królewski, a później cesarski, lecz także stojący na straży postaw moralnych. Paragraf 175 niemieckiego Kodeksu karnego przewidywał wówczas karę więzienia za sodomię, a Ulrichs jako prawnik postanowił ten przepis zakwestionować. Wtedy po raz pierwszy sformułowano ideę „trzeciej płci", którą dziś wyraża skrót LGBT – czyli że poza mężczyznami (czującymi pociąg do kobiet) i kobietami (czującymi pociąg do mężczyzn) istnieją jeszcze inne płcie – lesbijki, geje, biseksualiści, transseksualiści (i transwestyci), choć wówczas niemiecki sodomita skonstruował tylko jedną dodatkową płeć, którą nazwał „uranianami". Nazwa pochodzi od dziewiątej muzy Uranii, którą grecki bóg Eros przedstawiał jako opiekunkę stosunków seksualnych osób tej samej płci. Na dowód powiązań i fascynacji marksizmem można przytoczyć hasło niemieckiego prawnika, który rozważał powołanie seksualnej międzynarodówki, skoro ukuł hasło: „Uranianie wszystkich krajów – łączcie się". Publicystyka Ulrichsa pozostała bez odzewu, ale wyznaczyła ważny kierunek w dalszym rozwoju zawiązującej się ideologii – że należy zmienić nazwę upodobań seksualnych, bo słowo „sodomia" była nie do zaakceptowania przez społeczeństwo. Wcześniej jednak należało walczyć z kodeksem karnym, który przewidywał penalizację stosunków męsko-męskich. Postęp w tej sprawie zainicjował Karl-Maria Kertbeny, austro-węgierski dziennikarz i pisarz, który wprowadził rozróżnienie: osoby „heteroseksualne" i „homoseksualne". Był to sprawny zabieg manipulacyjny, bo słowo „homoseksualista" zdaje się nawiązywać do łacińskiego określenia człowieka („homo sapiens"), zaś gra słów polegała na zestawieniu upodobania seksualnego do osób płciowo różnych (hetero) i płciowo takich samych (homo). Do katalogu broni semantycznych, oprócz „opresyjności społeczeństwa", „bycia seksualnie innym", nawiązywania do rzekomego uznawania homoseksualizmu w starożytności, doszedł więc sam wyraz „homoseksualizm", wymyślony właśnie przez Kertbeny'ego. Nieprzypadkowo też kolejna osoba zajmująca się promowaniem tej postawy seksualnej sama wykazywała skłonności do osób tej samej płci. Gdy w 1869 roku dziennikarz wystosował list otwarty do pruskiego ministra sprawiedliwości Adolpha Leonhardta, w którym apelował o zniesienie kary więzienia za stosunki homoseksualne, był już po traumie tropienia jego aktów seksualnych przez berlińską policję. Występując przeciw „paragrafowi 143" pruskiego kodeksu karnego (zamieniony później w 175 paragraf ogólnoniemieckiego kodeksu karnego), nazwał go „łamaniem praw człowieka". Do arsenału broni homopropagandy dołączono więc kolejny argument, którym ruchy LGBT posługują się do dziś. O ile jednak Kertbeny chciał zaprzestania karania aktów homoseksualnych, o tyle współcześnie wszelka odmowa przywilejów dla osób ze skłonnościami homoseksualnymi wydaje się łamaniem praw człowieka.

Prawdziwą rewolucją w zakresie wprowadzania homoseksualizmu do kanonu zachowań społecznych było powołanie w 1919 roku Instytutu Seksuologicznego w Berlinie. Była to pierwsza poważna próba zinstytucjonalizowania tworzącego się ruchu. Jego twórca, Magnus Hirschfeld (1868–1935), już wcześniej stworzył Komitet Naukowo-Humanitarny, w którym zrzeszał homoseksualistów, zazwyczaj ludzi z klasy średniej, chcących nie tylko depenalizacji aktów seksualnych między mężczyznami, lecz także przyznania promowania swoich postaw. Organizacja liczyła 500 członków, przed parlamentem zdołała przedstawić listę 6000 podpisów pod swoimi postulatami i była kanwą do założenia formacji bardziej wiarygodnej, gdyż przybierającej nimb naukowości. Ale oprócz zbierania środków na swoją działalność, rewolucyjny krok Hirschfelda polegał na tym, że odtąd homoseksualiści mieli swoje miejsca spotkań, możliwość poznawania się, a więc tworzenia społeczności – jednak nie tylko do realizowania postulatów społecznych, lecz także zwyczajnie do wymieniania się partnerami. Stworzenie Instytutu Seksuologicznego, którego głównym zadaniem były prace o homoseksualizmie, zapoczątkowało też znamienne zjawisko, które rzutuje na kształt dzisiejszych badań na ten temat – że zazwyczaj to osoby o skłonnościach homoseksualnych poświęcają się temu tematowi, przejmując tym samym monopol na interpretację relacji męsko-męskich.

Rewolucja seksualna

Choć pierwotnie marksiści potępiali postulaty homoseksualistów, to jednak fiasko ideologii wyzwalania robotników, w przypadku gdy sami robotnicy nie chcieli być przez komunistów wyzwalani, przyniosła zasadniczą zmianę. Homoseksualiści zaczęli się jawić jako grupa uciskana, którą można wyzwolić w sposób podobny do tego, jak wyzwalało się – w teorii Marksa i Engelsa – ciemiężonych przez kapitalistów pracowników. Małżeństwo homoideologii i marksizmu, błogosławione przez psychoanalizę, przyniosło straszne w skutkach potomstwo. Ostatnie sto lat zaczęło się nieśmiałym badaniem seksualności, by przejść wreszcie do proponowania aktów seksualnych między dorosłymi a dziećmi. Choć w Polsce sprawa jest jeszcze skrywana pod delikatnymi postulatami praw człowieka, to w Holandii już w 1992 roku nakręcono film o „miłości" dojrzałego żołnierza do nieletniego chłopca... ■

Dalsza część tekstu w kolejnym numerze „Nowego Państwa".

eprasa.pl d14e7ac149

POZNAJ JAKOŚĆ STACJI PALIW

LOTOS — TWÓJ PARTNER W PODRÓŻY

Dbamy o komfort Twojej podróży, nieustannie doskonaląc naszą ofertę. Zatrzymaj się na stacji LOTOS, napij się aromatycznej kawy i zjedz coś pysznego z oferty Cafe Punkt.
Troszczymy się o wszystkich pasażerów, dlatego na Twojego pupila czeka miska ze świeżą wodą.
Podróżujsz motocyklem? Mamy dla Ciebie liczne udogodnienia i rabaty na paliwo z kartą Nawigator.

www.lotos.pl

LOTOS

Małgorzata Matuszak

I NIE OPUSZCZĘ CIĘ AŻ DO ROZWODU...

Dane, czy też raczej to, co za nimi stoi, są niepokojące. W Polsce notuje się wciąż wysoki wskaźnik rozwodów w porównaniu z ilością zawieranych małżeństw, a tendencja ta utrzymuje się od kilku lat i nic nie wskazuje na to, by miała ulec zmianie.

Z danych GUS wynika, że w 1950 roku rozwiodło się około 11 tys. par, w 2000 – 43 tys., od kilkunastu lat liczba rozwodów utrzymuje się na poziomie około 65 tys. rocznie. Z badań prof. Dominiki Maison wynika, że w dużych miastach przypada dziś 439 rozwodów na 1000 zawartych małżeństw. To przecież prawie co drugi związek.

Wzrost społecznej akceptacji

Dlaczego trwałe i spełnione małżeństwo stanowi coraz większe wyzwanie współczesności? Z badania przeprowadzonego na przełomie listopada i grudnia 2018 roku wynika, że nastąpił w Polsce wzrost przyzwolenia na rozwody. Ich zdecydowani zwolennicy stanowią grupę trzykrotnie większą niż ich przeciwnicy – tylko co ósmy ankietowany (12 proc., spadek o 1 punkt procentowy w porównaniu z rokiem 2013) jest ich zagorzałym przeciwnikiem, co trzeci zaś (32 proc., wzrost o 6 punktów) twierdzi, że małżonkowie decydujący się na rozwód nie powinni napotykać w tym względzie żadnych problemów. Wciąż największą, chociaż malejącą grupę (52 proc., spadek o 4 punkty) stanowią umiarkowani zwolennicy rozwodów – ci, którzy dopuszczają je w pewnych przypadkach, choć generalnie ich nie popierają. Jedynie nieliczni z badanych (2 proc.) nie potrafią określić w tej sprawie swego stanowiska lub mają inne zdanie na ten temat (2 proc.). CBOS podkreśla fakt, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat odsetek zwolenników rozwodów wzrósł z 20 do 32, czyli o ponad połowę.

Jak wynika z sondażu, stosunek do rozwodów – czego można się było spodziewać – uzależniony jest od światopoglądu danej osoby, jej religijności i poglądów politycznych. Wśród bezwarunkowych ich zwolenników znajduje się niemal trzy piąte osób niepraktykujących religijnie, prawie co druga osoba praktykująca kilka razy w roku i blisko połowa ankietowanych o zdeklarowanych lewicowych poglądach politycznych. Zdecydowany sprzeciw wyrażają respondenci o prawicowej orientacji politycznej i ci, którzy częściej biorą udział w praktykach religijnych.

Z sondażu wynika, że 71 proc. badanych uważa, iż najważniejsze dla człowieka jest jego osobiste szczęście, dlatego jeżeli ktoś nie czuje się szczęśliwy w trwającym związku, powinien rozwieść się i próbować ułożyć sobie życie na nowo. Jednakże 67 proc. respondentów twierdzi, że rozwody są złe i zawsze trzeba walczyć o związek.

Dlaczego Polacy się rozwodzą?

Chociaż wzrasta społeczna akceptacja dla rozwodów, trudno oprzeć się wrażeniu, że w Polsce problemy małżeńskie wciąż stanowią swojego rodzaju tabu. Jeśli w naszym małżeństwie dzieje się źle, najczęściej poprzestajemy na tym, by od problemu uciec. Traktujemy małżeński kryzys jako prywatny, samorozwiązywalny problem. Psychoterapeuci zajmujący się terapią małżeństw twierdzą, że większość par, które szukają u nich pomocy, robi to za późno. Często tylko po to, by mieć „czyste sumienie", by odhaczyć punkt „próbowaliśmy coś robić".

eprasa.pl d14e7ac149

Z danych GUS, przywoływanych przez CBOS, wynika, że najczęstszą przyczyną, na podstawie której orzekane są rozwody, wciąż jest niezgodność charakterów współmałżonków. W 2017 roku była to jedyna bądź jedna z kilku przyczyn formalnego rozstania blisko połowy małżeństw (42 proc.; 27,6 tys. spraw). Dalej znajdują się: niedochowanie wierności małżeńskiej (22 proc.; 14,2 tys. spraw) oraz nadużywanie alkoholu (16 proc.; 10,3 tys. spraw). Rzadziej orzekano rozpad małżeństwa (wyłącznie lub między innymi) z powodu nieporozumień finansowych (8 proc.; 5,1 tys. spraw), a także negatywnego stosunku jednego z małżonków do pozostałych członków rodziny (6 proc.; 3,6 tys. spraw). Na dalszych miejscach znajdują się: różnice dotyczące sposobu wychowywania dzieci, kłopoty mieszkaniowe, problemy seksualne, dłuższe rozstanie i różnice światopoglądowe.

Żyjemy w czasach „jednorazówek" i zaczynamy się do tego przyzwyczajać. Kiedy zepsuje się nam jakaś rzecz, najczęściej łatwiej jest nam ją wyrzucić, niż naprawić. Tak jest łatwiej, szybciej i, choć to zrazu nielogiczne i paradoksalne, nawet taniej. Te same zasady odnosimy niestety do naszego życia osobistego i uczuciowego. Coraz trudniej przychodzi nam praca nad relacją, zastanowienie się, co można w niej naprawić, by znów była satysfakcjonująca. Dlatego często kończymy ją i zaczynamy szukać nowej. Zdarza się, że jedna ze stron pragnie jeszcze uzdrowienia związku, a druga niestety nie ma już na to ochoty. „Zbyt łatwo się poddaliśmy", „Przestało nam się chcieć", można niekiedy usłyszeć z ust osoby rozwiedzionej. Statystyki podają, że 28 proc. małżeństw, które za przyczynę rozwodu wskazały „różnicę charakterów", żałuje potem swej decyzji. Kiedy małżonkowie przestają ze sobą rozmawiać, zaczynają się kłócić i nawzajem obwiniać za wszystko, co złe w ich związku, po jakimś czasie tej nieznośnej dla obu stron szarpaniny stwierdzają, że to nie ma sensu, że najlepiej się rozstać. Czy jednak naprawdę najlepiej? Zawsze?

Odzyskiwanie wolności

Po rozwodzie byli małżonkowie znajdują sobie „nowe połówki". Jest im dobrze w ich nowych życiach. Czy jednak równie dobrze jest w nowych rodzinach ich wspólnym dzieciom?

Większość badanych (62 proc.) jednoznacznie stwierdza, że jeśli w małżeństwie nie ma dzieci, to lepiej się rozwieść, niż żyć w nieudanym związku. Kiedy jednak małżonkowie mają dzieci, takie oczywiste się to już nie wydaje. Liczba zwolenników i przeciwników rozwodu w takich sytuacjach jest prawie równa – 47 proc. uznaje, że ze względu na zło, które rozwód rodziców wyrządza dzieciom, powinni oni pozostać w związku dla ich dobra, nawet jeśli sami nie potrafią się ze sobą porozumieć; 43 proc. zaś uznaje rozwód w takich sytuacjach za rozwiązanie słuszne. Tymczasem statystyki twardo pokazują, że posiadanie dzieci nie jest obecnie gwarantem trwałości małżeństwa. Aż 68 proc. rozwodzących się posiada dzieci, w tym aż 60 proc. do lat 14.

Żyjemy w czasach wielkiej pogoni za szczęściem. To dobrze, wszak o to właśnie chodzi, byśmy byli szczęśliwi. Tyle że nie zawsze rozumiemy, czym to szczęście naprawdę jest. Stajemy się otwarci na nowe wyzwania, nowe doświadczenia, chętniej podejmujemy ryzyko, ale to otwarcie ma też inne konsekwencje – towarzyszy mu większa gotowość, by kończyć związki wtedy, gdy nie spełniają naszych oczekiwań. „Walczyć o rodzinę czy o siebie" – to wydaje się trudnym wyborem, ale chyba zbyt często i zbyt łatwo te dwie rzeczy rozdzielamy. Współcześni dorośli ludzie – ci, którzy wstępują w związek małżeński, i ci, którzy trwają w nim już wiele lat – nastawieni są coraz bardziej egoistycznie: na realizację siebie, a nie na rodzinę. Pragniemy być wolni, niezależni. Jednakże rozpad małżeństwa to nie tylko sprawa rozstających się rodziców, lecz także niczemu winnych dzieci. One również ponoszą konsekwencje decyzji dorosłych, cierpią, często nie zdając sobie sprawy, dlaczego mama i tata nie mieszkają już razem, razem z nimi. Rozwód rodziców nierzadko rzutuje także na ich przyszłość, na jakość ich związków, o tym także trzeba pamiętać.

Nie potrafimy rozmawiać

Psycholodzy stwierdzają, że rozwód to drugie, zaraz po śmierci bliskiej osoby, najbardziej stresujące wydarzenie w życiu. Tym bardziej że często nie jest antidotum na nasze problemy. Oczywiście zdarzają się sytuacje niezwykle trudne, w których trwanie w małżeństwie przysparza, jak się wydaje, tylko samego zła. To jednak – statystycznie rzecz biorąc – rzadkie przypadki. Najczęściej do rozwodu dochodzi wtedy, gdy przestajemy komunikować drugiej stronie swoje potrzeby, rezygnujemy ze wspólnej rozmowy. Gdy człowiek, którego kiedyś kochaliśmy, zaczyna wydawać się nam obcy. I gdy przegapiliśmy moment, w którym ten proces się rozpoczął, gdy przestaliśmy rozumieć samych siebie.

Czasami się zdarza, że nowy związek okazuje się tym, czego właśnie pragnęliśmy, ale częściej, będąc już w nim, zdajemy sobie sprawę, że zaczynają nas dręczyć te same problemy co w poprzednim. Jedna z osób po rozwodzie ujęła to tak: „Gdybym wiedział, że z trzecią żoną będzie tak samo jak z pierwszą, to bym się nie rozwodził". ■

eprasa.pl d14e7ac149

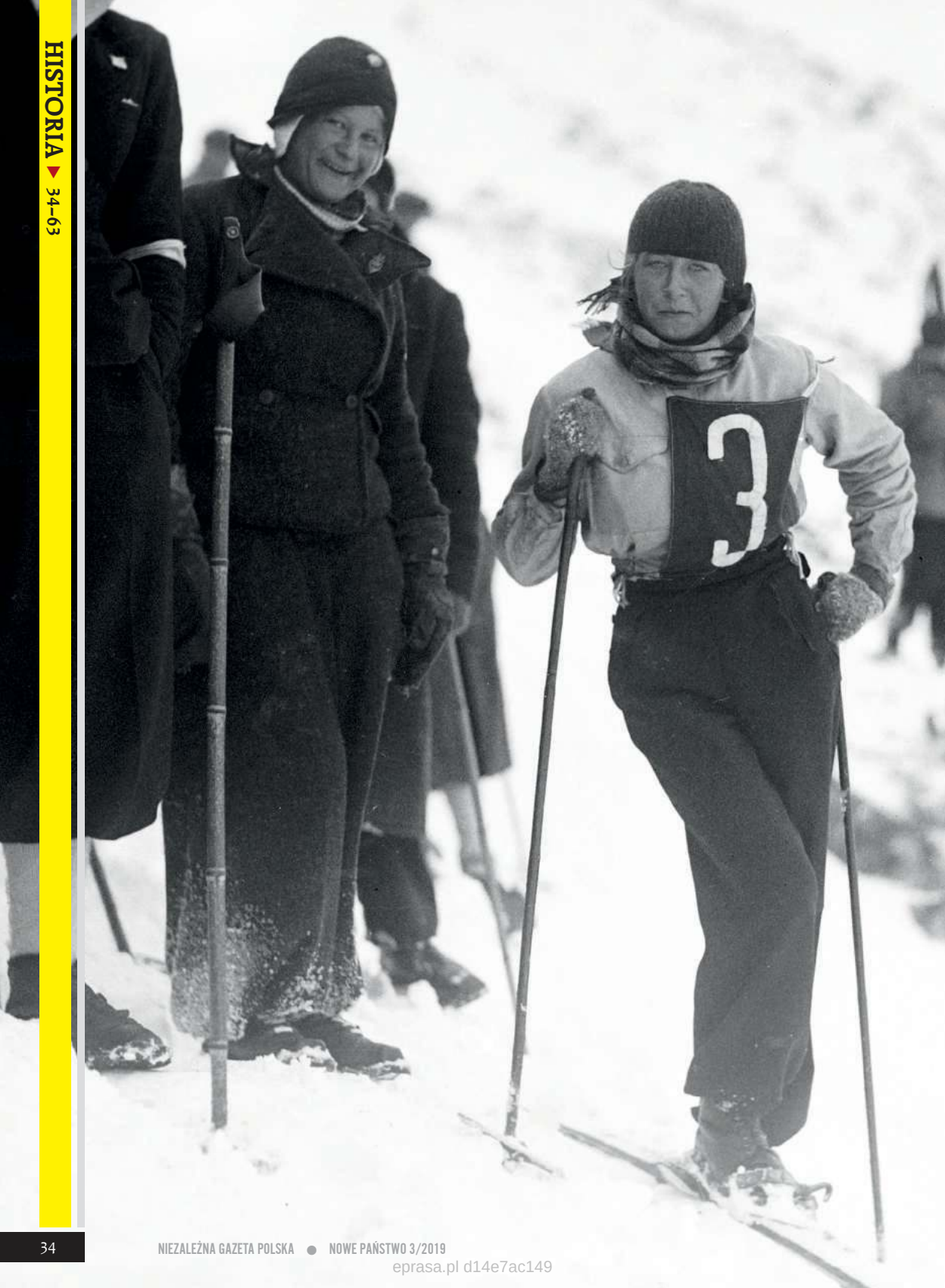

eprasa.pl d14e7ac149

Jako kilkuletnia dziewczynka z Zakopanego wzięła udział w dziecięcych zawodach narciarskich zainicjowanych przez pisarza Kornela Makuszyńskiego, autora „Koziołka matołka". Wygrała. A potem wyrosła nie tylko na niezwykłą piękność, lecz także na dziewięciokrotną narciarską mistrzynię Polski w konkurencjach alpejskich. Gdy wybuchła wojna, została kurierem tatrzańskim, żołnierzem Związku Walki Zbrojnej. Aresztowana i torturowana przez Niemców, nie wydała nikogo. Miała 23 lata, gdy Niemcy ją rozstrzelali. Helena Marusarzówna zginęła z pieśnią maryjną na ustach.

Piotr Lisiewicz

Wiatr w złocistych włosach i szmugiel przez góry

fot. NAC

eprasa.pl d14e7ac149

„Gdy będziesz na Kasprowym Wierchu, wstąp do restauracji na szczycie. Nie musisz nic kupować. Z pewnością twój wzrok przykuje długi rząd fotografii na ścianach. Kilkadziesiąt portretów – głównie mężczyzn. Wśród nich piękna, delikatna, kobieca twarz otoczona warkoczami" – tak reklamuje się dziś portal NaszKasprowy.pl Polskich Kolei Linowych, niedawno odzyskanych przez polskie państwo...

W bielućkiej przestrzeni z wiatrami mknie
Urodno dziywcyna,
Wiater w złociste włosy jej dmie,
Niebieskie ocy rosi łza,
Mróz lico w rumień ścino...
Cy to boginka?
Nie, chyba sama zimowo bogini!

– tak Helenę Marusarzównę widział góralski poeta Adam Pach. Ponieważ zabili ją Niemcy, należała do tych sportowców, o których wolno było mówić w PRL, istniał przecież znany wszystkim interesującym się wówczas sportami zimowymi Memoriał Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny. Tyle że oczywiście nie wolno było mówić wszystkiego. Odsłuchując ówczesne archiwalne nagrania Polskiego Radia, nie usłyszymy nazw „Związek Walki Zbrojnej" czy „Armia Krajowa". A cytowane na temat Marusarzówny relacje w najlepszej wierze opierają się na cytatach z książki podpułkownika MO i weterana Armii Ludowej oraz kierownika ośrodka wczasów w Zakopanem MSW Alfonsa Filara.

Góralskie kierpce przytwierdzone do desek

2018 rok wśród wielu okrągłych niepodległościowych rocznic był także rokiem 100-lecia urodzin Heleny Marusarzówny, która przyszła na świat 17 stycznia 1918 roku jako góralka z krwi i kości. Ród Marusarzy, z którego wywodził się jej ojciec Jan Marusarz, miał się stać najsłynniejszym polskim rodem narciarskim. Z kolei matka – Helena Tatar – była córką jednego z pierwszych członków Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Także jej matka słynęła z urody, którą uwiecznił na obrazie Józef Mehoffer.

Była piątym dzieckiem z szóstki rodzeństwa, a jednym z jej braci był słynny narciarz Stanisław Marusarz, przyszły porucznik Armii Krajowej. Nie mogła nie zostać narciarką, podglądając niemal od kołyski popisy starszych braci. Okazja, by wystartować w pierwszych zawodach, pojawiła się, gdy Kornel Makuszyński, pisarz i bywalec Zakopanego, wymyślił narciarskie zawody dla dzieci, które Helenka kilkakrotnie wygrała. Drewniane dziecięce narty zrobił jej brat. W takich ćwiczyli – góralskie kierpce przyczepione były do desek.

„Jesienią, gdy spadły deszcze, uprawialiśmy suchą zaprawę, zjeżdżając na stromych stokach po mokrej trawie na bednarkach, wygiętych deszczułkach z beczek. Potem, korzystając z pierwszych przymrozków, polewało się stok wodą, aby zwiększyć poślizg" – tak w książce „Na skoczniach Polski i świata" wspominał tamten czas Stanisław Marusarz. O siostrze pisał, że gdy góral opowiadał im o zbójnickich skarbach zakopanych w Tatrach, zapytał kilkuletnią Helenkę, co by zrobiła, gdyby odkopała taki skarb. Odpowiedziała, że kupiłaby sobie narty. „Stasek, kiebyk to jo mioła takie narty, to byk syćkich nabiła" – zapewniała brata 8-latka.

Gdy Helenka skończyła szkołę powszechną, zapisała się do Sekcji Narciarskiej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Dokładnie wiedziała, o co chodzi w ciężkich sportowych treningach. „Od najmłodszych lat ciągnęły nas zabawy pełne szaleństwa. Często chodziłyśmy do lasu. Każda taka wyprawa kończyła się wielką awanturą, gdyż na pniakach i drzewach pozostało niejedno nasze ubranie" – tak w Polskim Radiu wspominała jej siostra Zofia. I opisywała pierwszy występ 16-latki: „Pamiętam, że pierwsze większe zawody Heli odbyły się w 1934 roku na Lipkach [...] Ukończyła wtedy szkołę podstawową. Radość była ogromna, bo zajęła jedno z pierwszych miejsc. W nagrodę otrzymała książkę". Takie były wówczas w sporcie „kokosy"...

Już miesiąc po wstąpieniu do narciarskiej sekcji, w lutym 1935 roku, została wicemistrzynią Polski w kombinacji alpejskiej. W kolejnych latach startowała i zwyciężała także w slalomie i zjeździe. Tytuł mistrzyni Polski zdobyła aż dziewięciokrotnie! W 1936 oraz 1937 roku była pierwsza w Mistrzostwach Polski w kombinacji alpejskiej. W 1937 roku zdobyła pierwsze miejsce w zawodach o Mistrzostwo Podhalańskiego Związku Narciarskiego. Rok później – pierwsze miejsce w slalomie i kombinacji alpejskiej w Narciarskich Mistrzostwach Polski.

Narciarstwo łączyła – jak wszyscy wówczas – z górskimi wspinaczkami. Jej koleżanka Helena Hajdukiewicz, którą cytuje podhalański serwis „Watra", zachowała takie oto wspomnienie z 1936 roku, gdy zakończona została budowa kolejki na Kasprowy Wierch: „Pewnego razu dowiedziałyśmy się, że zakończono budowę kolejki na Kasprowy Wierch. Poszłyśmy więc z Helcią na zapowiedziane uroczyste otwarcie. Poszłyśmy – to lekko powiedziane. Od samych Kuźnic z nartami na ramieniu wspinałyśmy się na Kasprowy krok za krokiem. Wiatr gwizdał, jakby się wszystkie górskie złe moce przeciwko nam sprzysięgły. Śnieżyca szalała, a jednak nie zawróciłyśmy z drogi. Gdy po trzech godzinach tej jakże morderczej wspinaczki dotarłyśmy na szczyt, spotkało nas rozczarowanie, bo z powodu halnego wiatru uroczystość odłożono na sposobniejszy

eprasa.pl d14e7ac149

czas. Nie mogłyśmy więc uczestniczyć w inauguracyjnym przejeździe kolejki, ale pocieszyłyśmy się natychmiast wspaniałym szusem na niezawodnych nartach, hen w dół, przez Halę Goryczkową".

Marusarzówna debiutuje w filmie

Mistrzyni Marusarzówna podbiła Zakopane, a po nim całą Polskę. Zaczęła pojawiać się na reklamowych zdjęciach, a w końcu trafiła do... filmu. W 1937 roku została wybrana na dublerkę słynnej aktorki Liliany Zielińskiej (zginie w Powstaniu Warszawskim) w filmie „Halka", filmowej inscenizacji opery Stanisława Moniuszki. Jesienią 1938 roku zorganizowano pokaz mody FIS w Warszawie, na którym zrobiła furorę. „Panie ze stolicy zgrzytały zębami po tym, jak Helena Marusarzówna zaprezentowała się podczas pokazu mody FIS. Nawet granatowe spodnie narciarskie, kurtka i góralski kapelusz przyprawiły o zawrót głowy niejednego mężczyznę. Przecież zajęła pierwsze miejsce!" – pisze Jakub Szczepański na portalu NaszaHistoria.pl. Nie wybrała jednak kariery aktorki, bo wolała narty.

Przygotowywana była do zawodów Międzynarodowej Federacji Narciarskiej (FIS). Ale podczas zjazdu Goryczkowym Żlebem wpadła na... schronisko. Skutkiem było złamanie ręki w stawie nadgarstkowym i nadwerężone ścięgno nogi. „Ilustrowany Kurier Codzienny" tak relacjonował to wydarzenie: „Od trzech dni sypie w górach śnieg – drobny, bo drobny, lecz za to systematycznie przykrywa kamienie i trawę, na których nie jeden pewny nawet zawodnik połamał kończyny, lub też złapał mniejsze lub większe kontuzje. Ofiara nr. 1 fatalnego śniegu – to Hela Marusarzówna, która zjeżdżając ryzykownie przez mało zaśnieżony Goryczkowy Żleb – wylądowała na schronisku Pollaka, łamiąc prawą rękę w stawie nadgarstkowym i nadwerężając ścięgno u nogi".

Ze łzami w oczach

Reporter „Ikaca" odwiedził Marusarzównę w szpitalu. „Ręka w gipsie na 4 tygodnie – zwierzała mi się Hela w Starem Schronisku na Kalatówkach, gdzie od czasu wypadku leży. – Dziś schodzę do domu, na dół, bo już z nogą lepiej, a poza tym nie mogę spokojnie patrzeć na Suchy Żleb, gdzie moje towarzyszki trenują – dodała ze łzami w oczach". Oczywiście o imprezie FIS mogła zapomnieć.

Ostatnie zawody, w których wystąpiła, odbyły się w 1939 roku w Feldbergu w... hitlerowskich Niemczech. Zajęła w nich świetne drugie miejsce, przegrywając tylko o ułamek sekundy z niemiecką narciarką Christel Cranz, jedną z najbardziej utytułowanych zawodniczek w historii narciarstwa alpejskiego. Po wojnie zawodniczka ta, jako żona niemieckiego pilota Adolfa Borchersa, zostanie na krótko aresztowana i umieszczona w obozie pracy przymusowej...

„Gnała na tych »zubkowych« hickorowych nartach, że tylko kurzyło pomiędzy bramkami. Nie potrąciła ani jednej" – wspominał jej kolega z reprezentacji Jan Kula. Wraz z bratem Stanisławem zobaczyli przy tej okazji, jak wyglądają Niemcy Hitlera, przygotowujące się do podboju Europy. „Wywarło to na nich tak ogromne, negatywne wrażenie, że było ono dodatkowym impulsem do podjęcia tuż po wybuchu wojny działalności kurierskiej" – wspominała Magdalena Marusarz-Gądek cytowana przez portal Dzieje.pl.

Punkt przerzutowy u Marusarzów

Gdy wybuchła wojna, schronisko prowadzone przez Stanisława Marusarza oraz jedną z sióstr Bronisławę na Hali Pysznej stało się punktem przerzutowym tatrzańskich kurierów. Marusarzówna pełniła rolę tajnego kuriera komórki „Zagroda" Oddziału Łączności Konspiracyjnej KG ZWZ. „Staszek, Helena i Jan wyruszyli na kurierskie szlaki. Pozostałe trzy siostry zostały łączniczkami w AK. Najstarszą z nich Zofię schwytano i osadzono w obozie w Ravensbrück, gdzie przesiedziała 5 lat. Brońcia i Marysia po ucieczce przez zieloną granicę trafiły do polskiego wojska na Zachodzie. I pozostały już na emigracji. Jednak najwyższą cenę za udział w konspiracji zapłaciła Helena" – pisał w „Tygodniku Solidarność" Waldemar Żyszkiewicz.

Przez góry przeprowadziła co najmniej kilkadziesiąt osób zagrożonych aresztowaniem przez Niemców. „Wiadomo na pewno, że Helena wielokrotnie wyprawiała się na Węgry w ramach działalności dla AK-ZWZ »Zagroda«. Celem wędrówki góralskiego Oddziału Łączności Konspiracyjnej była baza »Romek« przy ulicy Donati 12 w stolicy Węgier. Nasza bohaterka chadzała z przyjaciółmi i rodzeństwem, ze Stanisławem Marusarzem na czele. Do Budapesztu prowadzali ludzi, szmuglowali broń i pieniądze" – pisał Jakub Szczepański na portalu NaszaHistoria.pl.

Mimo istnienia kolaborantów wspierających koncepcje Goralenvolk, czy rzekomo „odrębnego" państwa góralskiego, represje spadły na wielu górali. Jak wylicza Szczepański, do 5 września w powiecie nowotarskim zamordowano 70 osób, a kolejnych 700 aresztowano. Zakopane ogłoszono miastem zamkniętym, w którym kilkanaście tysięcy żołnierzy niemieckich miało zapewnić bezpieczeństwo oficjelom III Rzeszy. A był wśród nich sam Heinrich Himmler, który wizytował Zakopane w 1940 roku.

O niebezpieczeństwach grożących tatrzańskim kurierom wspomniany autor pisze tak: „Z pewnością tatrzańscy kurierzy startowali głównie w Zakopanem,

eprasa.pl d14e7ac149

Chochołowie czy Waksmundzie. Ze stolicy gór szli najczęściej przez Przełęcz pod Kondracką Kopą lub przez Tomanową Przełęcz. Trasa z Chochołowa to marsz przez Tatry lub Orawę, a szlak z Waksmundu wiódł przez Spisz. Niebezpiecznie było wszędzie – jeśli nie wykończyły cię mordercze warunki, zawsze można było liczyć na hitlerowców albo kolaborujących żandarmów ze Słowacji czy Węgier. Kara? Wielokrotnie śmierć na miejscu, ale także bilet w jedną stronę, do słynnej katowni gestapo w zakopiańskim Hotelu Palace".

Nie wydała nikogo mimo okrutnych tortur

29 marca 1940 roku Marusarzówna została schwytana przez słowackich żandarmów, którzy przekazali ją Niemcom. Według dostępnych relacji, miała ze sobą list, gdy na trasie Zakopane–Budapeszt otoczyła ją słowacka straż graniczna. Zatrzymała ją i odwiozła do więzienia w Preszowie. „Przekazano ją gestapowcom w Muszynie. Na miejscu dziewczynę poddano okrutnym torturom i brutalnie przesłuchiwano. Po kilku tygodniach katowania, ledwo żywa Hela została wywieziona do Nowego Sącza i Tarnowa. Odwiedziła także słynną »Katownię Podhala« w rodzinnym Zakopanem oraz więzienie przy Montelupich w Krakowie" – pisze Jakub Szczepański.

Ta willa krwią naszą jest zroszona cała,
Co w czasie przesłuchań z ran naszych tryskała.
Kto będzie oglądał te kajdany w celi,
Niech odmówi pacierz za tych, co zginęli.

– pisał o „Katowni Podhala" w wierszu „Palace" Władysław Szepelak. „Katownia Podhala" mieściła się w Hotelu Palace przy ulicy Chałubińskiego 7. Obok Marusarzówny więzieni tam byli m.in. słynny narciarz Bronisław Czech (trafił później do Auschwitz, gdzie współpracował w konspiracji z rotmistrzem Witoldem Pileckim), błogosławiony Piotr Dańkowski, Franciszek Gajowniczek czy Wincenty Galica. Według historyków w Palace mogło być katowanych około 2000 osób, z których Niemcy zamordowali około 400. Egzekucji tych dokonywano w samym Palace, a także na cmentarzu w Suchej Dolinie. Wielu więźniów wysyłano stamtąd do obozów koncentracyjnych. Więźniowie pozostawili tam wyryte napisy. Ten wyskrobany przez Helenę Błażusiak: „Mamo, nie płacz, nie. Niebios Przeczysta Królowo, Ty zawsze wspieraj mnie. Zdrowaś Mario" stał się inspiracją dla III Symfonii op. 36 „Symfonia pieśni żałosnych" Henryka Góreckiego.

„Nie pisnęła słowa, chociaż złapana została w tym samym czasie co moi rodzice, a w Muszynie osadzona była w celi razem z moją mamą. Oni, być może dzięki jej milczeniu, przeżyli, jej się nie udało" – wspominała na portalu Dzieje.pl Magdalena Marusarz-Gądek. Z Muszyny Helena przewieziona została do więzienia w Nowym Sączu.

Pieśń maryjna i terkot karabinów

W listopadzie 1941 roku skazana została na karę śmierci za szpiegostwo. Przez dziesięć miesięcy była trzymana w celi śmierci w Tarnowie. Została rozstrzelana 12 września 1941 roku w lesie w Pogórskiej Woli koło Tarnowa. „Był jesienny, pogodny dzień. Słońce grzało, ale na przywiędłej trawie rano błyszczała zimna rosa. Pracująca samotnie w polu kobieta z niepokojem rozglądała się za nadjeżdżającym samochodem. Mieszkanka Pogórskiej Woli miała poważny powód do niepokoju: pobliski lasek oddalony zaledwie kilkadziesiąt metrów od jej roli hitlerowcy wybrali na miejsce egzekucji skazańców z tarnowskiego więzienia. Idąc rano w pole, zauważyła w lasku świeżo wykopany dół. Wiedziała, co to oznacza – będzie egzekucja. Dół był tym razem większy... Kiedy przybyli Niemcy, zobaczyła sześć wyprowadzanych z samochodu kobiet. Ustawione dwójkami ruszyły. Odeszły, śpiewając maryjną pieśń. Za chwilę rozległ się tępy terkot serii z karabinów maszynowych. Pośród zamordowanych 12 września 1941 roku kobiet była Helena Marusarzówna" – tak o okolicznościach śmierci Marusarzówny pisała Agata Żak w „Gazecie Krakowskiej". A poeta Adam Pach napisał:

Wysłali jom w tarnowskie więzienie
Pod lasem katowsko kula przecina zycia nić.
Bohatersko śmierzć, skońcone cierpienie
Choć zgasła, w pamięci nasej wiecnie będzie zyć.

Nieprawdopodobna ucieczka z celi śmierci Stanisława Marusarza

Więcej szczęścia, a właściwie szczęście nieprawdopodobne, ale możliwe tylko dzięki nieprawdopodobnej odwadze, miał jej brat Stanisław. W krakowskim więzieniu na Montelupich odmówił współpracy, na którą Niemcy mocno liczyli – miał szkolić niemieckich narciarzy i w zamian w spokoju doczekać końca wojny. W efekcie, po kilku tygodniach pobytu na Montelupich, sławnego narciarza wraz z 140 innymi osobami skazano na karę śmierci. I podobnie jak Helena trafił do celi śmierci.

Wielkiej ucieczce Stanisława Marusarza poświęcono sporo miejsca w czasie wystawy IPN „Monte. Kronika terroru 1939–1989". Miesiąc od skazania go na śmierć esesmani wywieźli go do

eprasa.pl d14e7ac149

podkrakowskiego fortu w Krzesławicach, o którym wiedziano powszechnie, że jest miejscem egzekucji więźniów. Jak opisuje dr Robert Gawkowski na stronie Muzeum Historii Polski: „Tam, wraz z grupą kilkunastu innych nieszczęśników, ustawiono go pod podziurawionym kulami murem, po którym spływała krew". Esesmani salwy jednak nie oddali. Więźniom dano łopaty i zagoniono do kopania rowu. Ale do wykopanych między innymi przez Marusarza grobów trafili inni więźniowie. Z sąsiedniej celi. Ta sytuacja zdeterminowała Marusarza i kilku innych skazanych, by spróbować ucieczki bez względu na jej cenę. „Plan był taki, że nogą od taboretu trzeba było wygiąć kraty w oknach, potem przecisnąć się przez ten otwór, wyskoczyć z drugiego piętra, potem wspiąć się na 4-metrowy mur, na szczycie którego był drut kolczasty. W następnej fazie ucieczki należało zeskoczyć i uciekać zygzakiem, by nie być trafionym przez strażnika siedzącego w wieżyczce więziennej" – pisze Robert Gawkowski.

Udało się wykonać pierwszą część – odgięto kraty. Zgodnie z założeniem pierwszy przez okno przecisnął się współinicjator ucieczki, Aleksander Bugajski. Doszło do cichej przepychanki między więźniami, której stawką mogło być życie... Narciarzowi udało się przecisnąć przez kraty jako szóstemu. „Zlatywał na głowę, ale spadając, zdołał wykonać obrót i wylądować na obie nogi. Podobne rzeczy wykonywał już na skoczniach narciarskich, ratując się przed upadkiem, tyle że tu w każdej chwili zamiast oklasków mógł zaterkotać karabin maszynowy. W ciągu sekundy dał susa przez dziedziniec więzienny i wspinał się na 4-metrowy mur odgradzający uciekiniera od wolności" – relacjonuje dr Gawkowski. Po drodze Marusarz minął współwięźnia leżącego bezradnie ze złamaną nogą. Jemu skok nie wyszedł i pomóc mu już nie było można. „We wspinaczce na mur pomogła klamka zamkniętej furtki, od której można się było odbić i złapać drutów kolczastych i dalej po drutach, nie zwracając uwagi na wbijające się w dłonie kolce, wspiąć na mur. Gdy uciekinierzy byli na murze, rozległy się pierwsze strzały, syreny alarmowe i okrzyki esesmanów. Po zeskoczeniu z muru każdy uciekał w swoją stronę. Staszkowi udało się, podobnie jak Aleksandrowi Bugajskiemu. Resztę uciekinierów zastrzelono" – czytamy na stronie Muzeum Historii Polski.

W dalszej ucieczce pomogła znajomość gór. „Trasę Kraków–Zakopane przebył pieszo. Po zaleczeniu rany postrzałowej, odniesionej podczas ucieczki z więzienia, przekradł się, tym razem szczęśliwie, na Węgry. Tam pozostał już do końca działań wojennych" – pisze Waldemar Żyszkiewicz.

Memoriał Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny

W czasach PRL nazwisko siostry Stanisława Marusarza znane było głównie dzięki Memoriałowi Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny – zawodom narciarskim rozgrywanym w Zakopanem w marcu od 1946 do 1994 roku. Memoriał zainicjowali działacze zakopiańskiego narciarskiego klubu. Początkowo zawodnicy rywalizowali w czwórboju, na który składały się konkurencje klasyczne i alpejskie: bieg, skoki, slalom i zjazd.

Memoriał przeżył czasy swej świetności w latach 60. i 70. Startowali w nim zawodnicy ze światowej czołówki. Był on jednym z ważniejszych punktów w kalendarzu zawodów FIS. W 1974 roku w ramach Memoriału rozegrano nawet Puchar Świata w slalomie specjalnym. Natomiast jego ranga obniżyła się po wprowadzeniu przez Wojciecha Jaruzelskiego stanu wojennego. Władze nie dawały też na niego wystarczającej ilości pieniędzy. Po przerwie przeprowadzanie zawodów wznowiono na początku XXI wieku, jednak Memoriał nie ma już tak wysokiej rangi jak dawniej – nie wytrzymuje konkurencji choćby z zawodami Pucharu Świata skoczków narciarskich, z udziałem Polaków odnoszących w ostatnich latach ogromne sukcesy.

W PRL imię narciarki nosiły szkoły i ulice, chętnie pisali o niej autorzy związani z Ludowym Wojskiem Polskim, przy czym całej prawdy podawać nie było wolno.

Rząd odkupuje „Katownię Podhala"

Co działo się z budynkiem „Katowni Podhala" w III RP? W 1994 roku w piwnicach willi powstało muzeum męczeństwa. Ale w 1999 roku nowy właściciel obiektu, przedsiębiorca z Kraśnika, dokonał tam remontu. W czasie jego trwania zniszczono także część napisów wyrytych przez więźniów na ścianach.

W grudniu 2017 roku miasto Zakopane, przy wsparciu rządu Beaty Szydło, wykupiło za 11,5 mln zł budynek dawnej „Katowni Podhala". Z rezerwy budżetu państwa przeznaczono na ten cel niemal 9 mln zł. Inicjatorką odkupienia budynku była prezes Stowarzyszenia Muzeum Walki Męczeństwa „Palace" Lucyna Galica-Jurecka, córka dr Wincentego Galicy, legendarnego kuriera tatrzańskiego i więźnia niemieckich obozów koncentracyjnych, prezes Stowarzyszenia Muzeum Walki Męczeństwa Palace. W sprawę zakupu budynku zaangażowani byli posłowie PiS Beata Kempa i Edward Siarka, przewodniczący Klubu Parlamentarnego PiS Ryszard Terlecki oraz wojewoda małopolski Piotr Ćwik. Jak zapewniono, ponieważ zachowały się fotografie napisów na ścianach katowni, na ich podstawie zostaną one wiernie odtworzone. ■

eprasa.pl d14e7ac149

Musicie mieć w sobie coś z orłów. Pamiętajcie – orły to wolne ptaki, bo szybują wysoko

kard. Stefan Wyszyński, Gniezno, 1966 rok.

POLSKIE ORŁY I ORLĘTA

1. Żołnierze 3. szwadronu 6. Brygady Wileńskiej AK dowodzonego przez por. Antoniego Borowika „Lecha". Jesień 1947 r. Drugi z prawej klęczy z pistoletem w dłoni plut. Rajmund Drozd „Mikrus"
2. Żołnierze 3. szwadronu 6. Brygady Wileńskiej AK, jesień 1947 r. Pierwszy z prawej Rajmund Drozd „Mikrus". Fotografie z opracowania IPN „6. Brygada Wileńska AK" pod red. Kazimierza Krajewskiego i Tomasza Łabuszewskiego.

Dariusz Jarosiński

We wszystkich zrywach niepodległościowych, gdy ojczyzna była zagrożona i ważyły się jej losy, do walki stawała polska młodzież, stawały nawet dzieci. Młodzi ludzie dzielnie walczyli w powstaniach listopadowym, styczniowym. W latach 1918–1920 Orlęta Lwowskie odwagą dorównywały dorosłym obrońcom miasta. A w podziemiu niepodległościowym w czasie okupacji niemieckiej i w powstaniu antykomunistycznym niezłomni młodzi chłopcy i dziewczęta przedwcześnie składali ojczyźnie, za którą walczyli, daninę życia.

Zdaniem rosyjskiego historyka, zajmującego się analizą statystyczną powstania styczniowego, W.M. Zajcewa, ponad 38 proc. represjonowanych za udział w powstaniu styczniowym na terenach Królestwa Polskiego stanowiły osoby w wieku od 15 do 20 lat.

Niezwykłym przykładem patriotyzmu dzieci i młodzieży jest obrona Lwowa przez Orlęta Lwowskie w latach 1918–1920 przed oddziałami wojsk ukraińskich i bolszewickich. W listopadzie 1918 roku w obronie miasta wzięło udział 2640 uczniów szkół powszechnych, średnich, studentów. Z bronią w ręku walczyły też lwowskie batiary – dzieci ulicy. Najmłodszy z uczniów miał 9 lat. Orlę Lwowskie, 13-letni Antoś Petrykiewicz, uczeń drugiej klasy gimnazjum, został najmłodszym w historii kawalerem Orderu Virtuti Militari. Antoś walczył na Górze Stracenia, gdzie toczyły się szczególnie krwawe, zacięte walki. Został ciężko ranny, broniąc Persenkówki. Zmarł od zadanych ran po trzech tygodniach w szpitalu. Bardzo cierpiał przed śmiercią. 14-letni Jurek Bitschan wychodząc z domu do walki w obronie Lwowa, napisał: „Kochany Tatusiu, idę dzisiaj zameldować się do wojska. Chcę okazać, że znajdę na tyle siły, by móc służyć i wytrzymać. Obowiązkiem moim jest iść, gdy mam dość sił, a wojska brakuje ciągle do oswobodzenia Lwowa. Z nauk zrobiłem już tyle, ile trzeba było. Jerzy". Do domu już nie powrócił. Otrzymał śmiertelne rany na cmentarzu Łyczakowskim. Matka Jurka walczyła w innym rejonie Lwowa jako komendantka Ochotniczej Legii Kobiet. 14-letni Tadek Jabłoński uciekł z domu, by razem z kolegami odpierać wrogie ataki Ukraińców. Dzielnie walczył w pierwszym szeregu. Jego życie zakończyła ukraińska kula 18 listopada.

Walki z komunistyczną zarazą

Orlęta Lwowskie mimo młodego wieku niewiele ustępowały dorosłym obrońcom miasta, a w wielu sytuacjach trudno było je zastąpić – przenosiły rozkazy, meldunki, informowały o pozycjach, ruchach wroga, pomagały ludności cywilnej, dostarczały amunicję do rozrzuconych po mieście placówek. 23 listopada 1918 roku przyszła upragniona odsiecz i Lwów został odzyskany. Był pierwszym i jedynym polskim miastem w II RP odznaczonym Krzyżem Kawalerskim Orderu Virtuti Militari za męstwo i poświęcenie. Tego zaszczytu dostąpiły w historii jeszcze tylko dwa miasta – Verdun i Warszawa. Dewizą bohaterskiego miasta do dzisiaj pozostaje „Semper Fidelis". W czasie walk o Lwów poległych grzebano na prowizorycznych cmentarzykach. W odrodzonej Polsce Orlęta Lwowskie spoczęły w wydzielonej części cmentarza Łyczakowskiego. Jest to miejsce święte dla Polaków.

fot. Arch.

eprasa.pl 6b4e7ac149

Kiedy hordy bolszewików ruszyły na ledwie co wskrzeszoną Polskę, do walki oprócz Wojska Polskiego stanęło 100 tysięcy ochotników, w tym znaczny procent stanowiła polska młodzież. Nikogo nie trzeba było namawiać do obrony śmiertelnie zagrożonej ojczyzny. Młodzi Polacy zamienili szkolne, studenckie mundurki na wojskowe. Wielu ochotników nie miało jeszcze ukończonych 18 lat. Jednym z tych najbardziej znanych, biorących udział w wojnie polsko-bolszewickiej, był Józef Mackiewicz. Przyszły pisarz miał niespełna 17 lat, kiedy 1 stycznia 1919 roku poszedł walczyć z bolszewikami – był uczniem VI klasy gimnazjum. Dwuletnia służba w kawalerii miała niewątpliwie później duży wpływ na jego twórczość pisarską, kształtowanie poglądów.

Warto też bliżej poznać historię obrony Płocka przed bolszewikami przez miejscową młodzież, dzieci, 18 i 19 sierpnia 1920 roku, tuż po zakończeniu Bitwy Warszawskiej. Dzieci Płocka, niczym Orlęta Lwowskie, stoczyły heroiczny bój z Moskalami. Do walki zgłosiło się ponad tysiąc mieszkańców, a Płock nie był wówczas dużym miastem. Generał Józef Haller nie krył zachwytu dla płockich harcerzy kopiących rowy, budujących zasieki, dostarczających pożywienie żołnierzom: „Zachowanie się harcerzy było bez zarzutu. Bardzo wielu z nich pamiętam, choć ciężkie rany odnieśli, choć bardzo osłabieni, o tym tylko myśleli, ażeby wrócić jak najprędzej na front. A dwa tylko pytania najczęściej zadawali: jak Sprawa stoi, czy bolszewicy odpędzeni, i drugie pytanie: o rodziców". 12-letni harcerz Tadek Jeziorowski uciekł z domu, by wziąć udział w obronie Płocka. Przez pięć godzin pod gradem kul roznosił żołnierzom amunicję z magazynu, sam nabijał karabiny. Zachowywał się jak prawdziwy żołnierz. 19 sierpnia Płock był wolny od komunistycznej zarazy. W niedługim czasie Tadek Jeziorowski został odznaczony przez samego Józefa Piłsudskiego Krzyżem Walecznych. Uhonorowane zostało również miasto Płock jako wyraz uznania dla mieszkańców za ofiarną i bohaterską obronę: „Za zachowanie męstwa i siły woli w ciężkich i nadzwyczajnych okolicznościach, w jakich się znalazło miasto, za męstwo i waleczność mianuję miasto Płock kawalerem Krzyża Walecznych" – mówił 10 kwietnia 1921 roku na placu Floriańskim w Płocku naczelnik państwa polskiego Józef Piłsudski.

„Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec..."

W podziemiu niepodległościowym w czasie okupacji niemieckiej i w powstaniu antykomunistycznym dominowali młodzi chłopcy i dziewczęta. Małoletni nie zawsze walczyli z bronią w ręku, ale odgrywali w walce z okupantami ważną rolę. W Powstaniu Warszawskim roznosili pocztę, opiekowali się rannymi, ludźmi starszymi, niedołężnymi, budowali barykady. Mali żołnierze, harcerze Szarych Szeregów, wykazali się wprost szaloną odwagą, dojrzałością, odpowiedzialnością za losy najbliższych, swego miasta i Polski. Kontynuowali dzieło swoich rówieśników z powstania listopadowego i styczniowego, dzieło Orląt Lwowskich, młodych obrońców Płocka.

„A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei, / Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!" – słowa wiersza Juliusza Słowackiego „Testament mój" już chyba zawsze będą nam się kojarzyły za sprawą Aleksandra Kamińskiego z chłopcami z Szarych Szeregów. Aleksander Kamiński swoją powieść „Kamienie na szaniec" o Aleksandrze Dawidowskim „Alku", Janku Bytnarze „Rudym", Tadeuszu Zawadzkim „Zośce" zaczyna słowami: „Posłuchajcie opowiadania o Alku, Rudym, Zośce i kilku innych cudownych ludziach. O niezapomnianych czasach 1939–1943 roku, o czasach bohaterstwa i grozy. Posłuchajcie opowiadania o ludziach, którzy w tych niesamowitych latach potrafili żyć pełnią życia, których czyny i rozmach wycisnęły piętno na stolicy oraz rozeszły się echem po kraju, którzy w życie wcielić potrafili dwa wspaniałe ideały: BRATERSTWO i SŁUŻBĘ". I jeszcze jedno zdanie z książki Aleksandra Kamińskiego, która przed wieloma laty wywarła na mnie duży wpływ: „Tak oto bezgraniczna wiara młodości: wiara w siebie samych, wiara w naród, wiara w słuszność polskiej sprawy i w najwyższą sprawiedliwość – kazała tym młodym ludziom traktować całą otaczającą ich rzeczywistość jako coś bardzo nierealnego i przejściowego".

Najmłodszymi żołnierzami 5. Brygady Wileńskiej AK byli Mieczysław Abramowicz „Miecio" (1929 r.), Rajmund Drozd „Mikrus" (ur. 29 czerwca 1928 r.) i Danusia Siedzikówna „Inka" (ur. 3 września 1928 r.). Cała trójka dała świadectwo gorącego, młodzieńczego patriotyzmu, niebywałej odwagi i męstwa. „Miecio" trafił do 5. Brygady mjr. „Łupaszki" w styczniu 1944 roku. Od lipca stale towarzyszył mjr. „Łupaszce" jako goniec, ordynans. Na początku marca 1945 roku, a więc w wieku niespełna 16 lat, otrzymał od mjr. „Łupaszki" awans na stopień plutonowego. Tak wyjątkowy awans był za to, że „Miecio" – ujęty przez ubowców w lutym 1945 roku – zachował się w śledztwie jak doświadczony konspirator – zwodził ubowców, ale nic im nie wyjawił, nie zdradził miejsc pobytu wileńskich partyzantów. Został wykradziony przez Wacława Niemczynowicza „Słonia". Po demobilizacji 5. Brygady walczył w 6. Brygadzie Wileńskiej pod dowództwem kpt. Władysława Łukasiuka „Młota". W kwietniu 1947 roku „Miecio" ujawnił się przed komisją amnestyjną. Wraz z nim odeszło wówczas z 6. Brygady kpt. „Młota" 35 dzielnych, zasłużonych partyzantów. Danusia Siedzikówna wraz z siostrą Wiesławą wstąpiły do Armii Krajowej w grudniu 1943 roku. Latem 1945 roku podjęła służbę sanitariuszki w oddziale Stanisława Wołoncieja „Konusa". Swoje młodzieńcze losy związała z 5. Brygadą Wileńską AK.

eprasa.pl d14e7ac149

„Inka" zapłaciła najwyższą cenę w obronie wolności, walki z bolszewią, została zamordowana w 1946 roku w Gdańsku. W chwili śmierci miała 17 lat. Jej losy są znane, ale na przykład Rajmund Drozd „Mikrus" ciągle pozostaje postacią słabo lub wręcz nierozpoznawalną.

Ucieczka z domu do partyzantki

Rajmund Drozd miał dużo szczęścia w życiu – służył pod komendą najwybitniejszych dowódców polskiego podziemia antykomunistycznego, mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki", por. Antoniego Rymszy „Maksa", por. Zygmunta Błażejewicza „Zygmunta", por. Lucjana Minkiewicza „Wiktora", kpt. Władysława Łukasiuka „Młota", ppor. Antoniego Borowika „Lecha". Choć miał okazję pozostać na Zachodzie, to powrócił na jesieni 1946 roku do Polski, bo nie mógł pozostawać obojętny, kiedy ojczyzna była w potrzebie. Dużo szczęścia miał na tzw. rozprawie sądowej. Dzięki temu, że podał nieprawdziwą datę urodzenia – rok 1930 zamiast 1928 – uratował swoje życie. Wojskowy Sąd Rejonowy w Białymstoku w dniu 15 grudnia 1948 roku skazał Rajmunda Drozda na szesnastokrotną karę dożywotniego więzienia.

Rajmund Drozd wychował się na przedmieściach Wilna, w dzielnicy Pośpieszka. Jego ojciec był żołnierzem zawodowym – służył w 5. Pułku Piechoty Legionów Józefa Piłsudskiego. Odpowiadał m.in. za budowę obozu ćwiczebnego dla garnizonu wileńskiego w Kojranach. W czasie kampanii wrześniowej walczył w armii „Narew". W 1940 roku został aresztowany przez Sowietów i skazany na 25 lat łagrów. Wszelki słuch o ojcu Rajmunda zaginął, rodzina nie otrzymała od niego żadnej wiadomości. Chłopak szybko musiał stać się samodzielny, radzić sobie w trudnych sytuacjach życiowych, a tych przecież w czasie okupacji nie brakowało.

Od starszych kolegów z Pośpieszki Rajmund dowiedział się o polskich partyzantach walczących w okolicach Wilna. Zapragnął do nich dołączyć i walczyć z Niemcami i Sowietami, którzy zabrali mu ojca. W połowie lutego 1944 roku Rajmund uciekł z domu do oddziału mjr. „Łupaszki". Wziął ze sobą zdobyczny pistolet. Akurat miesiąc wcześniej do oddziału trafił Mietek Abramowicz „Miecio". Początkowo nie chciano nawet słyszeć o przyjęciu Rajmunda, stwierdzono, że jeden dzieciak już wystarczy, że oddział partyzancki to nie przedszkole. Rajmund dodawał sobie lat, ale przy jego drobnej posturze na niewiele się to zdawało. W końcu doceniono jego upór, zapał bojowy, śmiały sposób bycia. Do swego plutonu przyjął go Antoni Rymsza „Maks". Rajmund otrzymał pseudonim „Mikrus" i rozpoczął niełatwe życie partyzanta.

W stosunku do „Mikrusa" „Maks" nie stosował taryfy ulgowej, owszem, nie walczył w pierwszym szeregu z bronią w ręku, ale musiał na przykład pokonywać forsowne, wielokilometrowe marsze, często nocą, kiedy oczy kleiły się i marzyło się łóżko w domu. Bardzo dobrze sprawdzał się w roli łącznika, gońca. Był chłopcem inteligentnym, bystrym, potrafiącym sobie poradzić nawet w trudnej sytuacji.

Po akcji „Ostra Brama", w lipcu 1944 roku, kiedy mjr „Łupaszka" zmuszony był rozwiązać oddział na Wileńszczyźnie i zwolnić żołnierzy z przysięgi, „Mikrus" nadal pozostał z grupą Antoniego Rymszy „Maksa". Powiedział por. „Maksowi", że do domu nie ma co wracać, bo dostanie od matki lanie. Małymi grupkami żołnierze „Łupaszki" przebijali się do Puszczy Augustowskiej. Bez przerwy partyzanci byli tropieni przez sowieckie oddziały NKWD. Najtrudniejsza była przeprawa przez rzekę Niemen. Dużą część drogi „Mikrus" pokonał boso, bo obtarł sobie nogi w butach. W sierpniu grupa „Maksa" mocno przetrzebiona dotarła do Białegostoku. Nie wszystkie grupki 5. Brygady dotarły za „linię Curzona", czyli nową granicę, na spotkanie z dowódcą. Niektórzy żołnierze powrócili na Wileńszczyznę, w rodzinne strony, i tam kontynuowali walkę z bolszewikami.

Na Białostocczyźnie i Podlasiu

Pod koniec sierpnia 1944 roku mjr „Łupaszka" nawiązał kontakt z komendantem Białostockiego Okręgu AK, ppłk. Władysławem Liniarskim „Mścisławem", podporządkowując się jego rozkazom. Wiele tygodni trwało znalezienie odpowiednich miejsc schronienia dla przybywających z Wileńszczyzny żołnierzy AK. Tropieni przez wojska NKWD i ich agenturę wileńscy partyzanci zmuszeni byli do ciągłego przemieszczania się, poszukiwania nowych obozowisk w lesie. Dopiero pod koniec grudnia 1944 roku udało się łącznikom Obwodu AK Bielsk Podlaski ulokować przybyłych żołnierzy na kwatery we wsiach: Pace, Kiersnowo, Kadłubówka, Oleksin, Sierakowizna.

Na Podlasie docierali nie tylko żołnierze 5. Brygady Wileńskiej AK, lecz także z innych brygad wileńskich, m.in. 3. Brygady Wileńskiej AK. Z niewielką grupą partyzantów zameldował się por. Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt", były dowódca plutonu 2. kompanii 6. Brygady Wileńskiej AK. Porucznik „Zygmunt" został dowódcą sekcji egzekucyjnej Obwodu Bielsk Podlaski AK i ze swoją grupą przeprowadził od grudnia 1944 roku do końca marca 1945 roku kilkanaście akcji bojowych, m.in. rozbił sowieckie magazyny w Czajach, zlikwidował kilkunastu żołnierzy i konfidentów NKWD.

„Mikrus" był bardzo lubiany przez starszych kolegów partyzantów. Chociaż często robił im jakieś psikusy, żarty, to szybko mu wybaczali i nie gniewali się. Na przykład mazał startym węglem drzewnym twarze śpiących na kwaterze partyzantów: „[...] leży Wacek »Słoń«. Potężny gość i miał potężny nos jak u prawdzi-

eprasa.pl d14e7ac149

wego słonia. Miał taki tubalny głos. »Słoń« był tak wielki, że jak klęknął, to był taki jak ja stałem. Na czole wymalowałem mu krzyż, ten wielki nos zrobiłem na czarno, broda też na czarno. No i rano pobudka do modlitwy. Stajemy twarzami do siebie – jeden szereg naprzeciwko drugiego. »Słoń« cały czarny, włosy stoją na baczność, co zgarnie, to wracają z powrotem do poprzedniej pozycji. No i ten co stoi naprzeciwko niego widzi, że »Słoń« cały wysmarowany i się śmieje z niego. [...] No i tak wszyscy zaczynają się śmiać odmawiając modlitwę, co wyglądało tak: – W imię Ojca – ha, ha, ha, i Syna – hi, hi, hi. – Przerwij modlitwę! – padł rozkaz. I wszyscy w śmiech. – Kto!? Kto to zrobił!? – pada groźne pytanie. – No kto, no wiadomo kto – »Mikrus«. No, obiecują już, że mnie spiorą. Ja tu przysięgam, świadków przedstawiam, że niewinny jestem jako nowonarodzone dziecię... Jakoś się upiekło". (Niepublikowane „Wspomnienia" Rajmunda Drozda, Archiwum Wschodnie, Ośrodek Karta).

„Słoń" to plutonowy Wacław Niemczynowicz. Zginął w sierpniu 1945 roku w zwycięskiej bitwie stoczonej przez 5. Brygadę Wileńską AK z NKWD i UB w Miodusach Pokrzywnych. Mimo różnicy wieku, a i wielu innych różnic, plut. „Słoń" z „Mikrusem" bardzo się lubili. Byli nierozłączną parą przyjaciół. „Wacek jak chciał pospać na kwaterze – wspominał Rajmund Drozd – to musiał się najpierw przede mną schować. Z kolei jak ja Wacka nie widziałem, to byłem chory".

U boku porucznika „Zygmunta"

Na początku kwietnia 1945 roku mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" odtworzył na Podlasiu z zamelinowanych w okolicach Kiersnowa żołnierzy wileńskich i nowogródzkich 5. Brygadę Wileńską AK. Do oddziału dołączyli też spaleni, zagrożeni aresztowaniem akowcy białostoccy. Na pierwszą koncentrację stawiło się około 40 partyzantów. Major „Łupaszka" podzielił brygadę na szwadrony. Dowództwo 1. szwadronu objął por. Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt", pod jego komendę trafili kpr. „Mikrus" i plut. „Miecio". 15 kwietnia w święta Wielkiejnocy odtworzona 5. Brygada Wileńska wyszła w pole. „Mikrus" pełnił funkcję gońca „Zygmunta". Z każdym dniem liczba żołnierzy 5. Brygady Wileńskiej AK rosła.

Szwadron por. „Zygmunta" był najbardziej bojowym i ruchliwym szwadronem 5. Brygady. Co kilka dni przeprowadzał spektakularną akcję bojową, walcząc z wojskiem NKWD i z oddziałami Dywizji im. T. Kościuszki. To jedynie część wymienionych akcji na portalu Instytutu Pamięci Narodowej: „7 maja 1945 r. »Zygmunt« zlikwidował posterunek MO w Boćkach, zabijając kilkunastu milicjantów, oficera NKWD i szeregowego enkawudzistę. 15 maja ujął i rozstrzelał sierżanta NKWD i ukarał spaleniem chlewa i stodoły jednego z gospodarzy za współpracę z NKWD. 16 maja 1945 r. »Zygmunt« w wyniku potyczki we wsi Potoka z grupą białostockiej straży więziennej, milicjantów i żołnierzy KBW został ranny. Konsekwencją było zastrzelenie czterech mieszkańców wsi oraz dowódcy grupy wojskowej, a także późniejsze spalenie wsi. Z relacji mieszkańców wynika, iż po potyczce oddział schronił się w szopie w pobliskim majątku, którą KBW zlokalizowało i spaliło – w odwecie »Zygmunt« i jego oddział spalił 22 maja wieś Potoka. 28 maja 1. szwadron pod dowództwem »Zygmunta« stoczył walkę z grupą operacyjną NKWD i KBW, która straciła sześć osób. Było też pięciu rannych funkcjonariuszy NKWD oraz dziewięciu zabitych i zaginionych oraz ośmiu rannych żołnierzy KBW; partyzanci stracili trzech zabitych i czterech rannych. 26 czerwca Błażejewicz zaatakował sowiecki posterunek wojskowy i stację kolejową w osadzie, zabijając kilku czerwonoarmistów. Następnie podpalił kilka zabudowań w białoruskiej wiosce w odwecie za pomoc udzielaną przez jej mieszkańców NKWD i UB. 7 lipca 1945 r. w Brzezinach zlikwidował dziesięcioosobową grupę sowieckiej prokuratury wojskowej, a 13 lipca rozbił kolumnę samochodową, zabijając oficera i czterech żołnierzy Armii Czerwonej i biorąc do niewoli 16 żołnierzy LWP i oficera politycznego, którego na prośbę jego podkomendnych rozstrzelano. 8 sierpnia pod wsią Sikory rozbił grupę operacyjną LWP, która straciła 15 ludzi, w tym dwóch oficerów politycznych. 18 sierpnia 1945 r. szwadron »Zygmunta« wraz z oddziałem Władysława Łukasiuka – »Młota« zniszczył grupę operacyjną NKWD, UB i LWP; zginęło 18 enkawudzistów (w tym dowódca, mjr Wasilij Gribko), trzech ubeków, 11 żołnierzy LWP oraz dwóch informatorów, sędzia i prokurator".

We wrześniu 1945 roku doszło do demobilizacji 5. Brygady Wileńskiej AK w ramach akcji „rozładowywania lasów". Delegatura Sił Zbrojnych zakończyła swoją działalność. 7 września odbyła się w gajówce Stoczek w gminie Poświętne ostatnia koncentracja wszystkich szwadronów. Żołnierze chcący dalej walczyć z komunistami byli bardzo zawiedzeni decyzją Delegatury Sił Zbrojnych. Porucznik Zygmunt Błażejewicz był obok mjr. „Łupaszki" najbardziej znienawidzonym i tropionym przez bolszewików oficerem AK. Wobec zagrożeń zdecydował się na wyjazd na Zachód. Nie była to łatwa decyzja, bo chciał dalej walczyć z sowieckimi okupantami.

4 października 1945 roku por. Zygmunt Błażejewicz wraz z żoną Alicją Błażejewicz z d. Trojanowską, sanitariuszką 6. Brygady ps. „Krystyna", jej bratem Jerzym Trojanowskim „Grotem", Henrykiem Rezlerem „Konarem" i Rajmundem Drozdem „Mikrusem" pożegnali się z oddziałem. Komendę nad oddziałem przejął ppor. Lucjan Minkiewicz „Wiktor", a jego zastępcą został ppor. Wła-

eprasa.pl d14e7ac149

dysław Łukasiuk „Młot". Zygmunt i Alicja Błażejewiczowie na podrobionych belgijskich dokumentach dotarli najpierw do Niemiec, a stamtąd wyjechali do USA, gdzie się osiedlili. Zygmunt Błażejewicz odwiedził Polskę po raz pierwszy w 1998 roku. Zmarł 1 kwietnia 2017 roku w USA.

Bez przyszłości

„Mikrus" opuszczając oddział, otrzymał – jak pozostali partyzanci – lewe dokumenty. Był przekonany, że jego ojciec trafił do armii gen. Andersa i przebywa na Zachodzie – postanowił go więc odszukać. Jak się wiele lat później okazało, ojciec zmarł na nieludzkiej ziemi. W wyprawie na Zachód towarzyszył „Mikrusowi" pchor. Henryk Rezler „Konar". Po wielu przygodach dotarli z „Konarem" przez zieloną granicę do Czechosłowacji, a stamtąd, z Pilzna, do miasta Murnau w Niemczech, gdzie znajdował się oflag dla polskich oficerów. W październiku 1945 roku „Mikrus" zaciągnął się do Polish Guard Company, czyli Polskiej Kompanii Wartowniczej, podlegającej armii amerykańskiej. W Altenstadt w Górnej Bawarii wraz z innymi Polakami i Amerykanami pilnował obozów, w których przebywali Niemcy – członkowie SA, działacze NSDAP. Materialnie powodziło mu się nieźle, wyżywienie było dobre, mógł też spędzać wolny czas w wojskowych kasynach.

„Wszystko to było takie bez planu, bez przyszłości – zwierzał się po latach Rajmund Drozd. – A ludzie żyli z dnia na dzień i czekali tej wojny. Słuchało się radia, a tu Radio Warszawa nadaje, że oddziały bezpieczeństwa pędzają a to bandę »Młota«, a to »Wiktora«, no to co ja tutaj robię? – zacząłem zadawać sobie pytanie". Ojca oczywiście „Mikrus" na Zachodzie nie znalazł. Wraz z innymi repatriantami wrócił z Niemiec do Polski, choć całkiem wygodnie mu się tam żyło. Pod koniec listopada 1946 roku zameldował się w oddziale kpt. Władysława Łukasiuka „Młota". Od lutego 1946 roku była to 6. Brygada Wileńska AK podporządkowana mjr. Zygmuntowi Szendzielarzowi „Łupaszce". Został przyjęty do 3. szwadronu dowodzonego przez ppor. Antoniego Borowika „Lecha".

W 1947 roku szwadrony 6. Brygady Wileńskiej AK znajdowały się w ofensywie. Podporucznik „Lech" ze swoim szwadronem przeprowadzał skuteczne akcje na podlaskie posterunki milicji, urzędy gmin, likwidował pospolitych bandytów i ubeckich konfidentów. Jedną z ostatnich głośnych akcji przeprowadzonych przez szwadron „Lecha" było zatrzymanie pociągu 24 kwietnia 1948 roku na moście na Bugu we Fronołowie na linii Siedlce–Czeremcha. Z wagonu pocztowego partyzanci zabrali ponad 260 tysięcy złotych. Na wagonach kolejowych partyzanci wykonali duże napisy „Niech żyje AK" i „Niech żyje Młot". Wiosną 1948 roku dowództwo Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego rozpoczęło na znacznych obszarach województwa warszawskiego, białostockiego i lubelskiego operację „Z" (Zima). Do pierwszej fazy operacji rzucono 2 tys. żołnierzy, funkcjonariuszy bezpieki. W niedługim czasie zostały zwiększone siły resortu.

W obliczu nasilających się obław ppor. Antoni Borowik „Lech" 1 maja 1948 roku podjął decyzję o wycofaniu się na lewy brzeg Bugu – na teren powiatu Sokołów Podlaski. Okazało się, że trafił z deszczu pod rynnę. Teren lewobrzeżnego Podlasia naszpikowany był wojskiem i funkcjonariuszami bezpieki. „Teren powiatu Sokołów Podlaski zapchany był wojskiem – wspominał Rajmund Drozd. – W nocy zasadzki, w dzień penetracja wsi. Dochodząc do wsi Sabnie, natknęliśmy się na zasadzkę. Krótka wymiana ognia szperaczy z KBW i odskok szwadronu w podmokły lasek przy torach kolejowych, gdzie przesiedzieliśmy do zmierzchu. Potem kierując się na Wrotnów, dotarliśmy na kolonię w lesie, gdzie posililiśmy się za jednym zamachem śniadaniem, obiadem i kolacją. Po opuszczeniu tej kolonii w odległości około kilometra natknęliśmy się po raz wtóry na okopującą się zasadzkę. Była wielka i chaotyczna strzelanina. Starcia z kolejnymi zasadzkami sprawiły, że ppor. »Lech« zdecydował się na podział 3. szwadronu na szereg kilkuosobowych patroli, które samodzielnie miały przebijać się w rejon miejscowości Stoczek, gdzie zarządzono najbliższą koncentrację. Sam Antoni Borowik podążył na nią w towarzystwie NN »Orzełka« oraz Kazimierza Szuligowskiego »Tygrysa«. W tym samym czasie właśnie ze Stoczka wyjechało jednak w teren kilka grup rajdowych KBW, które zorganizowały w okolicznych lasach sieć zasadzek. Na jedną z nich 7 maja 1948 r. natknął się patrol ppor. »Lecha«. On sam będąc okrążony, zdecydował się na popełnienie samobójstwa – rozrywając się granatem".

8 lipca 1948 roku Rajmund Drozd „Mikrus" i Jerzy Ostaszewski „Szarak" zostali nakryci śpiący w stodole przez grupę operacyjną MO na kolonii wsi w gminie Brańsk. Nie zdążyli nawet sięgnąć po broń. Wojskowy Sąd Rejonowy w Białymstoku skazał nieletniego „Mikrusa" na szesnastokrotną karę dożywocia. Rajmund Drozd opuścił komunistyczne więzienia 4 marca 1957 roku. Zmarł 20 lutego 1999 roku. Pochowany został na gdańskim cmentarzu Srebrzysko. \ ■

_____

Przy pisaniu korzystałem z publikacji: Kazimierz Krajewski, Tomasz Łabuszewski, „Łupaszka, Huzar, Młot. Działalność 5. i 6. Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)", Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2002; Niepublikowane „Wspomnienia" Rajmunda Drozda, Archiwum Wschodnie, Ośrodek Karta.

eprasa.pl d14e7ac149

Tolo niedźwiadek i wiosna na Bałutach

Magdalena Złotnicka
dziennikarka TVP3 Warszawa

Jakoś na początku lat 70. XX wieku Antoni Gołubiew zaniósł jedną ze swych powieści do Wydawnictwa Literackiego. Wydawcy przeczytali ją i wyrazili wolę druku. Jednak w pisarzu narosły wątpliwości, czy powieść aby na pewno jest dobra. Rozterki były tak daleko posunięte, że w pewnym momencie pisarz zaczął wręcz... wyrywać rękopis wydawcy. Tamten ciągnął maszynopis w swoją stronę, Gołubiew w swoją. W końcu wydawca ustąpił. Pięć lat później książka nadal była nieskończona.

Historia o przepychance w Wydawnictwie Literackim nie jest bynajmniej złośliwą plotką, rozpuszczoną przez literacką konkurencję, sam Gołubiew opowiedział ją Stefanowi Kisielewskiemu („Tygodnik Powszechny", „Rozmówki z Gołubiewem", 15 czerwca 1975 roku). Sekretarz redakcji „Nowego Państwa" zapewne uśmiechnie się, czytając początek niniejszego tekstu, ponieważ przy wszelkich publikacjach stacza ze mną podobne boje – do ostatniej chwili poprawiam, zmieniam i gdyby nie deadline, zapewne też mogłabym to robić w nieskończoność. Gołubiewa deadline nie obowiązywał, a szkoda, zapewne wówczas zdecydowanie więcej z rozpoczętych przez niego publikacji zostałoby skończonych, wydanych.

Antoni Gołubiew znany jest przede wszystkim jako autor „Bolesława Chrobrego". I słusznie, ponieważ z pewnością było to jego *opus magnum*, dzieło życia. Dzieło, które – zwłaszcza dziś – czyta się ciężko, ale które przeczytać warto. Dlaczego? O tym w stosownym miejscu. Nim znajdziemy się w puszczy, w której Bolesław Chrobry polował na grubego zwierza, przenieśmy się do Wilna.

Anioł dobroci i okaz upartości

Był 25 lutego, niecałe dwa miesiące temu zaczął się rok 1907. Wileńskiemu urzędnikowi Mikołajowi Gołubiewowi i jego żonie Antoninie z Wiszniewskich urodził się syn. Na chrzcie otrzymał imię Antoni, przyjaciele i znajomi z redakcji „Tygodnika Powszechnego" mieli w przyszłości mówić na niego „Tolo". Z Wilnem wiązało się też dzieciństwo i młodość Gołubiewa. Kisiel w tekście zatytułowanym po prostu „Śmierć Gołubiewa", który po odejściu pisarza ukazał się w „Tygodniku Powszechnym 15 lipca 1979 roku, nazywa go „wileńskim niedźwiadkiem wyrwanym z litewskich ostępów". Sam pisarz do końca życia podkreślał swój rodowód. „Ja pochodzę z ziemi, lasów i wód, z Wileńszczyzny, dlatego lubię Mazury, dlatego lubię Kaszuby, co roku jeżdżę w tamte strony na kilka miesięcy, tam pracuję" – zwierzał się w audycji Anny Balickiej „Portret pisarza", w odcinku wyemitowanym na antenie Polskiego Radia 14 kwietnia 1978 roku. Opowiadał też, że z dzieciństwa pamięta pierwszą świąteczną choinkę, przed którą stał jak zaczarowany.

Pierwsza wojna światowa, wskutek której Polska powróciła na mapy, w pamięci Gołubiewa zapisała się przede wszystkim emocjami, jakie wywołał widok polskich wojsk. „Przed pięćdziesięciu laty, jako chłopak, przeżywałem to niezwykłe spotkanie z polskim, wyrosłym jak spod ziemi żołnierzem, zaskakujące, nie do uwierzenia, widziałem, jak przeżywali je rodzice, krewni i sąsiedzi" – wspominał Gołubiew na łamach „Tygo-

fot. Wikipedia

eprasa.pl d4e7ac149

dnika Powszechnego" 17 listopada 1968 roku w tekście „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy".

W Wilnie uczęszczał do Gimnazjum im. Zygmunta Augusta; w szkole objawiły się też jego zamiłowania literackie, należał do redakcji szkolnego pisma „Hejnał", w którym w kwietniu 1925 roku zadebiutował aż czterema dziełami. Jak wspomina Kisiel w swoistej przedmowie do cytowanego już wywiadu z Gołubiewem, były to: wiersz „Zima", obrazek „Burza na morzu", historyczne opowiadanie „Przed wiekami" oraz humoreska „Idee Fixe".

Miasto czasów debiutu Gołubiewa w „Hejnale" stanowiło mieszaninę kultur i narodowości, Polacy koegzystowali tu z Tatarami, Litwinami, Karaimami, Żydami, Rosjanami, Białorusinami i Niemcami i – jak twierdzi Kisiel – ta niezwykła formacja kulturowa z całą pewnością ukształtowała Gołubiewa. W okresie wileńskim miały miejsce wydarzenia dla Gołubiewa przełomowe – tu poznał Janinę Sicińską, która została jego żoną. „Anioł dobroci i zarazem okaz upartości, jak i Tolo. Połączenie słodyczy z kamiennym uporem (nie kozim, broń Boże, kamiennym!) cechowało jak widać nie tylko pana Podbipiętę. W dodatku Janka doprowadziła litewskie »śpiewanie« do wyżyn wręcz podniebnych" – pisał o największej i jedynej miłości Gołubiewa Kisiel we wspomnianych już „Rozmówkach...".

Tu także urodziło się czworo starszych dzieci pisarza.

Kradziony pociąg i apartament w starym kinie

Choć może to dziwić, pierwszymi studiami, na jakie zdecydował się autor „Chrobrego", były fizyka i astronomia na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie; dopiero później rozpoczął także studia historyczne i filologię polską. Jak podaje słownik bibliograficzny „Współcześni polscy pisarze i badacze literatury", udzielał się w życiu uczelni, był jednym ze współpracowników „Wolnej Trybuny Akademickiej". Był współzałożycielem grupy poetyckiej Żagary i jednym z redaktorów wydawanego przez nią pisma pod tym samym tytułem. Zawodowo zajął się początkowo nauczaniem historii – najpierw w Gimnazjum oo. Marianów w Drui, potem w wileńskim Gimnazjum oo. Jezuitów, wreszcie w gimnazjum, które sam ukończył.

Jako dziennikarz udzielał się w redakcji „Kuriera Wileńskiego", pisząc pod pseudonimem „W. Toll", jednak to niejedyny jego epizod dziennikarski: w latach 1932–1936 Gołubiew był redaktorem miesięcznika Porozumienia Katolickich Stowarzyszeń „Pax".

Felietony literackie dla Wileńskiej Rozgłośni Polskiego Radia, audycja „Lornetujemy świat", powieść „Mędrcy na arenie", wydana w 1935 roku, i dyskusje, dyskusje, dyskusje, na zmianę z sielankowym życiem rodzinnym, wreszcie pomysł na „Chrobrego" – tak wyglądały szczęśliwe międzywojenne lata Gołubiewa. Na dokładkę Kisiel we wstępie do wywiadu z Gołubiewem wspomina, że w czasach studiów „kolegował z całą plejadą przeróżnych późniejszych prominentów, każdy zresztą z innej parafii, jak: Zgorzelski, Beynar (Paweł Jasienica), Miłosz, Dębiński, Jędrychowski, Stomma, Bujnicki, Zagórski, Maśliński, Putrament, Rudziński i inni", więc dyskusje musiały być naprawdę pasjonujące.

Czar, kolor i atmosferę dwudziestolecia zmiotła jednak II wojna światowa. Jaki los przyniosła pisarzowi? Chciał uciekać na Zachód, nie udało się, utknął w Rydze. Do kraju powrócił latem 1940 roku. Wojnę przetrwał – jak sam pisał w tekście „Pożegnanie z Conradem" („Litery", lipiec 1973 roku) – „zakopany na wsi". Harował jako robotnik, wraz z żoną zbierał jagody i grzyby. Dary lasu zaprzyjaźniony mleczarz wiózł do Wilna, a tam ojciec pisarza sprzedawał je lokalnej restauracji. „Ja sam starałem się nie włazić nowym władzom w oczy" – zaznaczał „Tolo". Jak nietrudno się domyślić, niechęć owa wynikała z faktu, że Gołubiew uczestniczył w działalności konspiracyjnej, ściąganie na siebie uwagi mogłoby mieć fatalne skutki. W tekście „Na Bałutach" („Tygodnik Powszechny", 26 lipca 1964 roku), będącym jednym z najlepszych Gołubiewa-dziennikarza, przynajmniej w mojej ocenie, wspominał wojenną codzienność. „Miałem lipne papiery i lipne lata na papierach, nosiłem czarną brodę i posypywałem ją mieloną kredą albo mąką dla nadania bardziej starczego koloru, przez jakiś czas udawałem półanalfabetę" – wyliczał.

Gołubiewowie szczęśliwie przetrwali wojnę. U początków istnienia Polski Ludowej znaleźli się w Łodzi. Już sama historia dotarcia familii pisarza do tego miasta, opisana zresztą w „Na Bałutach", nadawałaby się na nowelkę sensacyjną. Zaczęło się od tego, że towarowe czerwone wagony wiozły ich – podobnie jak dziesiątki takich samych, objuczonych wszelkim dobytkiem uchodźców – przez pola, lasy, drogi poorane wojną. Pociąg dojechał do Poznania. Stamtąd inny pociąg miał ich powieźć w okolice Szczecina, jednak wilniuki się zbuntowały. Jak wspominał Gołubiew w „Na Bałutach", zadziałały „nawyki wojennej grandy i przeświadczenie, że człowiek musi się przebijać *per fas et nefas* ku swoim celom, że nie ma sposobów niemożliwych, a te najbardziej ryzykanckie okazują się najbardziej trzeźwe i skuteczne". Krótko mówiąc, całe towarzystwo odmówiło jazdy na zachód Polski, upatrzyło sobie jakiś stojący na bocznicy wagon, załadowało się tam z całym dobytkiem, a wznoszącym protesty kolejarzom oświadczyło, że oto oni jadą, owszem, tyle że do Łodzi. Jak powiedzieli, tak zrobili.

eprasa.pl d14e7ac149

Zamieszkali na Bałutach, w najbardziej dotkniętej zniszczeniami części miasta, tam gdzie jeszcze niedawno mieściło się getto. Jak zaznaczał sam Gołubiew, zniszczenia nie były dziełem Niemców, lecz szabrowników, ci brali wszystko, co dało się zdemontować i wynieść. W efekcie ci, którzy chcieli tu zamieszkać, szukali noclegu wśród zrujnowanych kamienic, co chwila natykając się na wyrwane drzwi, nadpalone papiery i pierze z podartych przy przetrząsaniu lokali poduszek. „Był maj, świeciło słońce, nocami wyśpiewywały nam słowiki; mnóstwo było słowików tej wiosny na opuszczonych przez ludzi Bałutach. We dnie kłóciły się stadami wróble, koty leniwie wygrzewały się w słońcu, po pustych ulicach wesoło uganiały psy. A jednak nie można się było otrząsnąć od myśli o »wszystkich sprawach jego«, sprawach zaiste szatańskich, w tej pustce zrujnowanych ulic, która była dosłownie i bez żadnej przenośni pustką śmierci" – pisał w „Na Bałutach". Ulice były puste zresztą tylko pozornie. Wśród powojennej nędzy szybko zaczęli pojawiać się lokatorzy. Powyłamywane drzwi nie przeszkadzały Cyganom, których – mimo prześladowań – wojnę przetrwało zaskakująco wielu. Wśród gruzów coraz częściej migały zdobione cekinami szerokie spódnice, kłębiły się cygańskie dzieci.

Jednak nie tylko od Cyganów zaroiły się Bałuty. Przybyli ludzie z różnych części kraju, walczyli o byt. Niektórzy niestety mało chrześcijańskimi metodami. „To był istny western – owe Bałuty z maja 1945 roku – cegła, pałka, a nawet nóż groziły każdemu, kto chciałby wprowadzać ład w pierwotną dżunglę" – wspominał pisarz.

Wciąż znajdowało się także ślady zagłady Żydów. Sam Gołubiew wspominał, że kiedyś natknął się na leżącą na ulicy żółtą, krzywo wyciętą z materiału sześcioramienną gwiazdę. Chciał ją zabrać na pamiątkę tragicznego losu pomordowanych. Nie odważył się.

Powojenne realia dobrze obrazuje także inna scena, opisana w „Na Bałutach". Otóż jednym z niezniszczonych i nadających się do bytowania lokali była poczekalnia przedwojennego kina. Tam też zamieszkali Gołubiewowie. Żona pisarza pochwaliła się jego matce, ulokowanej w innej części Łodzi, że mają „świetne mieszkanie", bo przecież znalezienie czegokolwiek zdatnego graniczyło z cudem. Ta szalenie się ucieszyła, jednak im dalej zagłębiała się w poturbowaną historią dzielnicę, tym bardziej milkła. Wprowadzona do poczekalni zachowywała się tak, jakby nie dostrzegła łóżek, garnków i świeżych wiosennych kwiatów stojących na stoliku. „Gdzie to mieszkanie?" – zapytała. A dowiedziawszy się, że właśnie się w nim znajduje, mruknęła tylko „ach, to". Dopiero po zapewnieniach synowej, że tu będzie im dobrze, obie panie wycałowały się serdecznie. Gołubiew, opisując tę scenkę, bynajmniej nie chciał przedstawiać swojej matki jako snobki, po prostu podejrzewał, iż jej pierwsza reakcja była spowodowana tym, że słysząc „świetne mieszkanie", wyobraziła sobie swoje przedwojenne wileńskie lokum i spodziewała się czegoś o podobnym standardzie.

Ostatecznie po jakimś czasie Gołubiewowie przenieśli się do mieszkanka w kamienicy, ale i wówczas życie nie było łatwe. To, czego nie zabrali szabrownicy, a co nadawało się do spalenia, zostało już spalone, więc w całej dzielnicy coraz trudniej było o materiał opałowy. W efekcie raz zdarzyło się, że jacyś mężczyźni zaczęli demontować... krokwie w kamienicy Gołubiewów. A że niewiele robili sobie z wrzasków Tola, że dom jest zamieszkany, doszło do pojedynku na pięści. Ostatecznie złodziei udało się przegonić, ale mieszkańcy regularnie musieli staczać bitwy w obronie całości swej siedziby.

Stopniowo życie wracało do normy. Janka Gołubiewowa, z zawodu malarka, nawiązała kontakty z miejscowymi plastykami, Antoniemu zaoferowano udział w spółce produkującej zabawki, ale odmówił. Zamierzał zarabiać piórem. W 1946 roku związał się z „Tygodnikiem Powszechnym".

WIELOKROTNIE PODKREŚLAŁ WARTOŚĆ DUMY NARODOWEJ, KTÓRA POWINNA BYĆ „CENNYM WKŁADEM W OGÓLNOLUDZKI DOROBEK HISTORYCZNY, W OKRESACH ZAŚ KRYZYSÓW I ZAGROŻEŃ STANOWIĆ MOCNY FUNDAMENT PRZETRWANIA I ZACHOWANIA WŁASNYCH WARTOŚCI NARODOWYCH".

▶ Dziennikarze, dziennikarze!

„Tygodnikowy" rozdział życia Gołubiewa jest jednym z ważniejszych, choć zarazem on sam przyznawał w rozmowie z Kisielem, że poświęcił tytułowi

eprasa.pl d14e7ac149

zbyt dużo czasu. Pierwszy numer gazety tak istotnej dla historii polskiej prasy w PRL ukazał się jakoś w marcu 1945 roku. Tytuł zakładały właściwie cztery osoby, w tym wieloletni redaktor naczelny Jerzy Turowicz. Do zespołu szybko dokooptowały kolejne osoby, m.in. Stefan Kisielewski i Antoni Gołubiew. Wybiegając nieco w przyszłość, warto zaznaczyć, że „Tygodnik" był jednym z ostatnich mediów, w których autorzy mieli względną wolność. Przesilenie nastąpiło, gdy redakcja odmówiła wydrukowania nekrologu Józefa Stalina. W efekcie „Tygodnik" został zamknięty (do grudnia 1956 roku). Kisiel w artykule z okazji śmierci kolegi redakcyjnego wspominał, że od razu się dogadali i zrozumieli, zapewne także dlatego, że Tolo „żył historią, polską historią, stąd on, zawołany Wilniuk, niezbyt sobie krzywdował, pochłaniany ciekawością dla całej Polski, tej historycznej czy tej współczesnej, piastowskiej czy jagiellońskiej".

Z kolei we wstępie do wywiadu z Gołubiewem zaznaczał, że w tym pierwszym okresie, do 1953 roku, bardzo wiele przebywali razem. Dni wyglądały podobnie, upływały na niekończących się debatach intelektualnych, sporach, obgadywaniu kolejnych tematów, wymianie zdań odnośnie do bieżącej polityki. Przedpołudnia mijały w redakcji, następnie dziennikarze całą chmarą szli do należącej do zespołu redakcyjnego Zofii Morstinowej, a potem to już – jak pisze Kisiel – „mokra mgiełka od Wawelu albo wiatr halny wysysały resztkę sił".

Nie tylko zresztą Kisiel wspomina rozrywkowe oblicze Gołubiewa, tak kłócące się z wizerunkiem poważnego pisarza od tematów historycznych. Także Zygmunt Lichniak w tekście „»Mój« Gołubiew (wspominki osobiste)" („WTK. Tygodnik Katolicki", 26 sierpnia 1979 roku) pisze o Gołubiewie „rozbrykanym na towarzyskich konwentyklach werwą, temperamentem, spontaniczną wesołością", wspomina jakąś noc spędzoną na pijaństwie w mieszkaniu Janiny Kolendo czy jakieś imieniny, na których Tolo wznosił piętrowe tubalne toasty, a nawet... dał solowy popis wokalny, racząc wszystkich grzmiącym brzmieniem swego głosu.

Dziennikarstwo i paranie się literaturą to w bardzo małej części balangi i zakrapiane dyskusje na tematy wzniosłe, w większej – ciężka praca. Jakie były efekty pracy dziennikarskiej Gołubiewa? Pisał dość odważnie. We wspomnianym już tekście „Jeszcze Polska..." podkreślał rolę dwudziestolecia międzywojennego, na które PRL patrzył przecież krzywym okiem. Zaznaczał wyraźnie, że gdyby nie te lata między 1918 a 1945 rokiem, Polacy mieliby o wiele większe trudności z przetrwaniem okupacji. „Jeśli [...] naród się nie załamał i nie zatracił na chwilę wiary w swoją niepodległość, stało się tak dlatego, że składał się już z owych odmienionych ludzi, dla których niepodległość i własny byt państwowy były realnością, nie marzeniem i na wpół poetycką wizją, stanowiły konkret, życiową oczywistość" – pisał. I dodawał, że dla pokolenia, które musiało żyć w czasach niemieckiej okupacji „fikcją i anachronizmem", była mapa świata sprzed I wojny światowej, nie zaś ta po 1918 roku.

Wielokrotnie podkreślał też wartość dumy narodowej, która powinna być „cennym wkładem w ogólnoludzki dorobek historyczny, w okresach zaś kryzysów i zagrożeń stanowić mocny fundament przetrwania i zachowania własnych wartości narodowych".

Miał to być tekst o Gołubiewie literacie, a cały czas piszę o Gołubiewie dziennikarzu. Może dlatego, że z małych form gazetowych Gołubiew nie jest specjalnie pamiętany, a są one równie ciekawe jak książki, a może nawet ciekawsze.

Jeśli chodzi o publikacje wydane za życia, to poza „Chrobrym" nie było ich wiele: „Poszukiwania" (1960), „Na drodze" (1966) „Unoszeni historią" (1971), „Świadkowie przemian"(1974), ostro osądzony przez krytyków zbiór opowiadań „Spotkanie na Świętokrzyskiej" (1975). Po śmierci autora wydano także powstałe w połowie lat 70. XX wieku „Szaja Ajzensztok. Trzy świeczniki siedmioramienne" oraz „W żółtej poczekalni dworcowej pod zegarem" i książkę „Największa przygoda mojego życia. Lata nad »Bolesławem Chrobrym«".

Siła płynie z korzeni

„Jeśli zażyłość z książką mierzyć stopniem jej sfatygowania, to z Gołubiewem jestem zżyty jak mało kto, bo »Bolesław Chrobry« sfatygowany jest u mnie najbardziej" – pisał Hamilton, czyli Jan Zbigniew Słojewski, w „Perswazjach" („Kultura", 5 października 1980 roku), już po śmierci Tola.

O czym jest powieść, a właściwie cykl powieści, Gołubiewa? Najoczywistsza odpowiedź brzmi, że o Chrobrym. Takie stwierdzenie, choć zgodne z prawdą, byłoby zarazem spłyceniem. Książki te to nie tylko opowieść o polskim władcy, nie tylko fabularna historia, w której pojawiają się wątki poboczne, lecz przede wszystkim uniwersalna historia o formowaniu się polskiej państwowości. Gołubiew miał zresztą tego świadomość. „Jego historyzm [„Chrobrego" – przyp. M.Z.] był dla mnie od początku pozorny, nie o historyzm w książce chodzi, czego nie zrozumiało wielu krytyków" – mówił Kisielewskiemu w cytowanym już wywiadzie.

Opowieść o Bolesławie Chrobrym zaczął pisać – jak sam wspominał w tekście „Pożegnanie z powieścią" („Twórczość", marzec 1974 roku), w maju 1938 r., w ja-

eprasa.pl d14e7ac149

kiś słoneczny dzień. Pisał też pod okupacją i w latach 50. Pierwsze rozdziały powieści pokazał jednemu z przyjaciół, Czesławowi Zgorzelskiemu, późniejszemu profesorowi polonistyki na KUL-u. Ten, mimo że zachęcał do dalszej pracy, nie szczędził też krytyki. Choć finalnie okazała się ona zbawienna, na pewien czas zniechęciła Tola do pracy, zamiast pisaniem zajął się... usuwaniem ze Śródmieścia zwałów gruzu.

Jak powieść oceniali współcześni Gołubiewowi? Tadeusz Żółciński na łamach „Za i Przeciw" (18 lipca 1971 roku) przypominał, że rodowód pisarski Gołubiewa krytycy wywodzili od Henryka Sienkiewicza, Stefana Żeromskiego czy Józefa Ignacego Kraszewskiego. Zaznaczał zarazem, że to błąd, ponieważ choć oczywiście Gołubiew wyrósł z tradycji polskiej powieści historycznej, to zarazem nadał swoim książkom „własne piętno, jakże go wyróżniające, jakże trudne do podrobienia, a równocześnie jakże później niemiłosiernie parodiowane przez satyryków".

Wspomniany już Hamilton zauważa pewien paradoks. Otóż dwa pierwsze tomy, pisane w czasie wojny, są „najbardziej państwowotwórcze", zaś powojenne części cyklu to w coraz mniejszym stopniu opowieść o państwie. „Paradoks pozorny: konkretyzacje państwowości polskiej w latach pięćdziesiątych nie odpowiadały autorowi ze względów, których to wyłuszczać nie będę. Dlatego powieść kameralnieje. Bolesław dewocieje (!)" – zaznacza Słojewski. Zaś Żółciński stwierdza, że Gołubiew pisał „Rozdroża", czyli czwarty tom „Chrobrego", „w czasach niesprzyjających literaturze historiozoficznych rozważań, apoteozie kulturotwórczej roli cywilizacji chrześcijańskiej". Z kolei Kisiel w „Dziennikach" zanotuje następujące zdanie: „Tolo Gołubiew chory na serce (truje się diabelską kawą, tytoniem, słodyczami) ma zmartwienia podobne do moich, że nie dokonał dzieła, zaczął parę powieści, ale stały się albo niecenzuralne, albo nieaktualne".

Z jednej strony to był *modus operandi* Tola wobec Polski Ludowej: choć nie ma powodów, by podejrzewać, że mu się podobała, to zarazem nie był typem buntownika. Do wyjątków należy sytuacja z roku 1976, kiedy to wraz z Hanną Malewską ze „Znaku" wspólnie napisali list, będący protestem przeciw zmianom w konstytucji.

Z drugiej zaś strony otwarte pisanie o swojej wierze, a to czynił Gołubiew praktycznie przez cały czas – też było aktem odwagi. Wiara Gołubiewa była zresztą bardzo silna, wręcz niezachwiana. Kisiel w tekście „Śmierć Gołubiewa" wspominał, że kiedyś jeden z badaczy Pisma Świętego stwierdził, że manna, jaką Bóg zesłał Żydom na pustyni, to nie żaden cud, lecz rodzaj jadalnych nasion. Reakcja Gołubiewa była zaskakująca. Pisarz serdecznie się uśmiał: „Facet myślał, że mi odebrał wiarę w Biblię, a tymczasem mi ją przywrócił! – wołał. – Zawsze myślałem, że ta manna to musi być coś konkretnego, tylko nie wiedziałem co. A teraz już wiem!".

Dziedzice historii

Ostatnie lata życia Gołubiewa wypełnione były przede wszystkim pracą. Czy to w mieszkaniu przy ulicy Jaskółczej, które Kisiel opisywał jako „małe, ciemnawe, a przepastne, przedpokój zagracony, szafy, narty, piec kaflowy", i konstatował, że takich mieszkań już nie ma, przynajmniej zaś nie uchowały się w Warszawie czy to na ukochanych Mazurach i Kaszubach. Zupełnie tak, jakby bał się, że nie zdąży. Podobnie widział to Kisielewski, który robiąc wywiad z Gołubiewem, chciał go nieco odświeżyć. Choć w „Rozmówkach" kreślił obraz pisarza raczej optymistyczny, to już w „Dziennikach" owego optymizmu nie widać. „Facet się szarpie, choć uważa, że jest w pełni sił twórczych" – pisze. I już nie ze śmiechem, lecz z lekką irytacją wspomina, że Tolo zamiast odpowiedzieć na pytania dotyczące swojego życia, wcisnął mu maszynopis ze wspomnieniami o pracy nad „Chrobrym". Rzeczywiście, kiedy czytałam „Rozmówki", więcej wyniosłam z obserwacji Kisielewskiego niż z wypowiedzi Gołubiewa, ale być może po prostu pisarz nie był już w najlepszej kondycji. Z całą pewnością jego stanu nie poprawiło tragiczne wydarzenie, jakie miało miejsce wkrótce po ukazaniu się wywiadu. Na Mazurach utonął jego syn Stanisław.

Opowieść o Bolesławie Chrobrym zakończył Gołubiew książeczką „Wnuk", która w zamyśle miała stanowić otwarcie na przyszłość, lecz mimo niej cykl sprawia wrażenie nieskończonego. Ale czy historia jest skończona? Dla Antoniego Gołubiewa skończyła się 27 czerwca 1979 roku. Zygmunt Lichniak wspomina jedno z ostatnich spotkań z pisarzem. Gołubiew, mimo że był już mocno schorowany, wyraził chęć udziału w zwiedzaniu słynnej bronowickiej Rydlówki, w której Stanisław Wyspiański zobaczył swoje „Wesele". Tolo „przygnieciony chorobą i ciężkimi przeżyciami, jakby się skurczył, zapadł w siebie, ale i prelekcji, i recytacji słuchał w wielkim skupieniu, z zadumaną twarzą, przechylając głowę w stronę mówiących, by jak najlepiej słyszeć...".

Przez całe swoje trudne życie znał wartość historii i starał się tę wartość wpajać innym. „Myślę, że wszyscy jesteśmy unoszeni historią, jako jej dziedzice. Jako ci, którzy nie zaczynają od zera, od jaskini, od krzesania pierwszej iskry ognia, którzy mają być przenośnikiem tego całego dorobku ludzkości, nie tylko własnego narodu, ale całej ludzkości w dzień dzisiejszy i w jutro" – mówił na antenie Polskiego Radia. Refleksja, którą warto zapamiętać. ■

eprasa.pl d14e7ac149

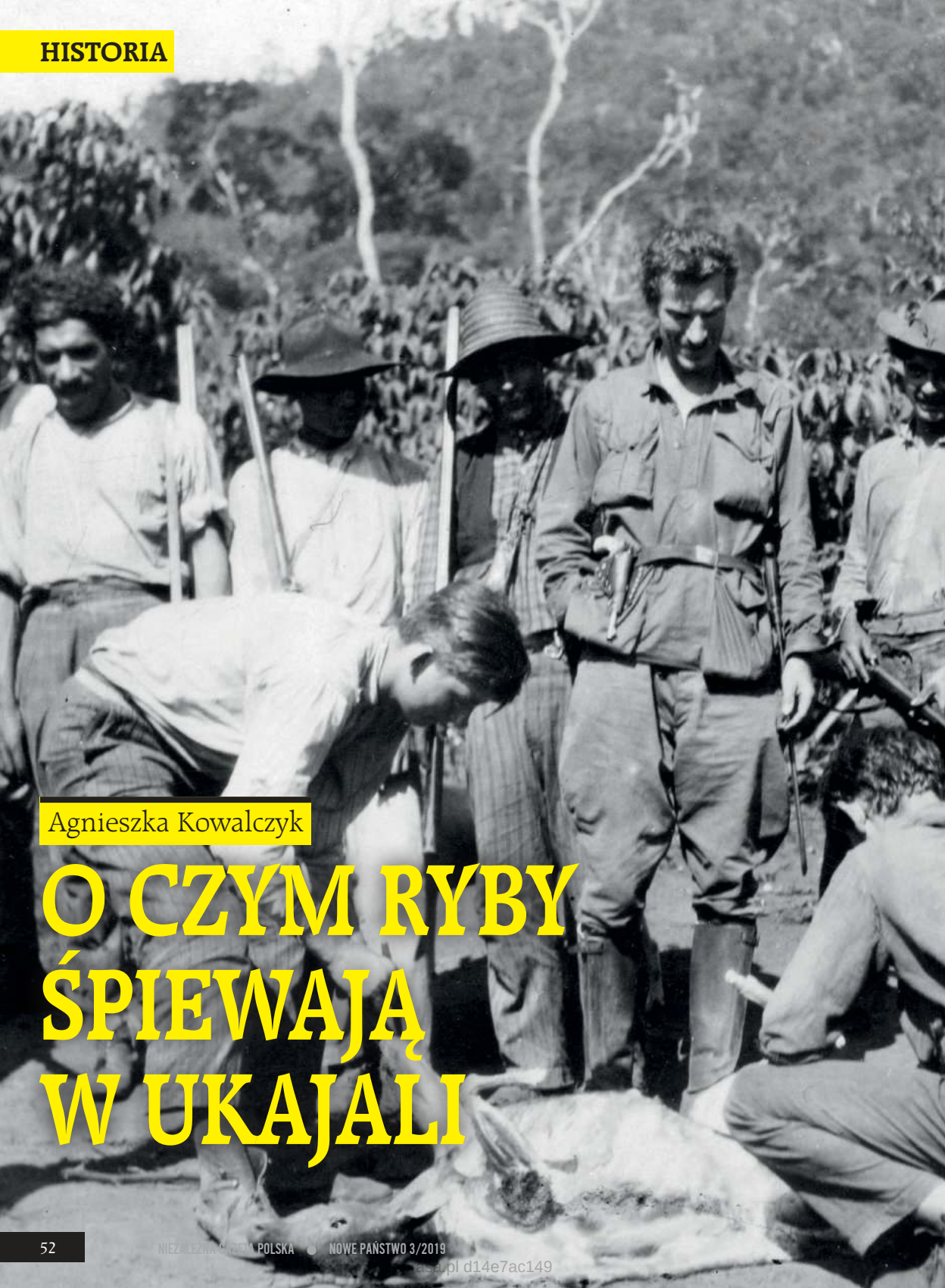

Agnieszka Kowalczyk

O CZYM RYBY ŚPIEWAJĄ W UKAJALI

asa.pl d14e7ac149

Żywiołem Arkadego Fiedlera były podróże. Z małego Rogalinka pod Poznaniem wyprawiał się w najodleglejsze zakątki świata. Nienasycona ciekawość gnała go do Brazylii, Peru, Kanady, Maroka, Wenezueli, Meksyku, to znów na Madagaskar, Kubę, Martynikę... W połowie 1939 roku znalazł się na Thaiti i tam też dowiedział się o wojnie. Nie zastanawiając się długo, wrzucił rękopis nieukończonej książki do walizki i ruszył wprost do polskiego wojska we Francji. „Z thaitańskiego raju, gdzie noce i dnie były jak bajka, kobiety jak kwiaty, a kwiaty jak motyle, wygnała go nieuleczalna polskość", bo – jak pisze Ludwika Ciechanowska – czuł się przede wszystkim Polakiem odpowiedzialnym za „daleką, utraconą, Bóg wie na jak długo, ojczyznę...".

fot. NAC

Jak to się w ogóle stało, że Arkady Fiedler został wielkim podróżnikiem, a jego opowieść o „rybach śpiewających w Ukajali" rozpaliła wyobraźnię tysięcy polskich czytelników? Wielki wpływ na kształtowanie jego osobowości miał ojciec Antoni – ceniony w Wielkopolsce drukarz i wydawca, człowiek o artystycznej duszy, literat, malarz, fotograf, miłośnik przyrody i turystyki. To on był najwierniejszym towarzyszem Arkadego podczas wspólnych wypraw w nieznane. Razem wyruszali do Puszczykowa i dalej, odkrywali leśne zakątki i dzikie uroczyska nad Wartą, podziwiali tysiącletnie dęby rogalińskie. Dla dorastającego chłopca, który całym sobą chłonął ojcowskie opowieści o „gorącym słońcu, o dalekiej bujnej puszczy, pełnej lian i drzewiastych paproci, o olbrzymiej rzece i wielkich, cudownych, błyszczących motylach" – tamten daleki, zamorski, kipiący egzotyką świat stał się obiektem najskrytszych pragnień. Tęsknotę za nieznanym rozniecała jeszcze literatura – „Listy z Ameryki" Sienkiewicza i jego „W pustyni i w puszczy", „Pan Balcer w Brazylii" Konopnickiej i „Lord Jim" Conrada, to znów „Moje zwierzęta" Nałkowskiej, „Noa, Noa" Gaugiuna, „Winnetou" Maya, „Inteligencja kwiatów" „belgijskiego maga" Maeterlincka...

Swoją pierwszą powieść „Na dzikach preriach Ameryki Północnej" napisał już w wieku piętnastu lat, przedstawiając w niej własne wyimaginowane przygody na ziemi Czerwonoskórych, do której niby to wyruszyć miał wraz z dwoma serdecznymi przyjaciółmi zaraz po maturze. W 1917 roku na łamach poznańskiego „Zdroju" ukazał się natomiast cykl jego wierszy „Czerwone światło ogniska", a dziewięć lat później opublikował relację z autentycznej wakacyjnej wycieczki na Kresy, którą zatytułował „Przez wiry i porohy Dniestru" (1926). Nikt by się jednak nie spodziewał, że już wkrótce ten stateczny chemigraf z Poznania rzuci chemigrafię, sprzeda drukarnię i osiądzie w rogalińskiej chacie, by gotować się do wielkiej wyprawy na drugą półkulę, wprost do Brazylii. Gdy rozpadło się małżeństwo Fiedlera i na zapalenie opon mózgowych zmarła jego córeczka Basia, z dawnego życia nic mu już nie pozostało. Był teraz zupełnie sam, ale nie poddał się, zwyciężyła w nim natura globtrotera, który „będzie ściągał złoto ze słońca, bogacił swą duszę, zdobywał przygody".

Po Brazylii, którą opisał w książkach „Bichos, moi brazylijscy przyjaciele" i „Wśród Indian Koroadów", przyszedł czas na Amazonię. Całą tę wyprawę odtworzył z literackim talentem w najsłynniejszej swojej książce „Ryby śpiewają w Ukajali", która stała się bestsellerem, a przetłumaczona na kilkanaście języków obiegła świat, przynosząc mu sławę „mistrza literatury podróżniczej".

▶ Natura doprowadzona do stanu wrzenia

Całe dorzecze Amazonki porastała zewsząd dzika, nieprzebyta puszcza o powierzchni zajmującej blisko

eprasa.pl d14e7ac149

dwie trzecie Europy. Ciągnące się tu nieskończenie od samego Atlantyku zielone ściany lasów stanowiły dla naszego podróżnika jakąś „nieziemską scenę oszalałego teatru". Oszałamiało nieprzebrane bogactwo palm, lian, bambusów, epifitów, drzew i krzewów sycących oczy różnorodnością barw – od liści białych jak śnieg do czerwonych jak krew, to znów zaskakujących odmiennością kształtów – prostych, koślawych, rosnących niemal poziomo bądź fantazyjnie powyginanych. I choć tę część świata opisywało już tak wielu podróżników na czele z Batesem i Wallace'em, to jednak nic nie mogło zastąpić „doznania jej na własnej skórze", zanurzenia się w tej gorącej, odurzającej naturze Amazonii, ogarnięcia jej wszystkimi zmysłami.

Puszcza tropikalna była dla białego człowieka piekłem i rajem zarazem. Trzeba tu było znosić przez cały rok „okrutne, wilgotne gorąco", a przez dziewięć miesięcy powodzie zalewające ogromne przestrzenie lasu, dziesiątki chorób czyhających wśród moczarów, tysiące mrówek i termitów, całe chmary moskitów „wszczepiających śmierć do krwi", nie mówiąc o atakujących znienacka jadowitych wężach i zabójczych pająkach. Dla przyrodnika jednak owo „przeklęte uroczysko" nad Amazonką to prawdziwe laboratorium natury, „wyśnione Eldorado", w którym odkrywa najwspanialsze cuda fauny i flory – „kwiaty o dziwacznych barwach, tajemnicze orchidee o zmysłowym zapachu, motyle barwniejsze niż jakiekolwiek kwiaty, kolibry mniejsze i barwniejsze niż motyle, [...] węże, jak na przykład anakondy, dochodzące do niebywałych rozmiarów, ssaki, które przeżyły się w dawniejszych epokach", słowem – „rozpasaną wybujałość niezwykłych przejawów życia". Z pokładu statku Fiedler oglądał cały ten spektakl natury, czując się bezpieczny aż do momentu, gdy uświadomił sobie, że i na niego patrzyły oczy puszczy i że balansował na wąskiej granicy, nad przepaścią rozjątrzonej zieloności, która wokół rozpasała się jak „drapieżna syrena".

Docierając do samego jądra tego pierwotnego świata, w którym życie dochodzi do stanu wrzenia, bezwzględne prawa natury objawiają się tak silnie jak nigdzie indziej na ziemi. Walka o byt toczy się tu na wszystkich poziomach życia, nie tylko w świecie wielkich zwierząt, lecz także pośród najmniejszych istot, tajemniczych i fascynujących. Jej symbolem był dla Fiedlera zażarty bój chrząszcza i modliszki. Usadowione na liściu, w bezruchu, czyhały na siebie przez kilka godzin, w odległości zaledwie kilku centymetrów. „Groźnie wzniesione, długie jak szczypce, przednie nogi modliszki sterczały w powietrzu wciąż bez najmniejszego ruchu, jak gdyby straszliwe kolce zanosiły upiorną modlitwę o śmierć i pożarcie ofiary" – opisywał te momenty napięcia Fiedler. W końcu rzucili się na siebie – chrząszcz przebił swym rogiem odwłok modliszki, tak że zaczęły wypływać z niej zielonkawe wnętrzności, a ona wgryzła się w ciało przeciwnika, w najsłabszy jego punkt i wyrwała w nim wielką jamę. Mimo to walka trwała dalej – modliszka wciąż wżerała się w tułów chrząszcza, połykając jego wnętrzności i wydalając je z otwartej rany na odwłoku... On zaś, nie mniej zacięty w swej żądzy odwetu, próbował pochwycić jej tułów żuchwami, a gdy mu się to nie udało, zadowolił się obgryzaniem odnóży. Wzajemne wyżeranie i pochłanianie ciał trwało jeszcze kilka godzin, aż do samej nocy, do momentu, kiedy po tych zaciekłych zapaśnikach nie pozostał ślad. Fiedler pokazał, jak żywioł walki wstrząsa światem przyrody i pozwala przetrwać najsilniejszym, a czasem tym najbardziej odważnym. Tak jak w dramatycznej scenie starcia jastrzębia z malutkim koliberkiem, który sam jeden z całego stada pozostaje na placu boju, by zmierzyć się z potężnym drapieżcą. Z piskiem rzuca się na olbrzyma, który ściera się z nim i choć wydawałoby się to niemożliwym, zwycięża... koliber. Nieprawdopodobnie zwinny, w błyskawicznym locie rzuca się do oczu wroga i wytrąca go tym z równowagi. Znękany jastrząb odlatuje.

Każda żywa istota mieszkająca w puszczy była dla Fiedlera prawdziwym odkryciem, indywidualnością, która zadziwia nie tylko niepowtarzalnym wyglądem, lecz przede wszystkim sprytem, mądrością, odwagą, umiłowaniem wolności. W jego reportażach zwierzęta zyskiwały cechy ludzkie, odnajdywał w nich „drobiny ludzkiej duszy, atrybuty człowieczej natury, zdolność do cierpienia, miłości, porywu radości, zniechęcenia i nienawiści".

▶ Z anakondą i kapibarą za pan brat

W jednym z rozdziałów książki „Starzy, dobrzy przyjaciele" Fiedler opowiadał o zwierzętach, które najbardziej utkwiły mu w pamięci. Najdzikszym, jakie zapamiętał, była hirara z Peru, która schwytana i wpuszczona do klatki gryzła bez opamiętania wszystko dokoła siebie, aż do momentu, gdy udało jej się wymknąć czterem pilnującym ją mężczyznom. „Dzielny, zawzięty bojownik wolności dał nam świetną naukę, że szaloną odwagą i wytrzymałością można dopiąć celu, nawet w najtrudniejszym położeniu" – przyznawał Fiedler. Najpiękniejsze wydały mu się ary – „bajecznie kolorowe matrony tronujące na najwyższych szczeblach", a największą jego sympatię zyskały trompetery, dostojne ptaki o czarnych skrzydłach, które budziły posłuch u swych współbraci, a z człowiekiem wchodziły w bardziej poufałe relacje. Jeden z nich szczególnie upodobał sobie te chwile, gdy Fiedler iskał go po głowie, inny znów zakochał się w indiańskim chłopczyku, ku które-

eprasa.pl d14e7ac149

mu pędził jak zwariowany, kładąc mu się u stóp. Najbardziej zaskakujące okazało się jednak zachowanie anakondy, pięciometrowego potwora, do którego klatki wpuszczono kurczaka z myślą, by się pożywił, lecz ten odwieczny myśliwy zamiast pożreć ptaka, po prostu się z nim... zaprzyjaźnił. Kurczak „kładł się spać w jego olbrzymich zwojach, dziobał bezczelnie jego skórę i łaził mu dosłownie po głowie. A srogi anakonda nie myślał go zjadać". Po dwóch tygodniach takiej sielanki uznano, że wąż musi być chory, ale gdy tylko otwarto klatkę, ten rzucił się na Fiedlera, który zapragnął zrobić sobie zdjęcie z tą „okrutnie fotogeniczną bestią". Wtedy, jak wspomina, wąż swą „straszliwą paszczą" chwycił jego rękę, lecz zanim zdążył owinąć się wokół ciała i zabrać do łamania mu żeber, „towarzysze wetknęli pal między jego szczęki, podważyli je i uwolnili rękę, spływającą obficie krwią".

W amazońskiej puszczy Fiedlera zafascynowało wielu innych jeszcze przedstawicieli tropikalnej fauny. Podziwiał czarnego tukana z olbrzymim pomarańczowym dziobem, delfiny z wód Amazonki, których zabicie ponoć przynosiło nieszczęście, straszliwego węża czuszupi – „postrach ukajalskich lasów" – czy wreszcie uwodzicielską, romansującą z tapirem kapibarę, która „lubiła zielone banany, wolność i błoto". Tak to dziewicza puszcza amazońska otwierała przed nieustraszonym podróżnikiem swoje tajnie, pozwalała doświadczyć fenomenu życia pierwotnej natury, dawała zdolność współodczuwania i współrozumienia przyrody. Dopiero tutaj – z dala od cywilizacji, w niezgłębionej głuszy – mógł poczuć się jej integralną częścią. To Amazonia zrodziła w nim jakąś wewnętrzną tęsknotę za utraconą prajednią człowieka i natury i to ona nauczyła go szacunku do każdej żywej istoty.

W CZŁOWIEKU, JAK POKAZUJE FIEDLER, ZDAJĄ SIĘ TKWIĆ CIEMNIEJSZE INSTYNKTY NIŻ W NAJDZIKSZYCH MIESZKAŃCACH AMAZONII. ŻĄDZA WŁADZY I POSIADANIA WIEDZIE GO KU NAJWIĘKSZYM ZBRODNIOM.

Czama – wesoły Indianin

Nie mniejszą ciekawość budziły w podróżniku z Polski tubylcze ludy mieszkające od wieków nad Amazonką. Fascynowało go ich proste, prymitywne życie, pierwotne więzi z Matką Ziemią, kusiła barwna obyczajowość, pradawne, pogańskie wierzenia, inny od europejskiego sposób pojmowania świata. Największe bodaj wrażenie wywarł na Fiedlerze indiański szczep Czamów znad Ukajali (prawy dopływ Amazonki). Pierwszy raz ujrzał ich, zatrzymując się w Pontabello. Jego oczom ukazały się twarze o rysach mongolskich, malowane w czarne i czerwone kreski, bujne czupryny spuszczające się aż po same brwi, kobiece nosy poprzebijane srebrnymi kolczykami. Wszyscy oni, niscy i krępi, odziani byli w kuźmy, czyli w workowate stroje własnego wyrobu. Zwabieni przybyciem statku oglądali białych z daleka, nieufni i podejrzliwi, gotowi w każdej chwili poderwać się do ucieczki. Fiedler, trafiając do ich wioski składającej się z kilku palmowych dachów, od razu stał się świadkiem radosnego poruszenia, jakie wywołał jeden ze współplemieńców, który przywiózł łódką ogromną rybę upolowaną z łuku. Wszyscy z dzikim okrzykiem „iii, iii!" rzucili się ku brzegowi, wiedząc, że czeka ich wspaniała uczta. „To był jak gdyby żywiołowy głos samej przyrody w jej ekstazie".

Czamowie jedli przeważnie ryby pieczone w liściu palmy, zwane pataraszkami, i banany, które rozgniecione ręką i ugotowane stanowiły ich ulubioną zupę ciapu. Popijali wódkę wyrabianą z trzciny, a gdy jej zabrakło, nie pogardzili masatu – napojem ze sfermentowanej juki, przeżuwanej uprzednio przez kobiety. Fiedler żartował, że ryby i banany służyły im wybornie, skoro prawie wcale nie chorowali, a dobry humor nie opuszczał ich nigdy. Czama był cały czas wesoły, śmiał się nawet wtedy, gdy przydarzyło mu się nieszczęście. Lud ten przyjął wprawdzie chrześcijaństwo, ale pozostał wierny pogańskim praktykom i uprawiał czary. Niektórzy spośród Czamów potrafili liczyć do dziesięciu, choć kiedyś był ponoć i taki kuraka, czyli wódz, który umiał liczyć do dziesięciu tysięcy. Pieniądze nie stanowiły dla nich istotnej wartości, bo, jak zauważył Fiedler, w życiu kierowali się kaprysem, zachcianką do tego stopnia, że gdy na przykład spodobał im się nóż sąsiada, byli w stanie oddać mu za niego własną strzelbę wartą dwadzieścia razy więcej. Żyli chwilą, bo nie musieli walczyć o byt. Do szczęścia wystarczały im ryby w rzece i banany na drzewach.

Czamaskie kobiety to urodzone artystki. Spod ich palców wychodziły naczynia z gliny o misternych kształtach, zdobione geometrycznymi wzorami i malowidłami przedstawiającymi ludzi i zwierzęta. W podobny spo-

eprasa.pl d14e7ac149

sób upiększały swe kuźmy, kobiece chusty i zapaski. Taka ukajalska kuźma mogła służyć swemu właścicielowi przez całe życie. Nigdy jej nie prał, a gdy z białej stawała się brudna i szara, wrzucał ją do wywaru z kory mahoniowej, by zyskała ciemnobrązowy kolor. Dziewczęta z plemienia Czamów szybko dojrzewały i już w wieku ośmiu, dziesięciu lat rozglądały się za kandydatem na męża, którego same sobie wybierały. Małżeństwo zawierane było za zgodą ojca i to dopiero wtedy, gdy panna nauczyła się wszystkich prac domowych. Mężowie Czamek byli wielkimi zazdrośnikami i nie spuszczali z oka swoich kobiet. Gdy zdarzyło się, że któryś z nich został zdradzony, wówczas bezlitośnie mścił się na tym, który przyprawił mu rogi, i czynił to najczęściej za pomocą usiaty – zaokrąglonego nożyka w kształcie sierpa. Ciął nim bez miłosierdzia skórę na głowie rywala, a ten nie uchylał się od ciosów, bo wiedział, że dzięki licznym okaleczeniom zyska sławę wioskowego Don Juana.

Czamowie nie mieli dobrego zdania o białych. Uznawali ich za mniej wartościowych od siebie – „w ich mniemaniu rasa biała jest upośledzona, a biały człowiek to niedołęga". Chociaż chwali się, że potrafi zbudować parowce, to nie umie dobrze wiosłować, a do tego wydziela nieprzyjemny zapach zgniłego mięsa, który odstrasza czamaskie kobiety. Mimo wszystko Fiedler zachęcał Europejczyków, zwłaszcza tych, którzy mieli już dość cywilizowanego świata, by przyjeżdżali nad Ukajali, bo jedynie tu mogli zaznać życia „w błogosławionej ciszy, na łonie najbujniejszej [...] przyrody, pod palmami, nad wielką rybną rzeką, wśród skromnych, pogodnych ludzi, którzy nie chcą znać pieniędzy i lubią się śmiać".

Piekło zamiast raju

Pierwotny stan szczęśliwości dzikich ludów nad Amazonką zburzyli w XVII i XVIII wieku żądni władzy i bogactwa portugalscy konkwistadorzy, których bestialstwo dorównywało „osławionej srogości hiszpańskich zdobywców". W zbiorze swych zajmujących reportaży Fiedler wiele pisze o krwawych podbojach i zbrodniczej polityce wyniszczania Indian przez Europejczyków. W ciągu dwóch stuleci zagarnęli oni wszystkie urodzajne ziemie nad dolną Amazonką, a ci, którym udało się uciec od jarzma niewoli, chronili się w głębokiej puszczy i przymierali głodem na malarycznych błotach. Zanim jednak Portugalczycy zdołali opanować te tereny, zasiać tu terror i okrucieństwo, już w pierwszej połowie XVI wieku zaczęli wyprawiać się w te strony Hiszpanie w poszukiwaniu złota. Chciwość konkwistadorów była „upiorna", „gorączka złota trawiła Hiszpanów za dnia, koszmarne sny o skarbach dręczyły ich po nocach". Marzyły im się osnute legendami złotonośne krainy na wschód od Peru – Kurikuri nad Czarną Rzeką Manoa, śnili o wybrukowanym złotem mieście Paytiti, ale najbardziej kusiło ich państwo króla El Dorado nad jeziorem Parime. Ten „złoty" władca miał ponoć codziennie pokrywać ciało klejnotami i grubą warstwą złotego pyłu, przechadzać się po mieście o złotych kopułach, pośród domów ze srebra. Na podbój owych legendarnych krain, leżących na wschód od posiadłości hiszpańskich, Francisco Pizarro wysłał swojego brata Gonzala, mianowanego w 1539 roku gubernatorem prowincji Quito. Wyprawa jednak zakończyła się fiaskiem. Po szesnastu miesiącach spośród dwustu Hiszpanów do Quito wracało jak „trupie widma klęski" dziewięciu ledwie trzymających się na nogach niedobitków. Więcej szczęścia miał tylko Francisco Orellana, który w trakcie tej wyprawy, odłączywszy się od swych towarzyszy, trafił do bogatej indiańskiej wioski, a stamtąd postanowił płynąć dalej w poszukiwaniu Eldorado. Nie był jednak w stanie poskromić wściekłości i żądzy mordu, jaka owładnęła jego ludźmi, którzy „zamiast błyszczących kopuł złotego króla nie odkryli nic innego w puszczy prócz nadobnych palm assai". Ogarnięci szałem zabijali napotkanych Indian i palili ich wioski. Zdarzało się jednak, że Czerwonoskórzy dawali im silny odpór, jak na wodach Japury, w państwie króla Macziparo bądź nad rzeką Rio Negro, gdzie w starciu z wojowniczym plemieniem Manoa ponieśli sromotną klęskę. Nie mniejszą odwagą w walce z białymi wsławiły się indiańskie amazonki, doskonałe łuczniczki, które urządziły sprytną zasadzkę, zmuszając napastników do ucieczki w dół rzeki Jamundy. Dopiero po dziewięciu miesiącach tułaczki, w sierpniu 1542 roku, ludzie Orellana w rozpaczliwym stanie dobrnęli do morza z zamiarem przedostania się do Hiszpanii.

Na tym jednak nie koniec, bo w trzy lata później wyruszyli na nową wyprawę, by podbić Amazonię i zdobyć skarby ludu Manoa. Tym razem jednak Orellana nie miał już tyle szczęścia – puszcza amazońska pochłonęła go i jego towarzyszy i słuch po nich zaginął. Ale myśl o jego wyprawie i o wielkich bogactwach doliny Amazonki rozpalała wciąż wyobraźnię hiszpańskich konkwistadorów, tak że już w 1559 roku wyruszyli ponownie na podbój niezdobytego dotąd Eldorado. Największym okrutnikiem z całej załogi, „wyrodkiem opętanym żądzą mordu" okazał się Francisco Lope Aquirre, który wszczął bunt na pokładzie i doprowadził do śmierci dowódcy Pdera de Ursua. Wkrótce sam stanął na czele tej rozpasanej bandy, która przypominała stado wściekłych wilków siejących spustoszenie nad Amazonką i dokonujących rzezi napotkanych Indian. Aguirre w swym szaleństwie ogłosił się księciem całego Peru, myśląc nawet o podboju i zagarnięciu dla siebie posiadłości hiszpańskich w Ameryce. Kres jego obłąkańczym zamysłom położyła dopiero śmierć z rąk współtowarzyszy.

Największą chyba niesławą spośród konkwistadorów okrył się Francisco Pizarro, który w 1531 roku wyru-

eprasa.pl d14e7ac149

szył na czele osiemdziesięciu awanturników na podbój Peru. Gdy zdziesiątkował już inkaskie wojsko i wyciął w pień wszystkich dworzan króla Atahualpy, a jego samego wziął do niewoli, wówczas pojmany władca zaproponował mu w zamian za swą wolność tyle złota, ile zmieści się w komnacie pięć na siedem metrów, do wysokości wzniesionej ręki. Pizarro zgodził się, ale nie myślał dotrzymać słowa. Obłudnie oskarżył króla o rzekome okrucieństwa wobec jego brata-rywala i skazał na śmierć. Przed wykonaniem wyroku obiecał, że za cenę przyjęcia chrześcijaństwa nie zostanie spalony na stosie, lecz uduszony. Tak też Atahualpa został najpierw ochrzczony, a następnie uduszony.

Indianie nie poddawali się biernie najeźdźcom, choć w tym nierównym boju czekała ich zazwyczaj śmierć. Tak było w 1571 roku, kiedy to potomek Inków Tupak Amuru, pragnąc uwolnić kraj spod obcego panowania, doprowadził do wybuchu powstania peruwiańskich chłopów. Wtedy tracący nagle grunt pod nogami Hiszpanie podstępnie zwabili i uwięzili tego indiańskiego przywódcę, a następnie publicznie ścięli mu głowę. „Taka otchłań zdrady była dla prostych Indian czymś potwornie niezrozumiałym i podziałała podobnie jak ongiś śmierć Atahualpy: poraziła ich siłę oporu zabobonnym przerażeniem".

Sceneria do dramatu tytanów

Hiszpanie mogli teraz buntowników z łatwością rozgromić, ale powstania przeciwko terrorowi kolonizatorów odżywały wciąż na nowo. Jednym z największych i najbardziej rozpaczliwych było to z 1780 roku, które ogarnęło olbrzymie obszary Peru. Na jego czele stanął Tupak Amuru II, godny następca inkaskiego wodza sprzed dwustu lat, człowiek wykształcony, waleczny i szlachetny żołnierz. Poszło za nim sześćdziesiąt tysięcy współplemieńców, a sile tej Hiszpanie nie byli w stanie się oprzeć. Szala zwycięstwa przechylała się na stronę Indian, gdy nagle ich przywódca dostał się w ręce wroga. By złamać buntowników, Hiszpanie na Plaza Central w Cuzco dokonali mrożącej krew w żyłach publicznej egzekucji wodza i jego rodziny. Najpierw na oczach Tupaka Amura II zadusili jego żonę, dzieci i krewnych, a potem „wyrwali mu język i czterema końmi rozdarli jego ciało, by w końcu wszystko spalić na popiół, a popiół rozsypać na wietrze".

Śmierć Amura, w którym Fiedler widział wielkiego bojownika o wolność swego ludu, nie zdołała stłumić buntu wśród Indian. Z jeszcze większą zaciętością rzucili się do walki, która ze zmiennym szczęściem toczyła się przez kolejne dwa lata, zakończona ostatecznie klęską Inków. Tych, którzy ocaleli z pogromu, wyłapano i osadzono w hiszpańskich więzieniach. Na tym jednak nie skończyły się boje nad Amazonką, która po wielokroć miała czerwienić się od ludzkiej krwi. Zgłębiając burzliwe dzieje Ameryki Południowej, Fiedler przypominał jeszcze XIX-wieczną rewolucję wyzwoleńczą wszczętą przez Kreolów przeciwko Hiszpanii i Portugalii, a także opisał słynny bunt indiański z 1814 roku, podczas którego wystąpiło 40 tysięcy Indian pod wodzą dzielnego Pomakaguya. W przejmujący sposób pisał o niewolnictwie nad Ukajali, o nieludzkim wykorzystywaniu Indian przez białych i o oporze, jaki zawsze wyzwala stan uciemiężenia u człowieka natury, który prędzej czy później powstanie z kolan, by zmierzyć się ze swoim prześladowcą.

W reportażowych opowieściach Fiedlera dramat człowieka i natury rozgrywa się jakby na dwóch płaszczyznach jednocześnie. Ten sam żywioł walki wydaje się przenikać świat ludzki i świat przyrody, w którym chrząszcz siłuje się z modliszką, pająk Mygale rzuca się z ukrycia na swą zdobycz, a anakonda na zagrażającego jej człowieka. Żywe istoty walczą o byt, kieruje nimi instynkt samozachowawczy – jeśli nie będą się bronić lub atakować, same zostaną pożarte. Takie jest prawo natury. W człowieku, jak pokazuje Fiedler, zdają się tkwić ciemniejsze instynkty niż w najdzikszych mieszkańcach Amazonii. Żądza władzy i posiadania wiedzie go ku największym zbrodniom, w głuchych ostępach puszczy przeobraża się on w wyrachowanego drapieżcę, który „poluje" nie z myślą o przetrwaniu, lecz by poczuć swą siłę i stać się niepodzielnym panem tego świata i drugiego człowieka. Fiedler pisze, że mało jest takich miejsc, jak te we wschodnim Peru, u stóp Andów, gdzie „puszcza amazońska szalała najbujniej" i gdzie wdzierał się tak gwałtownie żywioł historii. „Była to jak gdyby sceneria do dramatu tytanów, i w istocie wielki dramat rozgrywał człowiek na tym tle – i wciąż nie było widać końca tych zmagań".

***

Na wieść o tym, że w 1939 roku żywioł wojny ogarnął jego rodzinną Europę, a Polska rozdarta została między hitlerowskie Niemcy i stalinowską Rosję, Fiedler porzucił tropikalny raj i w lutym 1940 roku przez Francję przedostał się do Wielkiej Brytanii. Ten zdawałoby się niefrasobliwy obieżyświat, sycący się do tej pory egzotyką Brazylii, Amazonii i Kanady, przeobraził się w korespondenta wojennego, który wnikając w środowisko polskich lotników w Wielkiej Brytanii, stworzył niedościgły reporterski tom „Dywizjon 303". Ukazywał w nim Polaków jako bohaterów wielkiej powietrznej bitwy o Anglię, współtworząc tym samym etos polskiego żołnierza, który zdolny był zaskoczyć świat swoją szaleńczą odwagą i brawurowymi wyczynami. Jan Alfred Szczepański, pisząc na łamach „Odrodzenia" o sławie Dywizjonu 303, podnosił twórczość Fiedlera do rangi czynu patriotycznego, bo w czasie wojny „zaspokajał głód romantyzmu, głód walki... podtrzymywał w duszy polskiej mit wojny taki, jaki wpoił nam, Polakom, Sienkiewicz". ■

eprasa.pl d14e7ac149

To szaleństwo było jego szczęściem

ebrasa.pl d14e7ac14

Ewa Polak-Pałkiewicz

„Wszyscy, którzy mnie znają, wiedzą, że po ludzku sądząc, miałem wiele ważnych powodów, by pozostać Żydem: rodzina moja żydowska, narzeczona Żydówka... A przecież wiadomo także wszystkim, że nie jestem wariatem! Jakże jestem teraz szczęśliwy!... Jaka pełnia łaski i dobroci!" – pisał już jako katolicki duchowny Alphonse Ratisbonne, żydowski bankier nawrócony w dość nieoczekiwany sposób za sprawą Matki Bożej.

Czy możemy dziś sobie wyobrazić taką scenę: młody, zamożny, lekko znudzony żydowski bankier wchodzi do jednego ze starych rzymskich kościołów. Mija sprzęty, jakimi zastawiona jest nawa główna, i zbliża się do jednego z ołtarzy; chce się przyjrzeć wizerunkowi Maryi. Wywodzi się z rodziny praktykujących żydów, ale sam jest religijnie obojętny. Tego dnia ogarnia go wyjątkowa złość, wręcz wściekłość na katolików, Kościół i papieża; właśnie zobaczył, jak żyją jego bracia w 40-tysięcznej rzymskiej dzielnicy żydowskiej. Po kilku minutach pada nagle na kolana i wyciąga ręce w kierunku obrazu Matki Bożej. Jest oślepiony niezwykłym światłem... Wstaje i chwiejnym krokiem wychodzi z kościoła. Jest wstrząśnięty. Bełkoce coś, trudno go zrozumieć. Szuka księdza, potrzebuje spowiedzi. Ale wcześniej jeszcze prosi o chrzest. Po jedenastu dniach przyjmuje na chrzcie imię „Maria". Ten młody bankier nie potrzebuje katechizacji, w kościele w jednej chwili wszystkie prawdy wiary stały się dla niego jasne. „Nic mi nie powiedziała, a wszystko zrozumiałem" – powiedział potem. Po paru miesiącach wstąpił do jezuitów. Przyjął święcenia kapłańskie.

▶ Jeden z tysięcy cudownych medalików

Nie jest to scenariusz filmu z gatunku church-fiction. Ta scena miała miejsce zimą 1842 roku; wszystkie późniejsze wydarzenia są faktami historycznymi. Bankier nazywał się Alphonse Ratisbonne (1814–1884) i pochodził ze znanej rodziny finansistów ze Strasburga. Za parę tygodni miał się żenić ze swoją kuzynką Florą, równie zamożną, dobrze wychowaną, dużo młodszą od niego, piękną, delikatną, czułą i kochającą. Jednak w ciągu paru tygodni poprzedzających jego wejście do kościoła miało miejsce kilka dalekich od konwencjonalności zdarzeń, do których jednak on sam nie przywiązywał prawie żadnej wagi. Jego znajomy poprosił, by przyjął od niego medalik z Matką Boską Niepokalanie Poczętą, jeden z tysięcy, jakie wybijano w tym czasie we Francji, zwany cudownym medalikiem. Miał tylko zawiesić go sobie na szyi i odmawiać codziennie krótką modlitwę św. Bernarda zaczynającą się od słów: „Pomnij o Najświętsza Panno Maryjo...". Dlaczego Alphonse się zgodził? Było to coś w rodzaju zakładu. „Czy pan, który szczyci się swymi tak liberalnymi poglądami, a nadto jest człowiekiem mocnego ducha i światłego umysłu, miałby odwagę poddać się pewnej niewinnej próbie?" – zapytał go z uśmiechem baron Théodore de Bussière, niedawno nawrócony z protestantyzmu. Przyjął to jako warunki umowy, która przypominała mu raczej zabawę towarzyską, grę niż cokolwiek innego. Głowę miał zajętą czymś innym, miał zamiar przed ślubem załatwić kilka spraw, dlatego udał się do Paryża i Neapolu, stamtąd miał na Malcie spędzić zimę w zdrowym klimacie, po-

fot. Wikipedia.

eprasa.pl d14e7ac149

tem planował podróż na Bliski Wschód. Jednak w Neapolu niespodziewanie zawrócił do Rzymu. Kościół św. Andrzeja stanął mu na drodze podczas przechadzki z przypadkowo spotkanym przyjacielem.

Przypadki jednak nimi nie były

Młody żydowski arystokrata przekonany, że czeka go znakomita przyszłość u boku pięknej Flory, której wiano wraz z jego majątkiem gwarantowało im luksusowe życie, otoczony był przyjaciółmi, którzy nie tylko go lubili, ale których martwiła jego coraz wyraźniejsza antykatolicka obsesja. Modlili się za niego. Cudowny medalik z postacią Matki Bożej Niepokalanie Poczętej był wybijany w dziesięcioleciu poprzedzającym te wydarzenia na życzenie arcybiskupa Paryża. Uznawano, że jest niezrównanym narzędziem apostolstwa.

Rzadko i niechętnie wspomina się dziś o tym nawróceniu, tak niewygodnym w dobie ekumenizmu. Nie bardzo zrozumiała jest też cała sekwencja zdarzeń. Dzięki dociekliwości kronikarzy można je jednak dokładnie odtworzyć.

Wnętrze kościoła Sant Andrea della Fratte zastawione było tamtego zimowego przedpołudnia sprzętami potrzebnymi do pogrzebu. Zmarły był przyjacielem Théodore`a de Bussière'a, który wszedł właśnie do zakrystii, by poczynić odpowiednie ustalenia przed ceremonią. Alphonse został sam w kościele. Ten, którego miano pochować, był ministrem króla Francji Karola X, znanym ze swej religijnej gorliwości, członkiem Bractwa Niepokalanego Serca Maryi od nawrócenia grzeszników. Ciężko chory zgodził się bez wahania ofiarować cierpienia i śmierć za nawrócenie młodego Żyda, trawionego antykatolicką gorączką, o którym słyszał od przyjaciół.

„Najwyraźniej częścią tego »wszystkiego«, co Alphonse pojął w jednej chwili, było zrozumienie, że pogrzeb, do którego się przygotowywano w kościele, miał w tajemniczy sposób coś wspólnego z jego mistycznym doświadczeniem... W perspektywie wiary została wokół Alphonse`a utkana sieć modlitw i ofiar, która spowodowała boską interwencję, jak w tylu przypadkach, za przyczyną Dziewicy" – pisze Vittorio Messori.

Nie można zapominać o istnieniu wody

Mistycyzm może być niebezpieczny, może stać się pułapką... Wielu przestrzegało przed nim, zwłaszcza w epoce zachłystującej się racjonalizmem. Chesterton jeszcze jako agnostyk nie wahał się go bronić: „Jest w człowieku coś, co sprawia, że spadająca gwiazda wydaje mu się wróżbą; jest coś, co każe szukać znaczenia w znakach na niebie... Tworzyć kulturę bez elementu mistyki, to jakby budować cywilizację na pustyni i zapomnieć o istnieniu wody".

„Gdyby w tym momencie (było południe) ktoś trzeci był do mnie przystąpił i powiedział: Alfonsie, za kwadrans będziesz uwielbiać Chrystusa, twego Pana i Zbawiciela i w nędznym kościele klęczeć na kolanach, będziesz u stóp kapłana bić się w piersi, w klasztorze jezuitów będziesz spędzał karnawał, przygotowując się do chrztu, gotowy oddać swoje życie za wiarę katolicką, i wyrzekniesz się świata, jego przepychu i radości, swego majątku, perspektyw, przyszłości i jeśli to jest konieczne, wyrzekniesz się także swojej narzeczonej, miłości swojej rodziny, poważania przyjaciół, sympatii Żydów i nie będziesz sobie niczego więcej życzył, jak tylko służyć Jezusowi Chrystusowi i nieść Jego Krzyż aż do śmierci!... Mówię, gdyby jakiś prorok zrobił mi taką przepowiednię, nie uważałbym żadnego człowieka za bardziej szalonego od niego – lub chyba tego, który uwierzyłby w takie szaleństwo! I to szaleństwo jest tym, co dzisiaj stanowi moją mądrość i moje szczęście" – napisał po latach bohater tej opowieści.

Jednak Alphonse był członkiem rodziny, która zajmowała się poważnym biznesem. Jej pozycja w świecie finansów i polityki była niepodważalna, jej wpływy i możliwości – szerokie. Taki skandal mógł odebrać wiarygodność poczynaniom jej członków. Przecież sprawy finansowe są o wiele ważniejsze niż jakieś podejrzane doznania mistyczne. I ile można dzięki nim uczynić dobra! Ilu ludzi nakarmić, przyodziać! „Filantrop naprawdę uważa, że nieelegancko być robotnikiem, lecz być maklerem giełdowym – to rzecz wzniosła" – jak mawiał Chesterton. Konwersja Alphonse`a oburzyła środowiska żydowskie, była wielkim zgorszeniem.

Jednak jego mistyczne olśnienie przed obrazem Maryi i późniejsza gorliwość jako księdza, który poświęcił się nawracaniu Żydów, miały swoje źródło w wydarzeniach jeszcze dawniejszych, w czasach okrytych zasłoną tajemnicy, znanych dosłownie paru osobom w Paryżu.

Katarzyna wspina się na krzesło

Cudowny medalik został wybity za sprawą nieznanej nikomu skromnej, zapracowanej zakonnicy Katarzyny Labouré (1806–1876), siostry miłosierdzia – szarytki, specjalistki od upraw warzyw i hodowli zwierząt potrzebnych w gospodarstwie, z klasztoru przy Rue du Bac w Paryżu. Wiedzieli o tym tylko ona i jej spowiednik. Katarzyna, późniejsza święta, dostąpiła zaszczytu rozmowy z Niepokalaną w klasztornej kaplicy w 1830 roku, stąd objawienia – uznane przez Kościół – nazywane są „objawieniami z Rue du Bac". Imię niepozornej siostry długo nie pojawia się w nich i dopiero po jej śmierci w 1876 roku zostało ujawnione katolickiemu światu.

Ale jej biografia jest także niezwyczajna; aby zrozumieć splot kilku wątków tej historii, warto ją w skrócie przedstawić. Miała swój początek w realiach wiejskiego

eprasa.pl d14e7ac149

folwarku, niewiele lat po rewolucji. „Niektórym z nas trudno dziś może wyobrazić sobie, jak ponad sto lat temu można było samodzielnie prowadzić duże gospodarstwo, z sadem, ogrodem, stajnią, kurnikiem i gołębnikiem z ośmiuset ptakami" – pisze jej biograf, o. Antonio Sicari, „i gdy ponadto trzeba było zadbać o przygotowanie posiłku dla rodziny i strawy dla najemników pracujących w polu, uzupełnić zapasy wody, przynieść drewno na opał, upiec chleb na cały tydzień, zrobić codzienną przepierkę i raz na jakiś czas duże pranie, opróżnić wielkie skrzynie-ławy i przewietrzyć bieliznę domowników, dwa razy w roku, na początku zimy i na Tłusty Czwartek zorganizować świniobicie, nasolić słoninę i szynki, i zakonserwować mięso, kupić, co trzeba, sprzedać jajka, mleko i masło... Ale jeszcze trudniej będzie nam uwierzyć, że wszystkie te obowiązki spoczywały na barkach dwunastoletniej dziewczynki, której pomagała tylko jedna służąca. Ta zresztą wkrótce została zwolniona, ponieważ nie potrafiła podporządkować się tak młodej »pani«". Rzecz działa się w burgundzkiej wiosce Fain-lès-Moutiers. Dwunastolatką była Katarzyna, jedna z dziesięciorga rodzeństwa, osierocona niedawno przez matkę. Ojciec od rana do nocy zajęty organizowaniem pracy w polu, siódemka starszego rodzeństwa od dawna usamodzielniona, dwoje młodszych jeszcze zbyt małych, by mogli w czymkolwiek pomagać.

Matka nie zdążyła nauczyć ją czytać ani pisać, ale przekazała wiarę – taką, jaką spotykało się na francuskiej prowincji po latach krwawych prześladowań w czasie rewolucji, żarliwą, prostą i głęboką. Służąca była mimowolnym świadkiem, jak w dniu jej odejścia mała Katarzyna wspięła się na krzesło, i stojąc na palcach, by dosięgnąć stojącej na półce figurki Matki Bożej, objęła ją i poprosiła ze łzami, by Ona była odtąd jej mamą.

„Trzy lata później była »panią« całego gospodarstwa – choć takie miano niewiele mówi o jej bezgranicznym poświęceniu i niewiarygodnej zdolności znoszenia trudów. Co więcej, codziennie znajdowała czas, by zostawić wszystko i pójść do miejscowego kościoła, w którym wciąż jeszcze, od czasów rewolucji, nie było księdza i brakowało Najświętszego Sakramentu". Gdy dodamy do tego, że zwyczajem francuskich wieśniaków pościła w piątki i soboty (ojciec surowo karcił ją za to), że była pogodna i wesoła, nigdy nie narzekała, była hojna dla żebraków, to kiedy w ten sposób daje się znać Bogu, że Mu się ufa –„nie trzeba długo czekać na Jego odpowiedź" (A. Sicari).

Jej chłopska, trzeźwa natura nie była skłonna do traktowania wewnętrznych natchnień jako czegoś realnego, jednak odzywały się one w niej coraz natarczywiej. Bardzo chciała się uczyć. Gdy dwójka młodszego rodzeństwa podrosła, poprosiła ojca o zgodę na naukę w szkole prowadzonej przez kuzynkę w pobliskim mieście. Nauczyła się pisać i czytać, ale zawsze była przedmiotem drwin wytwornych panienek, które bawiły do łez jej pełne błędów ortograficznych wypracowania. Ojciec wysłał ją do Paryża, by pomagała starszemu bratu prowadzić gospodę. Marzyła o życiu zakonnym. Po pokonaniu wielu przeciwności, wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. Została nowicjuszką w Chatillon, potem w domu macierzystym w Paryżu przy Rue du Bac. Tam właśnie ta młoda zakonnica, uważana przez swoje przełożone za obdarzoną „dobrym charakterem", lecz zarazem „niezbyt bystra i mało błyskotliwa", stała się Powiernicą Niepokalanej.

▶ Szelest jedwabnej sukni

Gdyby spojrzeć z tej perspektywy na cały wiek XIX i początek XX, to ten czas najbardziej burzliwy w dziejach Europy jest jednocześnie okresem, gdy mają miejsce, jedno po drugim, objawienia Najświętszej Maryi Panny. Znaki, jakie je poprzedzały, to odgłos grzmotu i gwałtowny wiatr w Lourdes, niezwykłe światło w Gietrzwałdzie, podobnie jak w La Salette, podwójna błyskawica w Fatimie... W paryskim klasztorze, w pustej kaplicy, nocą 18 lipca 1830 r., znakiem był blask wszystkich świec, które nagle zapłonęły, i szelest jedwabnej sukni... Ktoś się zbliżał. Po chwili Maryja pojawiła się na tronie i rozmawiała z Katarzyną.

W tej historii przeplata się wątek modlitwy, niezwykłej dyskrecji pokornej siostry i dość oschły stosunek do niej jej przełożonych; probierzem pobożności było dla nich staranne wypełnianie obowiązków reguły, a nie wizje i przesłania, do których Kościół zawsze podchodził z dużą rezerwą. Katarzyna spotyka się z surową oceną swojej relacji ze spotkania z Niepokalaną ze strony spowiednika. Mimo że Matka Boża zapowiadała wydarzenia bardzo istotne zarówno z punktu widzenia życia zgromadzenia, jak i dramatyczne wydarzenia polityczne – m.in. rewolucję lipcową 1830 roku – spowiednik pozostał nieugięty. Dopiero po kilku latach, po zasięgnięciu opinii arcybiskupa Paryża, pozwolił, by zgodnie z życzeniem Matki Bożej przekazanym Katarzynie wybito medalik z Jej wizerunkiem i ze słowami: „O Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami grzesznymi, którzy się do Ciebie uciekamy". Towarzyszył temu wydarzeniu entuzjazm duchowieństwa i świeckich. Między rokiem 1830 a 1842 wybito w pracowniach jubilerów Paryża i Lyonu kilka milionów medalików. Nastał czas burzliwych przewrotów, które zmiotły ostatniego katolickiego monarchę Francji. Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia stanęło wobec nowych zagrożeń. Potwierdziły się wszystkie zapowiedzi pochodzące od Niepokalanej, przekazane przez Katarzynę w konfesjonale. Zgromadzenie przyjęło to, co dotyczyło jego samego: dokonało reformy wewnętrznej, przeżywało czas wielkiego rozkwitu. Szanowano regułę, nieprzerwanym strumieniem płynęły powo-

eprasa.pl d14e7ac149

łania, pojawiły się kolejne dzieła miłosierdzia. Katarzyna pozostała jednak nieznaną nikomu wizjonerką. Cierpiała, ponieważ Matka Boża prosiła, by kaplica klasztorna stała się miejscem Jej kultu, tu miała znaleźć się Jej figura jako Królowej Wszechświata, troskliwie trzymającej w dłoniach kulę ziemską: nasz świat i nasze dusze. Tu wierni mieli dowiadywać się, że chce wszystkim przychodzącym i zwracającym się Niej udzielać wielu łask. Tu miały przybywać pielgrzymki. Władze duchowne milczały, nie były na to gotowe.

Katarzynę wyznaczono do posług w kuchni w przytułku Enghien na przedmieściach Paryża; kilka sióstr opiekowało się tam grupą starców, byli to dawni służący, lokaje, łowczy i pokojówki dynastii orleańskiej. Wszyscy przyzwyczajeni do wygód. Katarzyna, która zajmowała się także ogrodem, kurnikiem, chlewem i gołębnikiem, nie potrafiła odmówić niczego staruszkom, którzy bywali wybredni i również łakomi. Rozpieszczała ich jak dzieci, ku niezadowoleniu głównej siostry, której skąpstwo jawiło się jako cnota.

Katarzyna była gospodarna, zaradna, silna i hojna. Dzięki jej pracowitości gospodarstwo Enghien wspomagało dom macierzysty przy Rue du Bac. Objawienia pozostawały jednak nieznane. Rozbudowały się za to kaplica i klasztor. Katarzyna była pokorna. Pisała modlitwę – list do Matki Bożej: „Moja dobra Matko, tutaj nie chcą uczynić tego, o co prosiłaś, ukaż się więc gdzie indziej". I choć było to wyznanie osoby, która przeżywa wielkie duchowe udręki, niebawem rzeczywiście jej prośba się spełniła. We Francji gruchnęła wieść o objawieniach w Lourdes. Był rok 1858. Wszyscy mówili o „Pani", która ukazuje się czternastolatce, i o tłumach, które przybywają na miejsce objawień, o cudownym źródle, o uzdrowieniach. „To Ona!" – wykrzyknęła Katarzyna. „A gdy słuchała o cudach, jakie się tam dokonywały, mówiła: »I pomyśleć, że mogły się wydarzyć w naszej kaplicy!«".

„Milcząca święta"

Zarówno rewolucja lipcowa, jak wojna francusko-pruska w 1870 roku i komuna paryska rok później, choć pozostawiły we Francji i w samym Paryżu wiele ofiar (w 1871 roku komunardzi rozstrzelali arcybiskupa Paryża), szczęśliwie nie dotknęły klasztoru Sióstr Miłosierdzia, przeciwnie, dawał on zawsze pomoc i opiekę potrzebującym i wszystkim, którzy chronili się w jego murach przed napaściami żołdaków i zrewoltowanych band. A o cudowny medalik prosili nawet sami rewolucjoniści (jeden z ich oddziałów, po stłumieniu komuny, schronił się w klasztorze).

Do wiadomości sióstr przedostała się w końcu wieść, że to ta najniższa w hierarchii zakonnej osoba jest „siostrą od objawień z Rue du Bac", o których coraz częściej się wspominało – i którym całe Zgromadzenie zawdzięcza nadzwyczajną opieką pośród zawieruchy, prześladowań i ciężkich prób. Murem stanęli za nią staruszkowie z przytułku, ale siostry niezbyt dbały, by okazywać jej serce, nawet gdy miała już blisko siedemdziesiąt lat. Przyjmowała wszystko z pogodą ducha.

Jej dewiza życiowa brzmiała: „Oddaj wszystko Bogu i nie narzekaj". W ostatnim roku życia Katarzyny przełożona wystawiła jej opinię: „Charakter bardzo impulsywny, rozum nie najgorszy, jej pobożność jest niezachwiana, swoje obowiązki wypełnia bardzo dobrze". W listopadzie 1876 roku klęcząc przy fontannie, szorowała „dziurawe krzesła", które były przenośnymi toaletami staruszków z przytułku; dziewczynki z sierocińca zatykały sobie nosy, przechodząc obok. „Tak właśnie jest się siostrą miłosierdzia, moje dziewczynki!" – powiedziała, zerkając na nie wesoło.

Była już bardzo schorowana, gdy przydzielono opiekę nad nią jednej z młodszych sióstr. Ta jednak przyzwyczajona, że to Katarzyna troszczy się o wszystkich, nie myśląc o sobie, nieraz zapominała przynieść jej posiłek, napalić w piecu, bez powodu ją beształa. Umierając, Katarzyna miała jedno zmartwienie: że dziewczynki z sierocińca, które tak kochała, wyjechały na zimowe wakacje i nie odmówią przy niej Litanii do Matki Bożej.

Mówiono potem, że nikt nigdy nie widział „tak słodkiej i pogodnej śmierci". Tego samego wieczoru przełożona odczytała siostrom „relację spisaną niezbyt gramatycznie i pełną śmiesznych błędów ortograficznych, w której Katarzyna opowiadała o swoich wizjach". Sekret okazał się nie dość pilnie strzeżony, skoro sama żona prezydenta republiki interweniowała w sprawie pochowania jej w kaplicy klasztornej, co było wielkim wyróżnieniem. A Katarzyna tak bardzo starała się go zachować! Gdy w 1842 roku przybył do klasztoru Alphonse Ratisbonne, by zobaczyć się z „siostrą od objawień", której zawdzięczał cudowny medalik i swoje nawrócenie, odmówiła widzenia z nim.

Pius IX nazwał ją „milczącą świętą". Gdy osiemnaście lat wcześniej, w 1854 roku, uroczyście ogłaszał dogmat o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny, 10 milionów katolików różnych narodowości nosiło cudowny medalik. Z wizerunkiem, który ujrzała pamiętnej nocy w kaplicy młoda nowicjuszka, zwana później „siostrą z kurnika w Enghien".

„Dała mi znak, żebym uklęknął"

„Kościół Świętego Andrzeja jest mały, skromny i odwiedzany przez niewielu. Przypuszczam, że byłem tam sam. Żaden przedmiot sztuki nie zwrócił na siebie mojej uwagi. Mechanicznie pozwoliłem memu oku wędrować dokoła, zupełnie bezmyślnie. Przypominam sobie tylko czarnego psa, który skakał wokoło mnie... Nagle

eprasa.pl d14e7ac149

pies zniknął, zniknął cały kościół, nie widziałem nic więcej lub raczej, o mój Boże, widziałem tylko jedno!

Wnętrze kościoła ogarnęła ciemność, a całe światło jak gdyby skoncentrowało się w jednym punkcie kaplicy. Spojrzałem w to rozjaśnione miejsce i zobaczyłem żywą, pełną majestatu, przepiękną i pełną miłości, najświętszą Dziewicę Maryję, stojącą na ołtarzu. Wyglądała podobnie, jak na medaliku. Dała mi znak, żebym uklęknął. Nie mogłem się oprzeć pragnieniu zbliżenia się do Niej.

Padłem na kolana, tak jak stałem, i próbowałem patrzeć na Nią, ale nie byłem w stanie znieść Jej wspaniałości i świętości. Mimo to jednak byłem całkowicie przekonany o Jej obecności. Spojrzałem na Jej ręce: były otwarte w geście miłości i przebaczenia. Najświętsza Dziewica nie powiedziała do mnie ani słowa, a jednak ja nagle zrozumiałem – opłakany stan, w którym się do tej pory znajdowałem, spustoszenie, jakie poczynił we mnie grzech, i piękno wiary katolickiej. Zrozumiałem wszystko.

Jak można by wyjaśnić to, co jest nie do wyjaśnienia? Każdy wzniosły opis byłby tylko profanacją niewypowiedzianej prawdy. Klęczałem, skąpany we łzach, nie władnący sobą, aż mnie przywołał do życia pan de Bussiéres.

Na jego pospieszne pytania nie mogłem nic odpowiedzieć. W końcu chwyciłem medalik, który ciągle jeszcze nosiłem na piersi, pocałowałem wizerunek Matki Boskiej, który promieniował niedającym się opisać działaniem łaski... Tak, to była Ona, Ona!

Nie wiedziałem, gdzie się znajdowałem, nie wiedziałem, czy byłem Alfonsem, czy kimś innym. [...] Wyczuwałem w sobie coś uroczystego, świętego, co kazało mi zażądać kapłana...

Tak samo nie mógłbym zdać sprawy o prawdach, których znajomość została mi udzielona i w które teraz wierzę. Mogę tylko powiedzieć, że w tym momencie spadły łuski z moich oczu; nie jedna, lecz wszystkie, które mnie krępowały, znikały jedna po drugiej, tak szybko jak błoto, śnieg i lód pod działaniem palącego słońca".

Pragnęli jedynie Maryi

14 marca 1950 roku francuski pisarz Paul Claudel zanotował w swoim „Dzienniku": „Opatrzność podarowała pewnemu nawróconemu Żydowi, ojcu Alphonse'owi Ratisbonne'owi, łaskę odkrycia, pod zwałowiskiem ruin i gruzu, które nabył w Jerozolimie, autentycznej posadzki Litostrotos, miejsca, gdzie ten bogobójczy lud [le peuple déicide] krzyczał: »Krew jego na nas i na dzieci nasze«".

Istotnie, w 1856 roku bracia Ratisbonne – Alphonse miał brata, który wcześniej niż on nawrócił się i został księdzem katolickim (od tego czasu przez piętnaście lat, aż do swego nawrócenia nie utrzymywał z nim żadnych kontaktów) – zakupili w Jerozolimie kawałek ziemi, który okazał się tym, na którym rozegrała się centralna scena historii świata. To tutaj Jezus został skazany na śmierć przez Piłata. Obaj bracia w Jerozolimie działali na ogromną skalę; ksiądz Alphonse posiadał specjalne błogosławieństwo Piusa IX dla apostolstwa, jakie prowadził. Jeszcze w 1843 roku założyli Kongregację Matki Bożej z Syjonu, w ramach której nawracali żydów i muzułmanów i przygotowywali ich do chrztu; założyli dom zakonny w En Kerem, opiekowali się sierotami i ubogimi dziećmi. Ilość klasztorów, sierocińców i szkół w Palestynie będąca dziełem obydwu konwertytów może zadziwiać. Stali się zarazem obiektem kampanii oszczerstw. Szybko po konwersji księdza Alphonse`a pojawiła się grupa „ekspertów" i „wtajemniczonych", którzy „znali prawdę"; jego nawrócenie przypisywali histerii, rozstrojowi nerwowemu, wreszcie psychozie. Kto normalny rzuca bogactwo, narzeczoną i wielki świat, zakłada sutannę i staje się dobrowolnym mieszkańcem ubogiego pustynnego kraju? „Na Alphonse`a – jeszcze bardziej niż na Théodore – będą ciskane kalumnie" – pisze Vittorio Messori. „[...] archiwa Świętego Oficjum przechowują (w swej części utajonej) wiele dokumentów na temat niesławy, jaka towarzyszyła owemu »niewygodnemu« konwertycie. Sprzeciw członków jego licznej rodziny oraz izraelskich współwyznawców rozproszonych po całej Europie był gwałtowny i niegasnący". Jego nawrócenie, głośne dzięki prasie, która zrobiła z niego sensację, zostało szczegółowo przeanalizowane podczas procesu w Rzymie. Wiadomo było, że nie jest to zwykłe nawrócenie. Zeznawały dziesiątki osób, nawet zakrystianin kościoła S. Andrea della Fratte. Po miesiącach badań, 3 czerwca 1842 roku, kardynał Patrizi podpisał dekret zakończony słowami: „W pełni odpowiada prawdzie znamienny cud uczyniony przez Boga wszechmogącego za przyczyną Błogosławionej Dziewicy Maryi, polegający na natychmiastowym i doskonałym nawróceniu Alphonse`a Ratisbonne`a z judaizmu". Konwertyta został przyjęty przez papieża Grzegorza XVI. Był ujęty jego łagodnością i prostotą.

Na jego grobie czterdzieści dwa lata później napisano tylko „Père Marie". Odchodząc, prosił współbraci: „Czemu mnie męczycie waszą troskliwością? Najświętsza Dziewica woła mnie, ja Jej potrzebuję. Pragnę jedynie Maryi! Dla mnie jest Ona wszystkim!". Podobnie jak Bernadeta Soubirous – zawsze tak powściągliwa, gdy wypytywano ją o szczegóły rozmowy z Matką Bożą w Lourdes, a jednak wyznająca z prostotą: „Grota była moim rajem" – on także tęsknił przez całe życie... Ponad ludzką miarę. ■

Źródła: A. Sicari, „Nowe portrety świętych", Warszawa 2008; René Laurentin, „Powiernica Niepokalanej", Warszawa 1990; Vittorio Messori, „Opinie o Maryi. Fakty, poszlaki, tajemnice", Warszawa 2007.

eprasa.pl d14e7ac149

Małgorzata Matuszak

Czym jest... pycha

W Kościele katolickim pycha (łac. „superbia") zajmuje pierwsze miejsce pośród grzechów głównych. Nie bez powodu, bowiem to z niej powstają wszystkie inne grzechy, o czym wielokrotnie mówi Pismo Święte. Grzegorz Wielki nazywał pychę „królową i matką wszystkich wad", a św. Ignacy z Loyoli – „korzeniem wszelkiego zła". Także dla św. Tomasza z Akwinu jest czymś więcej niż jednym z „peccata capitalia" – uznawał ją za źródło pozostałych grzechów głównych, a zwłaszcza próżności, jednej z pierwszych jej skutków. Od średniowiecza, kiedy tematykę grzechów głównych – czy też raczej wad, ustalonych i „wyćwiczonych" skłonności do złego – dogłębnie rozważano, minęło wiele wieków, ich problem jednak nie zniknął. Wręcz przeciwnie. Pycha ma się w dzisiejszych czasach bardzo dobrze. „Będziesz jak Bóg", najstarsza z pokus, przybiera dziś wiele form i przywdziewa różne maski.

Pycha to grzech intelektu i ducha, zarzewie zła. Wynika z niewłaściwej oceny samego siebie, przeceniania własnych możliwości i osiągnięć, prawdziwych bądź urojonych, ze swoistego rozdęcia w samopostrzeganiu. Człowiek pyszny uważa się za lepszego od innych; mając zaś w swym mniemaniu wszystko, uznaje, że nie potrzebuje nikogo. Także Boga, gdyż samego siebie stawia na Jego miejscu. Pycha, będąc otwarciem na iluzje co do własnej wartości, wiąże się z poniżaniem wartości innych, a nawet z radością z ich niepowodzeń i nieszczęść. Zawiera się w niej również oczekiwanie na uwielbienie, czyli czynienie z samego siebie wartości absolutnej. Bywa przy tym niekiedy tak przewrotna, iż potrafi skryć się za fałszywą pokorą.

Pycha to nieuporządkowana miłość do samego siebie. W swej istocie jest zaprzeczeniem miłości, która pragnie widzieć ludzi – także samego siebie – takimi, jakimi naprawdę są. Miłowanie samego siebie jest jednak trudne, dlatego łatwo przeradza się w swoje karykatury. A przecież nie kochając samego siebie, nie będziemy w stanie prawdziwie pokochać drugiego. Dlatego też pycha niszczy relacje międzyludzkie.

Pycha często mylona jest z wielkodusznością, te dwie postawy – człowieka wielkodusznego i pysznego – trzeba zaś zdecydowanie odróżnić. Wielkoduszność to – według Arystotelesa – cnota kogoś o „wielkiej duszy", pozwalająca godzić w wielkie rzeczy komuś, kto jest ich godzien, dyspozycja uzdalniająca do sięgania tego, co piękne i dobre. Wielkoduszność, jako uzasadniona duma ze swej wielkości, jest umiarem między skromnością, najczęściej fałszywą, a próżnością, zawsze niemądrą, bo nierozsądnie mierzącą to, co dumę może powodować. Według św. Tomasza, posługującego się tym arystotelesowym pojęciem, wielkoduszność cechuje człowieka dokonującego wielkich czynów dla Boga i ludzi.

PYCHA, BĘDĄC OTWARCIEM NA ILUZJE CO DO WŁASNEJ WARTOŚCI, WIĄŻE SIĘ Z PONIŻANIEM WARTOŚCI INNYCH, A NAWET Z RADOŚCIĄ Z ICH NIEPOWODZEŃ I NIESZCZĘŚĆ.

Święty Grzegorz wylicza różne stopnie pychy: (1) uznawanie, że ma się z siebie samego to, co otrzymało się od Boga; (2) bycie przekonanym, że się zasłużyło na to, co się otrzymało bez zasługi; (3) przypisywanie sobie dobra, którego się nie ma, na przykład wielkiej wiedzy, której się nie posiada; (4) pragnienie bycia stawianym ponad innych i pomniejszania ich wartości. Człowiek pyszny, według św. Grzegorza, ma zaburzone poczucie sprawiedliwości i miłości bliźniego. Zajmuje się przede wszystkim podziwianiem samego siebie. Z biegiem czasu zaczynają go drażnić dobre strony innych ludzi, co prowadzi do pogardy i lekceważenia, nienawidząc w szczególności tych, którzy w jego mniemaniu zagrażają jego wielkości.

W każdym z nas mieszka pragnienie bycia „kimś", tęsknota za wielkością. Nic w tym złego. Wręcz przeciwnie, każdy z nas ma być „kimś", ma być kimś wielkim. Ważne jednak, by wiedzieć, że pycha atakuje właśnie w tym miejscu, odwołuje się do tych naszych pragnień. Nie ma tak naprawdę człowieka całkowicie wolnego od pychy, drzemie ona w każdym z nas. Musimy jednak pamiętać o tym, co przypomina nam św. Paweł: „Cóż masz, czego byś nie otrzymał? A jeśliś otrzymał, to czemu się chełpisz, tak jakbyś nie otrzymał?". ■

eprasa.pl d14e7ac149

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com

eprasa.pl/114e7ac149

Waldemar Milewicz, ekspert RG SWS

Pracownicze Plany Kapitałowe dla naszego dobra

Niedawna konferencja „Nowy impuls dla rozwoju: PPK a strategia rynku kapitałowego" zgromadziła pracodawców, środowiska rynku finansowego oraz przedstawicieli środowiska naukowego. Wszystkie te gremia są zainteresowane skutkami wprowadzenia ustawy o Pracowniczych Planach Kapitałowych, która w listopadzie 2018 roku została podpisana przez prezydenta RP. Powstała ona jako odpowiedź na zasygnalizowany w Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju postulat zwiększenia stopy oszczędności Polaków. W 2017 roku wyniosła ona bowiem w Polsce 4,36 proc., podczas gdy średnio w UE ukształtowała się na poziomie 10 proc. W naszym kraju występuje więc niedostatek oszczędności prywatnych gospodarstw domowych. Wprowadzony przez obecny rząd program dodatkowego i dobrowolnego oszczędzania na emeryturę ma sprawić, że to świadczenie statystycznego obywatela zwiększy się z około 30–40 proc. do około 40–60 proc. ostatniej pensji.

Już w pierwszej prezentacji konferencyjnej Mariusz Więckowski zwrócił uwagę, że program PPK ma szansę nie tylko polepszyć dobrobyt Polaków, lecz także przyczynić się do znaczącego rozwoju rynku kapitałowego w Polsce. Ma to nastąpić w ścisłym związku ze Strategią Rozwoju Rynku Kapitałowego (SRRK), będącej immanentną częścią Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Zgodnie z nią nieodzowne jest „zidentyfikowanie niezbędnych zmian instytucjonalnych i regulacyjnych, skutkujących wzrostem znaczenia finansowania udziałowego oraz emisji instrumentów dłużnych w polskiej gospodarce". W następnej kolejności przeprowadzono panel dyskusyjny poświęcony tejże strategii. Paneliści w swoich wypowiedziach zwrócili uwagę, że w implementacji SRRK niezbędne będzie umocnienie zaufania, które zostało nadwyrężone po operacji, uszczuplającej aktywa Otwartych Funduszy Emerytalnych oraz po tzw. aferze KNF. Profesor Dyl przypomniał, że w Komisji Nadzoru Finansowego powstał po zmianie statutu Departament Rozwoju Rynku Finansowego, który jest sygnałem tego, że nadzorcy zależy na stymulacji rozwoju rynku kapitałowego. Piotr Biernacki przedstawił jednak w tym kontekście bardziej pesymistyczne stanowisko. Odwołując się do demontażu systemu OFE, zaznaczył, że odbudowa zaufania będzie trwała latami. Powrót zaufania do rynku kapitałowego ze strony inwestorów i emitentów uzależnił od sprawnej egzekucji przepisów sankcyjnych przez regulatora („sankcje administracyjne po tygodniach, a nie po latach") oraz stabilności przepisów. W nawiązaniu do właśnie procedowanej ustawy o odpowiedzialności podmiotów zbiorowych wyraził obawę, że jej kontrowersyjne zapisy mogą przyczynić się do delistingu spółek, notowanych obecnie na polskiej giełdzie. Mecenas Zapała stwierdził, że podstawowym problemem, jeśli chodzi o implementację strategii rynku kapitałowego, jest niechęć ludzi do oszczędzania. W tym obszarze, jego zdaniem, jest duże pole do poprawy, która może nastąpić na skutek jeszcze bardziej intensywnej edukacji finansowej. Z kolei Marcin Obroniecki powodzenie SRRK uzależnił od pogodzenia interesów nadzorcy i inwestorów, efektywnego nakładania kar na uczestników rynku oraz transparentności i przejrzystości produktów finansowych.

Konferencję zakończył panel dyskusyjny „PPK 2019 – scenariusz uruchamiania". Paweł Borys w ślad za opublikowanym przez IZFiA raportem zaakcentował, że Polska potrzebuje długoterminowych oszczędności, by wzmocnić bazę finansowania prywatnego sektora przedsiębiorstw w Polsce oraz by finansować inwestycje infrastrukturalne. Przewodniczący KNF z kolei odniósł się do pojawiających się pytań, jak będzie wyglądał nadzór nad PPK. Ma on mieć według niego charakter scentralizowany i być skoncentrowany na przedmiotowych produktach. Następnie Dorota Dula w swojej wypowiedzi podkreśliła, że bardzo istotne przy implementacji PPK w firmach są szkolenia przedsiębiorców. Niejako w imieniu osób prowadzących działalność gospodarczą w Polsce zaznaczyła, że niezwykle istotna w tej kwestii jest jasność przepisów prawa. Katarzyna Przewalska nawiązała natomiast do aspektów praktycznych PPK. Poinformowała, że sukces PPK zależy w dużej mierze od informowania przez pracodawców o korzyściach tego programu. W tym kontekście prof. Krzysztof Jajuga, nawiązując do zaprezentowanej w trakcie konferencji sondy ulicznej na temat PPK (nikła wiedza respondentów na temat PPK), również opowiedział się za lepszą edukacją Polaków w tym zakresie. Dyskusję optymistycznie zakończył Karol Rajewski, przekazując informację o wysokim zainteresowaniu PPK ze strony firm ubezpieczeniowych i emerytalnych. ■

www.radagospodarcza-sws.pl

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl d14e7ac149

Ryszard Czarnecki

Polska – kraj unikatowej ordynacji europejskiej

Wybory do Parlamentu w Brukseli i Strasburgu – zwane potocznie wyborami europejskimi – odbędą się w ostatnią niedzielę maja. Będą one w jakiejś mierze „randką w ciemno", bo nie wiadomo, czy weźmie w nich udział Wielka Brytania, czy też nie. To znaczy kiedy Państwo czytają te słowa, może to już wiecie, ale gdy ja pisałem je 22 lutego, nie było to jasne. Możliwość startu przedstawicieli Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej dopuścił ostatnio sam przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker. Według wcześniejszych przecieków Bruksela dopuszczała możliwość przesunięcia brexitu nawet o 9 miesięcy, ale bez startu brytyjskich polityków w wyborach do europarlamentu. Prawdę mówiąc, ten sam efekt miałby tzw. twardy brexit, czyli wyjście Wielkiej Brytanii z UE bez żadnego porozumienia, niejako na „wariackich papierach". 73 mandaty, które pozostały po Brytyjczykach, podzielono na dwie pule: część rozdzielono na obecne kraje członkowskie Unii, część zarezerwowano dla przyszłych członków UE.

Ta druga pula będzie zapewne użyta dopiero za 10–12 lat, gdy do Unii przystąpią – w pierwszej kolejności – takie państwa jak Czarnogóra, Macedonia, Serbia, ewentualnie Albania (byłby to zresztą pierwszy kraj członkowski UE z większością muzułmańską...). To z tej puli byłyby czasowo „wypożyczone" mandaty dla reprezentantów Albionu i innych poddanych Jej Królewskiej Mości. Co do tej pierwszej szuflady z mandatami, to podzielono je według zupełnie kuriozalnych reguł najpierw na posiedzeniu AFCO, czyli Komisji Spraw Konstytucyjnych PE, by potem przegłosować je na sesji plenarnej europarlamentu. Możemy być jako Polacy słusznie oburzeni tym podziałem mandatowej masy upadłościowej po Brytyjczykach. Bolesnym paradoksem był fakt, że nasz kraj, mając porównywalną liczbę ludności do Hiszpanii, dostał raptem o jeden mandat więcej niż dotychczas (było w tej kadencji 51, będzie 52, a poprzednio liczba mandatów dla Polski oscylowała między 54 w pierwszej „polskiej" kadencji, czyli w latach 2004–2009, do 50 w kolejnej). Tymczasem Hiszpania otrzymała aż o 5 mandatów więcej niż dotychczas (wzrost z 54 do 59). Zysk Madrytu wyniósł tyle samo co wzrost ilości mandatów Francji (5), zaś wzrost liczby mandatów piątego co do wielkości kraju UE, czyli Polski, był identyczny jak... maleńkiej Estonii – o jeden. Racjonalnie nie da się wytłumaczyć tej polskiej krzywdy. A powinna to uczynić przewodnicząca tejże Komisji Spraw Konstytucyjnych, europosłanka z... Polski, wybrana z listy PO, a będąca niegdyś komisarzem z ramienia rządu SLD-PSL Danuta Huebner. Ale jakoś tego nie uczyniła.

Polska ordynacja wyborcza w wyborach europejskich jest absolutnie unikatowa w skali UE. Zdecydowana większość państw członkowskich stosuje listę krajową (ponad 20 krajów!). Niektóre z nich co prawda absurdalnie obniżają próg wyborczy – na przykład w Niemczech do 1 proc.! – co skutkuje nalotem na Brukselę i Strasburg ugrupowań, które nie mają szans wejść do parlamentów narodowych. We Włoszech była to na przykład nacjonalistyczna Fiamma Tricolore (Trójkolorowy Płomień) z profesorem Lucą Romagnolim, a z kolei niemieccy wyborcy zapewnili pięć lat w Brukseli i Strasburgu przedstawicielowi partii niemieckich rodzin Arne Gericke oraz reprezentantce Partii Piratów Julii Redzie.

W Polsce wszystkie partie po cichu myślały o wprowadzeniu listy krajowej do europarlamentu, ale nikt tego nie uczynił. W efekcie mamy ordynację, która dzieli Polskę na 13 okręgów, w których partie zgłaszają maksimum po 10 kandydatów. Nie ma, inaczej niż w ordynacji krajowej, określonej, zamkniętej liczby mandatów w okręgu – mandaty „przepływają" między poszczególnymi okręgami. Zależy to od frekwencji w danym okręgu. Dlatego małe województwo kujawsko-pomorskie raz miało tylko jednego przedstawiciela (2004–2009), ale niewiele brakowało, by nie miało go w ogóle. Polacy są cudownym narodem, skoro wymyślają tak skomplikowane rzeczy... ■

eprasa.pl d14e7ac149

Serial „Kingdom", oryginalna produkcja Netfliksa z Korei Południowej, zapowiadany był jako duże wydarzenie. Widowiskowe połączenie typowej dla tego kraju kostiumowej opowieści z popularnym nie tylko w dalekiej Azji motywem zombie, budziło zainteresowanie widzów. Jak się okazało, całkiem słusznie.

Krzysztof Karnkowski

EGZORCYŚCI KONTRA ZOMBIE

eprasa.pl d14e7ac149

FOT. MAT. PRAS.

W Korei Południowej produkcje, których akcję umieszcza się w realiach sprzed kilkuset lat, to stały, ważny segment oferty kinowej i serialowej, kilkanaście lub kilkadziesiąt nawet pozycji rocznie. W 2018 roku pojawiło się na rynku kilka tytułów łączących ten popularny gatunek z horrorem. Jest to o tyle ciekawa sytuacja, że sam horror, z którym widzowie Koreę mogą kojarzyć, od kilku lat przeżywa w tym kraju pewien kryzys. Klasycznych opowieści o szukających sprawiedliwości długowłosych duchach skrzywdzonych kobiet kręci się ostatnio bardzo, bardzo mało, natomiast gatunek próbuje odświeżyć się poprzez rozmaite eksperymenty (formuła „find footage", krzyżówki z innymi gatunkami czy coraz częstsze sięganie do motywów z religii katolickiej, do czego jeszcze wrócimy). Wielki sukces odniósł natomiast opisywany już przeze mnie w „Nowym Państwie", lecz fatalnie potraktowany przez polskiego dystrybutora, film „Train to Busan" (polski tytuł – „Zombie Express").

PIĘKNO KOREAŃSKICH KRAJOBRAZÓW, PRZEPYCH DWORSKICH KOMNAT, KORYTARZY I STROJÓW, SZATY ARYSTOKRATÓW I RYCERZY, A Z DRUGIEJ STRONY ŁACHMANY BIEDOTY – TO WSZYSTKO ZNAJDZIEMY W KOREAŃSKICH PRODUKCJACH HISTORYCZNYCH.

Lista horrorów kostiumowych

Prawdopodobnie to właśnie jego powodzenie zainspirowało twórców „Kingdom", tymczasem już nie w telewizji, lecz w kinach w zeszłym roku widzowie zobaczyć mogli oparty na podobnym pomyśle „Rampant". W filmie Kim Seong-hoona możemy obejrzeć dość typową intrygę historyczną – walkę o tron pomiędzy prawowitym następcą a dotychczasowym ministrem wojny, królobójcą i uzurpatorem. Pierwszy nie jest zbytnio zainteresowany losami kraju, drugi chętnie odwołuje się do patriotycznej retoryki, lecz okoliczności i oczekiwania ludu zmuszą królewskiego syna do walki o swoje prawa i swoich ludzi. Sytuację skomplikuje fakt, że do przeciwników politycznych i militarnych dołączą dość bezkompromisowo pokazane zombie, których zastępy powiększać się będą o kolejnych bojowników ścierających się frakcji. W końcu w żywego trupa zmieni się sam minister... Nie jest to film zbyt mądry i odkrywczy, nadrabia jednak stroną wizualną, jak zwykle w takich przypadkach spektakularną i dopracowaną. W ten sam nurt wpisuje się też „Monstrum" Heo Jong-ho. Tu również mamy prawowitego władcę i chorobliwie ambitnego uzurpatora z otoczenia jego poprzednika. Tym razem cyniczny minister wzmacnia swą pozycję, rozpowszechniając plotki o atakującym wsie potworze, by wywołaną paniką uzasadnić terror i siłowe przejęcie władzy. Nic nowego pod słońcem, dopóki obserwujemy wyłącznie działania propagandowe i ukazany w sztafażu sprzed kilkuset lat montaż służb. Sytuacja zmienia się, gdy potwór okazuje się nie być jedynie operacją pod fałszywą flagą. Reszta jest właściwie bliźniaczym odbiciem akcji z „Rampant". Listę horrorów kostiumowych, które w ostatnich miesiącach wyprodukowano w Korei, zamyka „The Wrath", nowa wersja klasycznego filmu z lat 80. Tym razem mamy do czynienia z bardziej typowym azjatyckim horrorem. W przeklętym pałacu arystokratycznej rodziny obserwujemy bardzo chaotyczną walkę panien, służących i szamanów, w której najważniejszym wątkiem jest ciąża niewolnicy, która rodząc syna nieżyjącego już panicza, ma szansę przerwać klątwę ciążącą na męskich przedstawicielach rodu. To obraz bardzo atrakcyjny wizualnie, jednak bardzo trudno nie zgubić się w intrydze i w efekcie przestać zwracać uwagę na akcję, co zresztą jest problemem wszystkich tych filmów. Moje doświadczenia z tym podgatunkiem wskazują, że uciec udało się od tego tylko autorom znakomitych „Cieni w pałacu" z 2007 roku. Warto wspomnieć również, że na fali popularności filmów, pokazujących nowszą historię Półwyspu Koreańskiego, czyli okres japońskiej okupacji i walk o niepodległość, również pokuszono się o próbę połączenia opowieści o tych czasach z horrorem, co przyniosło efekt w postaci „The Silenced" z 2017 roku (nie mylić ze starszym filmem pod tym samym tytułem). W obrazie tym Japończycy w zamkniętej szkole próbują zamienić grupkę koreańskich dziewcząt w elitarną grupę wojowniczek, obdarzonych nadludzkimi mocami.

Zawieszenie w niepewności jak w „Grze o tron"

„Kingdom" wpisuje się w ten sam co „Monstrum", a zwłaszcza „Rampant" nurt. Nad wspomnianymi tytułami serial góruje jednak zdecydowanie większą składnością i czytelnością fabuły, stworzoną przez scenarzystkę Kim Eun-hee, wcześniej autorkę publikowanego w sieci komiksu, będącego podstawą całej opowieści.

eprasa.pl d14e7ac149

W kraju szaleje zaraza zmieniająca poddanych w zombie, a co gorsza, ten sam los spotyka również króla. Fakt ten pozostać musi tajemnicą, dopóki jego młoda żona, córka szefa królewskich służb sprawującego faktyczną władzę nad państwem, nie urodzi syna. Oczywiście w historii musi pojawić się również książę oskarżany o zdradę i ukrywający się przed prawdziwymi zdrajcami na prowincji, gdzie bronić musi ubogich poddanych przed atakującymi nocą potworami. W dzień walczyć będzie więc z posłańcami ze stolicy, w nocy – z pokrwawionymi trupami ściągającymi z okolicznych lasów i pól. Tu wypada czytelnika ostrzec, że sceny z udziałem tej drugiej grupy będą tyleż pomysłowe, co chwilami bardzo plastyczne i poruszające. Przy tym serialu nie jemy, chyba że zdążymy przełknąć wszystko podczas dość długich ujęć bezkresnych pól, czystych rzek i niosących już jednak ukrytą groźbę zachodów słońca. Historia urywa się jednak w najbardziej dramatycznym momencie, tak, byśmy z niecierpliwością czekali na zapowiedziany już drugi sezon. Zakończenie kojarzy się, zapewne nieprzypadkowo, z finalnymi minutami ostatniego jak dotąd sezonu „Gry o tron", choć nie ma tu smoków, a i lodu jest o wiele mniej.

„Kingdom" składa się z sześciu około 45-minutowych odcinków. Oglądając te pierwsze, trzeba przyzwyczaić się do niespiesznej, bardziej filmowej niż serialowej narracji, gry klimatem i „opisami przyrody". Warto jednać dać sobie (i twórcom) czas, im dalej, tym bowiem lepiej. Reżyser Kim Sung-hoon nie zajmował się dotąd serialami, ma natomiast na koncie kilka udanych filmów, m.in. kryminał „A hard day" i popularny, wyświetlany również w Polsce katastroficzny „Tunel". Piękno koreańskich krajobrazów, filmowanych mistrzowską ręką, przepych dworskich komnat, korytarzy i strojów, szaty arystokratów i rycerzy, a z drugiej strony łachmany biedoty – to wszystko może być imponujące zwłaszcza dla widzów, którzy jeszcze nie opatrzyli się z produkcjami historycznymi z tego kraju, czyli zapewne dla większości widzów. Choć już ci, którzy oglądali pokazywaną w polskiej telewizji „Cesarzową Ki", będą wiedzieć, czego się spodziewać.

Księża superbohaterowie

Jednak historia, zaludniana przez rycerzy, spiskowców i potwory to niejedyne, co zajmuje w ostatnim czasie twórców kinowych i telewizyjnych horrorów. Co ciekawe, drugim modnym tematem stali się katoliccy księża, zwłaszcza przeprowadzający egzorcyzmy. Tak jak w przypadku zombie koniunkturę wykreował sukces „Train to Busan", tu stało się tak za przyczyną „The Priests", o którym pisałem w tekście „Koreański egzorcyzm" („Nowe Państwo" nr 6/2016). Temat stał się na tyle nośny dla twórców i producentów, że – co zdarza się rzadko – telewizja OCN postanowiła poświęcić mu na przełomie 2018 i 2019 roku dwa seriale z rzędu. Najpierw na antenie pojawił się, znów prowadzony raczej filmowo, „The Guest" – opowieść o demonie, którego kolejne zbrodnie połączyły na zawsze losy policjantki, medium i młodego księdza. W tym filmie mieszają się jeszcze wątki chrześcijańskie i buddyjskie, co jest typową dla regionu specyfiką. Demon zabija kolejne osoby, opętanych zmusza do morderstw, zaś swoją działalnością wpływa nawet na lokalną politykę i kościelną organizację charytatywną. Jest to opowieść bardzo gęsta, ponura i poruszająca, co sprawia, że w moim prywatnym podsumowaniu „The Guest" ma pewne miejsce w pierwszej trójce najlepszych koreańskich seriali ubiegłego roku. Nim jeszcze na dobre zniknął z ekranów, OCN wyemitował zapowiedzi „The Priest", mającego być tym razem horrorem z rozbudowanym wątkiem medycznym. Miejscem aktywności demona, a więc i pracy egzorcystów, jest tu bowiem szpital. Zły, w obliczu ludzkich dramatów i zwątpienia, ma czym kusić swoje ofiary. Walczyć z nim będzie tajemnicza grupa, nie do końca mająca oparcie w hierarchii, którą oprócz dwóch księży tworzyć będą starszy już policjant, młody haker i dość tajemnicza milionerka, często wyciągająca resztę grupy z tarapatów. Bardzo ważną postacią będzie też pewna młoda, piękna i zaangażowana w pomoc swoim pacjentom lekarka, przeżywająca odejście i powrót do wiary. Co istotne, pokazywani chwilami wręcz jako superbohaterowie księża są tu całkiem atrakcyjnym wzorem postępowania i moralności, a cały serial, choć zapewne chwilami mocno rozjeżdża się z doktryną, uznać należy za mocno ocieplający wizerunek Kościoła, lansujący chrześcijańskie wartości, więc w jakimś stopniu misyjny.

Popularność księży jako pozytywnych bohaterów seriali koreańskich (na antenę wchodzi właśnie kolejny tytuł, komedia sensacyjna „The Fiery Priest") jest bardzo interesującym zjawiskiem, które wymaga odrębnej analizy i obserwacji. Choć w odniesieniu do Zachodu często mówi się, że twórcy horrorów są największym sojusznikiem Kościoła, bo jako być może ostatni pokazują w popkulturze osobowe zło i walkę z nim, pewnych rzeczy w zachodnich filmach czy serialach dziś już wyobrazić sobie nie sposób. Tymczasem dla Koreańczyków – być może jako wciąż w jakimś stopniu egzotyczne – chrześcijaństwo i katolicyzm, nawet w tak radykalnej odsłonie jak działalność egzorcystów, okazuje się atrakcyjne i jako temat, i jako wzorzec moralny. Za chwilę przyjdzie zapewne zapytać, kto kogo w dzisiejszych czasach ma więc nawracać i ewangelizować. Jeśli jednak niekoniecznie mamy ochotę na stawianie sobie zasadniczych pytań, zawsze zostaje nam duża porcja przyzwoitej rozrywki z niegłupim przesłaniem. ■

eprasa.pl d14e7ac149

Marek Kalinowski

Za górami, za Sejnami

Fascynujący baśniowy świat polsko-litewskiego pogranicza odkryjemy na najnowszej płycie zespołu Babadag - „Šulinys". Wielogłosowe, tradycyjne pieśni zaśpiewane we współczesnych aranżacjach nabierają nowej mocy, powoli odkrywając swoje tajemnice.

Liderka Babadag Ola Bilińska może być rozpoznawalna przez słuchaczy z bardzo różnych kręgów muzycznych. Od ponad piętnastu lat jest związana ze sceną niezależną, a jej nazwisko przewija się w wielu głośnych projektach. Głosu użyczyła m.in. na świetnej płycie zespołu Mitch and Mitch i Zbigniewa Wodeckiego, nagrywała także z Pablopavo, Raphaelem Rogińskim czy Andrzejem Smolikiem. Niezależnie jednak od gatunku – czy byłby to niezbyt skomplikowany bigbitowy przebój Muzyki Końca Lata, kołysanki i pieśni miłosne w języku jidisz czy też elektronika z duetu Buy Buy Butterfly – obok nagrań z jej udziałem trudno przejść obojętnie. Czar jej głosu powoduje, że na wspólnych występach z Ludzikami nawet drętwy baryton Pawła Sołtysa nabiera nagle zaskakującej plastyczności.

Babadag, zespół powstały nieco z literackiej fascynacji prozą Andrzeja Stasiuka, zadebiutował w 2012 roku. Artyści pełnymi garściami czerpali z muzyki tradycyjnej z różnych zakątków świata. Uwagę od początku przyciągał nie tylko ambitnym muzycznym pomysłem, lecz także fenomenalnym składem. Obok Bilińskiej zagrali Maciej Cieślak z zespołu Ścianka, Szymon Tarkowski z Pustek i jeden z najciekawszych polskich perkusistów – Hubert Zemler.

Tymczasem na drugą, świeżo wydaną płytę „Šulinys" przyszło nam czekać aż sześć lat. Od debiutu wiele zmieniło się także w samym zespole. Ze starego składu zostali tylko liderka i perkusista. Dołączyli zaś basista i klawiszowiec Sebastian Witkowski oraz gitarzysta Igor Nikiforow. Albumy oddziela nie tylko skład osobowy, lecz także geografia. Bilińska opuściła rodzinną Warszawę i zamieszkała na Suwalszczyźnie, a zmiana otoczenia przyniosła nowe muzyczne fascynacje.

Babadag, ŠULINYS, wyd. Karrot Kommando

Polsko-litewskie pogranicze odkryło przed Bilińską dawne wielogłosowe pieśni sutartines. Gdy usłyszała je w wykonaniu sióstr Dominyki, Lauksminy i Raminty Kriščiūnaitė, wówczas pojawił się pomysł na zaproszenie artystek do nowych nagrań Babadag. Tradycyjne litewskie pieśni zaadaptowane przez warszawskich muzyków zyskały więc współczesne aranżacje, znacznie oddalające je od oryginału.

Zaskoczenie przychodzi już na początku. Wejście perkusji w „Sycamore Tree", psychodeliczne dźwięki syntezatora i gitary skutecznie budują nastrój niepokoju. Zapada cisza, by za chwilę rozbrzmiał tajemniczy głos Oli Bilińskiej – tak brzmi wstęp do baśniowego świata słowiańskich historii. Złowieszcze dźwięki przechodzą w rytmiczną, wielogłosową „Snaudala" zaśpiewaną aż w trzech językach: polskim, litewskim i angielskim, by za chwilę wszystko ucichło w przepięknej, rozpływającej się w miękkim riffie „Kani".

Przyroda jest głównym bohaterem opowieści, a to, co rzeczywiste, miesza się z transcendentnym, jak choćby we wpadającym w ucho utworze „Aitwar", którego refren jeszcze długo będzie brzmiał nam w głowie. Wciągające w swój rytm „Żurawie" czy dawna ludowa pieśń „Ej Toli Toli" – ta mozaika pomysłów i nastrojów zdumiewa swoim bogactwem, za każdym odsłuchem podsuwając nowe utwory, smaczki i tajemnice. Aż żal nie podążyć ich śladem. ■

eprasa.pl d14e7ac149

Bezpieczna podróż
z PZU Wojażer

Jeśli planujesz wyjazd, pamiętaj o dobrym ubezpieczeniu podróży. Dzięki polisie PZU Wojażer łatwo zapewnisz sobie kompleksową ochronę i upragniony spokój już od pięciu złotych dziennie. Ubezpieczenie turystyczne można kupić w każdej chwili przez internet. Wystarczy 5 minut.

Dobra polisa turystyczna to podstawowy element wyposażenia każdego urlopowicza. Zgubiony bagaż, wypadek, choroba – w podróży wszystko może się zdarzyć - dlatego warto wcześniej pomyśleć o ubezpieczeniu, które w razie nieprzewidzianych zdarzeń pomoże wybrnąć z kłopotów bez ponoszenia dużych kosztów.

Polisa PZU Wojażer adresowana jest przede wszystkim do osób podróżujących za granicę. Ubezpieczenie zapewnia organizację pomocy medycznej i pokrycie jej kosztów m.in. leczenia szpitalnego i ambulatoryjnego, transportu medycznego w miejscu pobytu, usługi transportowej do kraju oraz ewentualnego poszukiwania ubezpieczonego. Gwarantuje także usługi assistance w razie wypadku lub nagłej choroby, np. wsparcie tłumacza w związku z udzielaną pomocą medyczną. W pakiecie ubezpieczenia za 5 zł dziennie znajduje się trównież ubezpieczenie NNW oraz OC w życiu prywatnym. Dodatkowo polisę można rozszerzyć o ubezpieczenie bagażu podróżnego a także zabezpieczyć się od innych ryzyk np. jazda na nartach lub uprawianie sportów wyczynowych.

Turyści mogą dokupić również dodatkowe ubezpieczenie do Wojażera – Kontynuację leczenia po podróży. Kontuzje, niestety, nie są rzadkością, dlatego warto się dobrze zabezpieczyć. W razie nieszczęśliwego wypadku lub nagłego zachorowania na wyjeździe, po powrocie do Polski będzie można skorzystać z leczenia, badań ambulatoryjnych, rehabilitacji bądź operacji chirurgicznej. W ramach dodatkowej opcji PZU zorganizuje i pokryje koszt leczenia ubezpieczonego w Polsce, jeśli zgłosi taką potrzebę do Centrum Pomocy w ciągu 14 dni po powrocie z podróży, podczas której doszło do kontuzji czy nagłego zachorowania. Przy nagłej chorobie ubezpieczony może liczyć na 4 konsultacje lekarskie oraz zabiegi ambulatoryjne i badania diagnostyczne. Ponadto ubezpieczony sam może wskazać placówkę z sieci PZU Zdrowie i określić, kiedy chce skorzystać z konsultacji lekarza.

Warto, by rodzice zadbali również o bezpieczeństwo swoich pociech. Nie każdy uczeń, który wyjeżdża na ferie zimowe, objęty jest ubezpieczeniem szkolnym NNW. Warto zatem zadbać, aby dziecko takie posiadało. Rodzice sami mogą ubezpieczyć dziecko od następstw nieszczęśliwych wypadków, w każdej chwili w roku i przy okazji zawierania każdej innej umowy ubezpieczenia.

Wyjazd w towarzystwie najbliższych nam osób to gwarancja niezapomnianych chwil i wspomnień, do których będziemy wracać na długo po powrocie z urlopu. Pamiętajmy jednak, że w trakcie podróży, mogą nas spotkać liczne zagrożenia, które bardzo szybko pozostawią złe wrażenie po wyprawie.

Szczegółowe informacje dotyczące oferty dostępne są na stronie pzu.pl

eprasa.pl d14e7ac149

„To jest absolutna strategiczna katastrofa dla Kremla. Wracamy do sytuacji z lat 70. czy też wczesnych 80., kiedy USA były w stanie rozmieścić głowice bojowe mogące dosięgnąć Moskwy czy Petersburga w sześć-siedem minut, co jest strategiczną katastrofą. W parę minut nie możesz nic zrobić"

Aleksandr Goltz, niezależny analityk rosyjski

Antoni Rybczyński

NOWATORSKA rakieta Putina

Rosja od wielu lat łamała traktat rozbrojeniowy z USA. Dopiero Donald Trump uderzył pięścią w stół. Pogrzeb INF to narodziny nowego wyścigu zbrojeń, który zakończy się pogrzebem putinowskiego reżimu.

FOT. MICHAEL KLIMENTYEV / SPUTNIK / KREMLIN POOL/PAP, EPA

eprasa.pl d14e7ac149

Jeśli dobrze pamiętam, godło Stanów Zjednoczonych przedstawia orła z jednej strony trzymającego trzynaście strzał, a z drugiej gałązkę oliwną z trzynastoma oliwkami. Mam więc pytanie: czy wasz orzeł pożarł już wszystkie oliwki i zostały tylko strzały?

– Mam nadzieję, że będę miał dla Pana jakieś odpowiedzi. Ale nie przywiozłem żadnych oliwek.

– Tak też myślałem".

Tak podobno wyglądała rozmowa prezydenta Władimira Putina z doradcą prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego Johnem Boltonem, gdy ten przyleciał do Moskwy tuż po tym, jak Donald Trump zapowiedział wyjście Stanów Zjednoczonych z układu INF. I to właśnie ta kwestia była jednym z głównych tematów rozmów Boltona z Rosjanami. Kiedy Amerykanin opuścił Moskwę, rzecznik Putina Dmitrij Pieskow oświadczył, że Kreml na podstawie tych rozmów ocenia, że „strona amerykańska podjęła decyzję i w najbliższej przyszłości sformalizuje proces wyjścia z tego porozumienia". Komentarze w rosyjskiej prasie były jednoznaczne: październikowa wizyta doradcy Trumpa w Moskwie zakończyła epokę strategicznego partnerstwa USA i Rosji; nowym modelem stosunków obu krajów będzie strategiczne powstrzymywanie. „Chodzi nie tylko o rakiety i głowice. Rozwiązując umowę INF, która była częścią fundamentu wcześniejszego partnerstwa, USA przesuwają Rosję do kategorii krajów niemających legitymizacji politycznej, takich jak Korea Północna" – tak to podsumował Władimir Wasiljew z Instytutu USA i Kanady Rosyjskiej Akademii Nauk.

Dlaczego Trump podjął decyzję o faktycznym wyrzuceniu ważnego traktatu rozbrojeniowego do kosza? Jak trafnie zauważył w redakcyjnym komentarzu dziennik „The Wall Street Journal", „kontrola zbrojeń zazwyczaj funkcjonuje, kiedy jest realizowana między krajami, które się ze sobą dogadują, a zawodzi w przypadku adwersarzy, którym nie można ufać". Tymczasem Rosja od dekady naruszała uparcie układ INF, mimo regularnie powtarzanych zarzutów strony amerykańskiej i przedstawiania dowodów na działania Moskwy łamiące porozumienie. To kolejna kwestia, w której Trump reaguje na rosyjską politykę agresji i kłamstw zdecydowanie ostrzej, niż kiedykolwiek robił to Barack Obama.

Od Gorbaczowa do Putina

Traktat INF (Treaty on Intermediate-range Nuclear Forces) był kolejnym amerykańsko-sowieckim porozumieniem w sprawie kontroli zbrojeń, ale pierwszym, który eliminował całą klasę pocisków rakietowych. Chodziło o pociski pośredniego i średniego zasięgu, czyli o zasięgu od 500 do 5500 km, odpalane z lądu, zarówno balistyczne, jak i manewrujące, z głowicami konwencjonalnymi i nuklearnymi. Układ zakazywał sygnatariuszom posiadania, produkowania i testowania takiej broni. Zastosowano „wariant zerowy", tzn. układ zakładał całkowitą likwidację już także posiadanych pocisków. Ronald Reagan i Michaił Gorbaczow podpisali dokument 8 grudnia 1987 roku w Waszyngtonie. Dlaczego Moskwa zgodziła się na tak drastyczny wariant? Sowieci bali się umieszczanych w Europie od 1984 roku pocisków Pershing-2 z głowicami jądrowymi. Były one odpowiedzią USA na groźne sowieckie pociski Pionier (w kodzie natowskim: SS-20 Saber). Dawały możliwość błyskawicznego ataku na nieprzyjaciela, który nie miał czasu na reakcję. Traktat wszedł w życie w 1988 roku, zaś likwidację arsenałów strony zakończyły latem 1991 roku, tuż przed rozwiązaniem ZSRS. USA łącznie pozbyły się około 800 pocisków, zaś Sowieci około 1800. Przy czym podkreślić należy, że niszczone miały być nie tylko głowice bojowe, lecz także korpusy pocisków i – co ważne – ich wyrzutnie. Dokument obowiązywał nie tylko USA i Rosję, również pozostałe byłe republiki sowieckie, które w chwili upadku ZSRS posiadały broń atomową: Ukrainę, Białoruś i Kazachstan. One jednak szybko pozbyły się takiej broni. Za to po zakończeniu zimnej wojny takie systemy rakietowe pozyskał szereg państw nieobjętych INF, m.in.: Indie, Iran, Pakistan, Korea Północna, Korea Południowa, Arabia Saudyjska, ale przede wszystkim Chiny, których obecny arsenał rakietowy opiera się właśnie przede wszystkim na pociskach średniego zasięgu. Filarem traktatu był rygorystyczny reżim weryfikacji wypełnienia postanowień, m.in. miejscowe inspekcje. Zgodnie z postanowieniami układu ostatnie takie inspekcje odbyły się w 2001 roku. Zgodnie z INF powołano Specjalną Komisję Weryfikacyjną – forum, na którym strony mogły zgłaszać uwagi i rozwiązywać sporne kwestie. Komisja ta spotkała się 30 razy – ostatnio w listopadzie 2016 i grudniu 2017 roku.

Należy pamiętać, że to Rosja – teraz niemal histerycznie atakująca USA za rezygnację z INF – sama pierwsza publicznie krytykowała układ. Już w 2007 roku Władimir Putin i rosyjscy generałowie regularnie nazywali INF układem niesprawiedliwym i nierównoprawnym, niemalże nazywając go zdradą. Argument? Sowieci zniszczyli przeszło dwa razy więcej pocisków niż Amerykanie (choć to wynikało jedynie z faktu, że ZSRS miał dużo bardziej rozbudowany arsenał średniego zasięgu). Ale był też drugi argument – co ciekawe, teraz podnoszony z kolei przez Trumpa. Oto w październiku 2007 roku Putin oznajmił, że Rosji „będzie ciężko pozostawać w ramach" INF, ponie-

eprasa.pl d14e7ac149

waż „inne kraje" (szczególnie Chiny) kontynuują prace nad rozbudową swych rakiet średniego zasięgu, których produkcji i posiadania INF zakazuje tylko dwóm państwom: Rosji i USA. Wówczas to ideę „globalnego" INF propagowała Moskwa – czyniąc grunt pod wycofanie się z układu. Nie zrobiła tego, ale Putin nadal publicznie krytykował traktat. Podobnie prokremlowskie media. Wydaje się, że był to tylko element szerszej gry Kremla. Putin chciał groźbę wycofania się z INF wykorzystać w negocjacjach z USA dotyczących innych traktatów rozbrojeniowych oraz do zablokowania budowy amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Europie.

W tym samym roku, w którym Putin i generał Jurij Bałujewskij grozili wyjściem Rosji z INF, Rosja w tajemnicy zaczęła naruszać to porozumienie. Ruszyły prace w zakresie przystosowania do odpalania z wyrzutni lądowych rakietowych pocis ków manewrujących bazowania morskiego z rodziny Kalibr. Kalibrów Rosjanie użyli po raz pierwszy w boju w 2015 roku, ostrzeliwując nimi cele w Syrii. Pocisk ma zasięg co najmniej 1500 km – ale jako odpalany z morza nie podlega INF. Lądowe próby poligonowe, podczas których miała być przekraczana zastrzeżona odległość 500 km, ruszyły w 2008 roku. Najpierw nowy pocisk osiągał 1500 km. W toku dalszych prac opracowano kolejną rakietę manewrującą bazowania lądowego o domniemanym zasięgu co najmniej 2500 km. Ówczesna administracja prezydenta USA Baracka Obamy ukryła jednak informacje wywiadowcze na ten temat przed Senatem – toczyła się bowiem debata nad ratyfikacją układu New START, a w relacjach Waszyngtonu z Moskwą królował tzw. reset. New START miał być największym sukcesem prezydentury Obamy, nowym układem dotyczącym atomowego rozbrojenia z Rosją. Nie można więc było ujawniać, że ta sama Moskwa łamie właśnie inny układ zawarty z USA. Ostatecznie New START wszedł w życie w lutym 2011 roku. A tymczasem Rosjanie bez przeszkód pracowali nad nowym pociskiem. Dopiero w styczniu 2014 roku USA poinformowały sojuszników z NATO, że Rosja posiada pocisk, który narusza INF. Jednak administracja Obamy nadal nie podnosiła publicznie obaw związanych z naruszeniem umowy. Aż do aneksji Krymu, gdy ostatecznie upadła koncepcja resetu i Obama był zmuszony nałożyć sankcje na Rosję.

Kłamstwa w żywe oczy

W lipcu 2014 roku w opublikowanym jawnym raporcie Stany Zjednoczone ogłosiły, że „Federacja Rosyjska naruszyła swe zobowiązania w ramach układu INF o nieposiadaniu, produkcji lub testowych lotach pocisków GLCM z zasięgiem od 500 do 5500 km, oraz nieposiadaniu czy też produkcji wyrzutni dla takich pocisków" (GLCM to skrót od Ground Launched Cruise Missile, pol. pocisk manewrujący klasy ziemia-ziemia). Od tamtej pory Departament Stanu USA co roku w raporcie stwierdza niedotrzymywanie przez Rosję postanowień INF. Od 2014 roku, z inicjatywy Waszyngtonu, doszło też do pięciu spotkań amerykańsko-rosyjskich z udziałem ekspertów technicznych. Na każdym z nich Amerykanie przedstawiali dowody na łamanie INF przez Rosjan i żądali zaprzestania tych działań. Za każdym razem Rosjanie odmawiali. W listopadzie 2016 roku USA wezwały do powołania międzynarodowej specjalnej komisji weryfikacyjnej z udziałem sygnatariuszy układu (USA, Rosja, Białoruś, Kazachstan, Ukraina), która zajmie się naruszeniem przez Rosję INF. Moskwa odpowiedziała, że jej nowy pocisk nie narusza INF, i komisji nie powołano.

Pod koniec tegoż 2016 roku Rosja przystąpiła do rozmieszczania nowych pocisków. Według ujawnionych przez USA informacji wywiadowczych do służby zostały przyjęte pierwsze dwa dywizjony nowych rakiet (w 2018 roku dwa kolejne). Powołując się na przedstawicieli administracji USA, dziennik „The New York Times" poinformował w lutym 2017 roku, że wbrew traktatowi INF Rosja dysponuje nowymi pociskami manewrującymi SSC-8 (w nomenklaturze rosyjskiej 9M729) – lądową wersją bazujących na okrętach podwodnych pocisków SSN-21 Sampson (w rosyjskiej nomenklaturze RK-55). „The New York Times" donosił, że Rosja ma już dwa rakietowe dywi-

Władimir Putin i rosyjscy generałowie regularnie nazywali INF układem niesprawiedliwym i nierównoprawnym, niemalże nazywając go zdradą. Argument? Sowieci zniszczyli przeszło dwa razy więcej pocisków niż Amerykanie.

eprasa.pl d14e7ac149

zjony (po cztery pojazdy z wyrzutniami każdy) z pociskami 9M729. W ten sposób Rosja pogłębiła nierównowagę strategiczną w Europie na niekorzyść NATO. Zeznając przed Kongresem w marcu 2017 roku, wiceszef Kolegium Połączonych Szefów Sztabów generał Paul J. Selva zwrócił uwagę, że system naruszający układ przedstawia ryzyko dla obiektów NATO w Europie.

Wobec nieskuteczności bezpośrednich nacisków na Moskwę, amerykańska administracja zwróciła się z problemem do natowskich sojuszników. Latem 2017 roku przedstawiła nieformalną propozycję możliwych działań. Miały one zwiększyć zdolności obronne państw europejskich i odstraszać Rosję. Amerykanie proponowali więc wzmocnienie obrony przeciwrakietowej i systemu wczesnego ostrzegania, jak też na przykład wzmocnione rotacje amerykańskich bombowców B-2 i B-52 w Europie. Jednocześnie pojawił się pomysł włączenia Chin i Indii do INF. W grudniu 2017 roku Departament Stanu przedstawił w końcu szczegółowe informacje na temat nowej broni rosyjskiej naruszającej układ.

Nowa rosyjska broń, która pogrzebała liczący sobie ponad trzy dekady układ, to tak naprawdę kombinacja zmodyfikowanego manewrującego pocisku morskiego ze zmodyfikowaną lądową wyrzutnią mobilną pocisków balistycznych krótkiego zasięgu. Nowa wersja Kalibra z poprawioną wersją Iskandera. Mający 6–8 metrów długości i pół metra średnicy 9M729 (oznaczenie NATO: SSC-8) to lądowy wariant znanego pocisku używanego przez rosyjską flotę wojenną 3M-54 Kalibr (w nomenklaturze natowskiej: SSN-27 Sizzler). Prace nad pociskiem prowadzi rosyjska firma NPO Nowator. Stąd potoczna nazwa pocisku Nowator 9M729. W amerykańskich raportach nowy pocisk nazywano początkowo SSC-X-8, ale literkę X usunięto, gdy broń przeszła z fazy eksperymentalnej do użyteczności operacyjnej. Pierwsza próba 9M729 miała miejsce już w 2008 roku. Co zbiega się w czasie ze słynnym wystąpieniem monachijskim Putina, w którym prezydent Rosji zapowiedział politykę ekspansji i zbrojeń. Pocisk może przenosić głowicę atomową, a maksymalny testowany zasięg to 2500 km (według informacji armii USA z 2017 roku). 9M729 to jeden z pocisków używanych w systemie Iskander – został dostosowany do wystrzeliwania ze zmodyfikowanych platform kołowych systemu Iskander (standardowo wystrzeliwujących rakiety balistyczne krótkiego zasięgu).

Zmodyfikowana do użycia pocisków średniego zasięgu wyrzutnia Iskander jest wielokrotnie tańsza od krążownika rakietowego, a utrzymanie wręcz symboliczne w porównaniu do okrętów wojennych, podwodnych czy bombowców strategicznych. Iskandera-K łatwiej ukryć przed wrogiem niż fregatę. Stosunkowo niedrogie masowe rozmieszczenie takich wyrzutni pozwoli Rosji wzmocnić drastycznie siłę uderzeniową. Gdyby Rosjanie rozmieścili takie pociski na Czukotce, w polu rażenia znalazłaby się cała Alaska. Gdyby rozmieścili je na Kurylach, 9M729 mógłby razić Koreę Południową i Japonię. W pocisk 9M729 można uzbroić Iskandery w kilku strategicznych lokalizacjach w Europie i na Bliskim Wschodzie. Gdyby taka broń pojawiła się na Krymie, w jej zasięgu znalazłaby się cała Ukraina. A do tego: cała Europa Środkowa, prawie cała Norwegia, Niemcy, Belgia, Holandia, Luksemburg, duża część Francji, Włochy, Bałkany i Morze Śródziemne oraz Turcja, Egipt, Izrael, Syria, Irak, znaczna część Arabii Saudyjskiej, Iran, Turkmenistan, Uzbekistan oraz kraje Kaukazu rzecz jasna. Gdyby taka broń pojawiła się w obwodzie kaliningradzkim, przy najbardziej prawdopodobnym zasięgu (2,5 tys. km) na celowniku znalazłaby się niemal cała Europa, z wyjątkiem dużej części Portugalii i południa Hiszpanii. Z Syrii rosyjskie 9M729 mógłby dolecieć do Arabii Saudyjskiej, ZEA, części Jemenu, do Gruzji, Iranu, Zatoki Perskiej i Morza Czerwonego, a nawet Dżibuti, gdzie leży amerykańska baza. Plus inne kraje afrykańskie: Sudan, Egipt, Libia, Tunezja. No i rzecz jasna, całe Morze Śródziemne i Bałkany.

▶ Odrzucone ultimatum

Trump ogłosiłby zamiar wyjścia USA z INF wcześniej (rekomendował to od początku Bolton), gdyby nie opór ze strony Departamentu Stanu USA i Pentagonu oraz sojuszników Stanów Zjednoczonych. Ale nieustępliwa postawa Rosji w tej sprawie spowodowała w końcu, że USA powiedziały „dość" i dostały przy tym poparcie wszystkich sojuszników. Pod koniec października 2018 roku amerykański prezydent poinformował, że USA wycofają się z układu o całkowitej likwidacji nuklearnych pocisków rakietowych pośredniego i średniego zasięgu. Oświadczył, że USA będą rozbudowywać swój arsenał nuklearny; dodał, że uwaga ta jest wymierzona w Rosję i Chiny. Pod koniec listopada 2018 roku dyrektor Wywiadu Państwowego (DNI) Daniel Coats poinformował na konferencji prasowej, iż Rosja „rozmieściła kilka dywizjonów pocisków 9M729, które stanowią bezpośrednie konwencjonalne i nuklearne zagrożenie dla większości (obszaru) Europy oraz (różnych) części Azji".

W wydanym 4 grudnia 2018 roku komunikacie amerykańska administracja przypomniała, że są dowody na to, że od 2013 roku władze Rosji ponad 30 razy na różnym szczeblu i w różny sposób angażowały się w program rozwoju 9M729: „Rosja ciągle

eprasa.pl d14e7ac149

zmieniała swoją wersję historii. Przez ponad cztery lata zaprzeczała istnieniu pocisku i nie przedstawiła żadnej informacji na jego temat, pomimo dostarczenia przez USA szczegółowych informacji o lokalizacji testów i nazwach spółek zaangażowanych w rozwój i produkcję pocisku. Rosja przyznała, że pocisk istnieje, dopiero po tym, jak publicznie to ogłosiliśmy, ale zaprzeczyła, że pocisk ma zasięg powyżej 500 km, więc jej zdaniem jest zgodny z INF". Na początku grudnia NATO dało Rosji 60 dni na powrót do przestrzegania układu. Moskwa oczywiście tego nie zrobiła, za to zaprosiła wojskowych attaché (USA i sojusznicy odmówili udziału) na spotkanie, na którym zademonstrowano 9M729. Generał Michaił Matwiejewskij, dowódca sił rakietowych i artyleryjskich, argumentował, że pocisk ma potężniejszą głowicę bojową i lepszy system naprowadzania niż poprzedni model 9M728. Ale zapewnił, że nie ma zwiększonego zasięgu. Wiceszef MSZ Siergiej Riabkow stwierdził, że 9M729 to „polepszona" wersja systemu Iskander-M, który ma zasięg maksymalnie 480 km.

Tydzień później upłynęło 60-dniowe ultimatum. 1 lutego 2019 roku USA poinformowały, że z dniem 2 lutego zawieszają udział w INF. Putin zareagował transmitowaną w telewizji naradą na Kremlu – właśnie 2 lutego. W obecności ministrów obrony i spraw zagranicznych ogłosił, że Rosja również zawiesza udział w INF. Jednocześnie polecił rozpoczęcie prac badawczych i projektowych nad lądową wersją rakiet średniego zasięgu Kalibr (która już przecież istnieje i stała się powodem fiaska układu) oraz nad nowymi lądowymi ponaddźwiękowymi rakietami pośredniego i średniego zasięgu. Podczas spotkania z Siergiejem Szojgu i Siergiejem Ławrowem Putin skłamał nie raz. Na przykład zapewniając, że Rosja nie rozmieści w Europie czy innych regionach świata broni krótkiego lub średniego zasięgu, jeśli nie zrobią tego Amerykanie. Tyle że ma je już rozmieszczone. Na dodatek okazuje się, że więcej, niż myślano. 10 lutego „Frankfurter Allgemeine Sonntagszeitung", powołując się na anonimowego funkcjonariusza wywiadu jednego z państw zachodnich, poinformowała, że pociski 9M729 znajdują się na wyposażeniu czterech dywizjonów. Poza dywizjonem szkolnym na poligonie rakietowym Kapustin Jar w obwodzie astrachańskim są to trzy dywizjony liniowe, stacjonujące w Kamyszłowie na wschód od Jekaterynburga, w Mozdoku w Osetii Północnej oraz w miejscowości Szuja w pobliżu Moskwy. Każdy z dywizjonów dysponuje czterema samobieżnymi wyrzutniami z zapasem czterech rakiet każda. Rosja ma zatem obecnie co najmniej 64 pociski, których zasięg z głowicą nuklearną wynosi 2500 kilometrów.

Układ INF przestanie działać w pierwszych dniach lipca, bo zgodnie z jego zapisami od momentu wręczenia drugiej stronie noty o wyjściu z układu, obowiązuje on jeszcze przez sześć miesięcy. Wymiana takich not nastąpiła 2 lutego 2019 roku. Teoretycznie w ciągu tych sześciu miesięcy można jeszcze zmienić decyzję. Tyle że nic na to nie wskazuje. W Moskwie rządzi dziś „partia wojny" i Putin w tej sprawie nie może pójść na żadne ustępstwa. Ale w wymiarze strategicznym, w dłuższej perspektywie będzie to oznaczało porażkę Rosji. Już sam koniec INF jest jej porażką, bo dotąd po cichu zwiększała swoją przewagę w Europie w tym zakresie broni, podczas gdy Amerykanie przestrzegali zobowiązań. Teraz mogą szybko przywrócić równowagę strategiczną, opracowując i produkując własne pociski. Opracowany przez Pentagon „Przegląd polityki jądrowej USA" z lutego 2018 roku rekomendował podjęcie badań nad rozwojem rakiet balistycznych pośredniego zasięgu bazowania lądowego. Trump pokazuje też Putinowi, że nie da się wykorzystać naruszania jednego układu do nakłaniania, żeby on podpisał inny. Zaś historia się powtarza. Kiedyś Reagan na rozmieszczanie przez Sowietów rakiet SS-20 odpowiedział rozmieszczaniem Pershingów (mimo histerycznych protestów choćby w RFN) – i zmusił Gorbaczowa do rezygnacji ze straszenia tego typu bronią. Dziś Trump jest na dobrej drodze, by zmusić stojącego pod ścianą Putina do przyjęcia wyzwania i przyspieszenia wyścigu zbrojeń. Dla Rosji, słabszej ekonomicznie i politycznie od ZSRS, będzie to oznaczało wyrok śmierci. A egzekucja nastąpiłaby znacznie szybciej, niż to się stało w przypadku Związku Sowieckiego. ■

Kiedyś Reagan na rozmieszczanie przez Sowietów rakiet SS-20 odpowiedział rozmieszczaniem Pershingów – i zmusił Gorbaczowa do rezygnacji ze straszenia tego typu bronią. Dziś Trump jest na dobrej drodze, by zmusić stojącego pod ścianą Putina do przyjęcia wyzwania i przyspieszenia wyścigu zbrojeń.

eprasa.pl d14e7ac149

Hanna Shen

TRZY REŻIMY

Zapytany w programie Głosu Ameryki (chińskie wydanie), co obecnie może spędzać sen z powiek chińskiego prezydenta Xi Jinpinga, chiński pisarz i komentator polityczny Chen Pokong stwierdził, że na razie nie wojna handlowa czy głębszy konflikt z USA, lecz to, co dzieje się wokół Wenezueli i Iranu – krajów, które są sojusznikami komunistycznych władz w Państwie Środka. Kłopoty reżimu w Teheranie i Caracas to także problem dla ChRL.

d14e7ac149

Rozwój w relacjach handlowych między Chinami a Ameryką Łacińską rozpoczął się na początku XXI wieku. W związku z gwałtownym wzrostem zapotrzebowania na południowoamerykańskie surowce mineralne oraz produkty rolnicze i energetyczne, Chiny szybko stały się czołowym partnerem handlowym wielu krajów na tym kontynencie. Zabiegi o chińskie inwestycje i pożyczki rozpoczęły się ze strony Wenezueli za rzadów Hugo Chaveza. Pekin odpowiedział na to pozytywnie m.in. dlatego, że był zainteresowany wenezuelską ropą, którą Chiny dość szybko zaczęły traktować również jako zabezpieczenie swoich pożyczek udzielonych Caracas.

Jak Chiny eksportowały zło komunizmu do Wenezueli

Za rządów Chaveza Wenezuela stała się największym sojusznikiem Pekinu w Ameryce Południowej. W 2001 roku została pierwszym hiszpańskojęzycznym krajem, który nawiązał z Chinami partnerstwo strategiczne, a to z 2014 roku podniesiono do rangi „wszechstronnego". W jego ramach ChRL tylko poprzez sam Chiński Bank Rozwoju* zaoferowała Wenezueli pożyczki w wysokości ponad 50 mld dolarów.

Przez kilka lat socjalistyczny „raj" w Wenezueli mógł istnieć dzięki wysokim cenom surowców energetycznych. Przez moment było naprawdę wspaniale – płynące petrodolary można było wydać na podniesienie poziomu edukacji, redukcję obszarów biedy czy poprawienie opieki zdrowotnej, co m.in. przyczyniło się do niższej okołoporodowej śmiertelności noworodków. Wszystko do czasu, gdy ceny ropy spadły. U władzy w Wenezueli był już wtedy następca Chaveza, były kierowca autobusu, Nicolas Maduro.

Niskie ceny ropy oznaczały, że Wenezuela musiała wysyłać więcej tego surowca do Chin, jako spłatę pożyczek zaciągniętych w Pekinie. Tym samym mniej ropy było na sprzedaż i państwo miało mniej dochodów. Sytuacja gospodarcza była coraz bardziej dramatyczna – brakowało nawet żywności, a Maduro zamiast pomagać swoim obywatelom, kupował sprzęt wojskowy od Chin. Pekin stał się czołowym dostawcą broni dla Caracas; wyprzedził pod tym względem Rosję. Chińska broń potrzebna była do pacyfikowania protestów coraz bardziej niezadowolonych Wenezuelczyków.

W 2018 roku Maduro wpadł na pomysł, by sprowadzić do kraju chiński sprzęt służący do kontrolowania obywateli. Do realizacji projektu budowy czipowego dowodu osobistego, tzw. karty ojczyzny, wybrano giganta telekomunikacyjnego z Chin – firmę ZTE. „Karta ojczyzny" zbiera informacje o obywatelu, choćby o jego majątku, stanie zdrowia czy aktywności w mediach społecznościowych. Te informacje pozwalają na pełną kontrolę nad obywatelami i m.in. wynagradzanie ich, gdy postępują zgodnie z oczekiwaniami władz, i karanie na przykład pobawieniem prawa do zakupu biletu, paliwa, dostępu do opieki medycznej, gdy protestują przeciwko władzy. „Karta ojczyzny" wprowadzona w Wenezueli to także dowód na to, w jaki sposób Chiny, za pośrednictwem państwowych firm (choćby ZTE), eksportują technologiczny know-how, aby pomóc podobnie działającym państwom (reżimom) śledzić, nagradzać i karać obywateli.

Z czasem okazało się, że ogromne wsparcie ze strony Pekinu, m.in. pożyczki, nie tylko nie przyniosło Wenezueli rozwoju, lecz przyczyniło się do upadku państwa i stało się dowodem na to, że chiński kapitał niesie ze sobą duże zagrożenie.

Gdy 23 stycznia tego roku Juan Guaidó ogłosił się tymczasowym prezydentem i złożył przysięgę przed wielotysięcznym tłumem w Caracas, wówczas USA, Kanada i rządy najważniejszych państw Ameryki Łacińskiej uznały go za prawowitego prezydenta. Jednak Chiny, Rosja i Iran stanęły po stronie Maduro. Pekin uważał, że opuszczając następcę Chaveza, straci swoją budowaną od lat pozycję w Ameryce Południowej, a także wartą miliardy dolarów ropę, za którą faktycznie zapłacono. Bez Maduro niemożliwy stać się może projekt uzależnienia Wenezueli nie tylko gospodarczo i politycznie, lecz także militarnie. Pekin miał plany, by zadłużając Caracas, wymusić na Maduro dzierżawę jednego z portów i przekształcenie go w swoją bazę wojskową.

Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego zawirowania na szczytach władzy w Wenezueli nie pozwalają spokojnie spać chińskiemu prezydentowi Xi Jinpingowi. W chińskim internecie coraz częściej pojawiają się komentarze mówiące, iż „dziś Wenezuela, jutro Chiny" i sugerujące, że skoro może upaść socjalistyczny reżim Maduro, to może także komunistyczny reżim w Chinach. Strach przed takimi „pomysłami" Chińczyków sprawił, że w Państwie Środka zaczęto zatrzymywać i karać grzywnami internautów krytykujących władzę Maduro.

Podobna optyka

W styczniu 2016 roku w Teheranie prezydenci Xi Jinping i Hasan Rouhani oświadczyli, że Iran i Chiny porozumiały się w sprawie nawiązania strategicznych relacji. Obie strony ogłosiły też zawarcie 17 porozumień, w tym o współpracy w obszarze cywilnych technologii jądrowych – umów, które – jak podkreślano – przyczynią się do ożywienia Nowego Jedwabnego Szlaku. Xi Jinping był wtedy pierwszym od 14 lat prezydentem Chin, który odwiedził Iran.

Dla Chin Iran to ważny strategiczny partner nie tylko ze względu na położenie geograficzne, lecz także dlatego, że to jedyna główna siła w regionie, która nie jest sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Muzułmański Iran (państwo wyznaniowe) funkcjonuje na podobnych zasadach jak komunistyczne państwo Chin. Oba reżimy mocno ograniczają

* Chiński Bank Rozwoju to jeden z trzech głównych banków w ChRL podlegający Radzie Państwowej, najwyższemu organowi władzy wykonawczej w Chinach.

FOT. ANDY WONG/PAP/EPA

eprasa.pl d14e7ac149

podstawowe swobody swoich obywateli, takie jak prawo do wolności wypowiedzi czy wyznania. W obu państwach chrześcijaństwo widziane jest jako zagrożenie.

W ChRL w 2013 roku w dokumencie nr 9**, czyli okólniku z instrukcjami dla członków Komunistycznej Partii Chin, wśród „niebezpiecznych trendów" w Państwie Środka wymieniono zachodnie wartości, w tym rosnące w siłę chrześcijaństwo. Prowadzona w tej chwili w Państwie Środka walka z chrześcijaństwem w ramach ogłoszonej przez prezydenta Xi kampanii „sinizacji religii" oznacza w praktyce aresztowania wiernych, a nawet prawników im pomagających, a także palenie krzyży.

W Iranie Hasan Rouhani często podkreśla, że w jego państwie chrześcijanie mają takie same prawa jak inni. Kilka tygodni po jednej z takich wypowiedzi prezydenta, w sierpniu 2018 roku, sąd w Buszehr, mieście w południowo-zachodnim Iranie, skazał małżeństwo, które nawróciło się na chrześcijaństwo, na rok więzienia za to, że – jak stwierdził sąd – małżonkowie „prowadzili działalność przeciwko Islamskiej Republice, a na rzecz chrześcijaństwa". Przykładów takich represji wobec chrześcijan w Iranie jest bardzo wiele. Raport amerykańskiej Komisji ds. Międzynarodowej Wolności Religijnej za rok 2018 stwierdza, że „wolność religijna w Iranie nadal ulega pogorszeniu zarówno wobec uznawanych, jak i nieuznawanych grup religijnych, a rząd szczególnie atakuje bahaitów*** i nawróconych chrześcijan".

Współpraca będzie kontynuowana

Iran jest też ważny dla Chin z tego samego powodu co Wenezuela – ropy****. Dziś ChRL to główny odbiorca tego irańskiego surowca. Pekin nie chce więc przyłączać się do sankcji***** nakładanych na Teheran i dlatego m.in. odrzucił możliwość uczestniczenia w konferencji dotyczącej Bliskiego Wschodu w Warszawie, na której Amerykanie wzywali swoich europejskich sojuszników do wycofania się z porozumienia nuklearnego z Iranem i na której, jak zauważył premier Izraela Benjamin Netanjahu, „arabscy przedstawiciele, którzy przemawiali na szczycie, zgodzili się, że pokój izraelsko-palestyński nie może zostać osiągnięty tak długo, jak długo irański problem nie zostanie rozwiązany". Rzeczniczka chińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Hua Chunying podkreśliła, że Pekin broni się przed mechanizmami sankcji postulowanych przez USA i planuje utrzymywać stosunki handlowe z Iranem zgodnie z umowami międzynarodowymi. „Chiny i Iran niezachwianie utrzymują normalne stosunki handlowe i gospodarcze. Chiny będą nadal współpracować z Iranem" – potwierdza Hua. To nie tylko słowa, lecz także konkrety. W kwietniu 2017 roku Iran podpisał porozumienie z ChRL w zakresie przeprojektowania reaktora atomowego z Arak. W styczniu tego roku chiński gigant naftowy Sinopec rozpoczął negocjacje z irańskim National Iranian Oil Company (NIOC) kontraktu o wartości 3 mld dolarów, dotyczącego eksploatacji pola naftowego Jadawaran w zachodnim Iranie. W tym projekcie Chiny żądają od Teheranu daleko idących ustępstw, m.in. zgody na to, by rozwój pola Jadawaran odbywał się przy użyciu chińskiego sprzętu, a zwrot poniesionych kosztów dokonał się zaraz po przeprowadzeniu testów eksploatacyjnych.

Chiński projekt w zachodnim Iranie ma doprowadzić w ciągu sześciu miesięcy do podwojenia wydajności pola Jadawaran, tj. zwiększenia wydobycia do 180 tys. baryłek dziennie. Dziś Jadawaran to jedno z najbardziej nierozwiniętych pól naftowych na świecie.

Rośnie społeczne niezadowolenie

Jednak tak jak w Wenezueli, tak i w Iranie chińskie (a po zniesieniu sankcji także innych państw) pieniądze i inwestycje jak dotąd nie przyniosły specjalnej poprawy koniunktury gospodarczej, a przede wszystkim poziomu życia Persów. Nie stało się tak, bo Teheran wykorzystuje zdobyte środki na finansowe zaangażowanie w wojny w Syrii, Iraku i Jemenie. Dlatego też pod koniec 2017 roku na ulicach irańskich miast doszło do protestów na szerszą skalę przeciwko władzy. I trwają one do dziś. Na ulice wychodzą nauczyciele, pielęgniarki, emeryci i studenci. Jedno z najczęściej powtarzających się haseł na demonstracjach brzmi: „Chleba, pracy, wolności".

I znów jak w przypadku Wenezueli, tak i odnośnie Teheranu prezydent Chin Xi Jinping obawia się, że niepokoje wewnątrz Iranu pozbawią Chiny kontraktów, ropy, a także sojusznika, który również jako wroga traktuje USA. No i jest też ten dodatkowy powód, dla którego Iran nie pozwala spokojnie spać prezydentowi Xi – protesty Persów, które media w ChRL mają przemilczać, a chińscy internauci uważnie śledzą. „Nie lekceważmy protestów antyrządowych w Iranie, które mogą zainicjować podobny ruch w Chinach, aby przeciwstawić się dyktaturze i Komunistycznej Partii Chin" – napisał na Twitterze Cao Ji, chiński naukowiec mieszkający na Tajwanie. Podobne demonstracje – jeszcze nie na dużą skalę, lecz coraz lepiej zorganizowane – już dziś pojawiają się w Chinach. Słychać na nich postulaty ekonomiczne, te o potrzebie odsunięcia partii komunistycznej od władzy i o wolności. ■

** Dokument nr 9 miał być tajny, ale dzięki dziennikarce Gao Yu trafił do zachodnich mediów, za co 71-letnia Gao została skazana na 17 lat więzienia.

*** Bahaizm to religia monoistyczna, która narodziła się w Iranie.

**** Iran posiada prawdopodobnie drugie największe na świecie, po Rosji, złoża gazu ziemnego i czwarte, po Wenezueli, Arabii Saudyjskiej i Kanadzie, złoża ropy naftowej.

***** Chiny nawet jak oficjalnie przyłączały się do sankcji na Iran, to w rzeczywistości je łamały. To właśnie dziś z tego powodu problem ma chińska firma Huawei, a zwłaszcza jej wiceprezes Meng Wanzhou, zatrzymana w Kanadzie i oczekująca na decyzję w sprawie ekstradycji do USA.

eprasa.pl d14e7ac149

Przystąp do Programu VITAY!

Do zgarnięcia:

KUPONY | RABATY | PREZENTY

Za paliwo i zakupy na stacji lub w Internecie!
Dla wszystkich z kartą lub aplikacją mobilną VITAY!
Sprawdź na vitay.pl

CLUB VITAY

ORLEN

eprasa.pl d14e7ac149

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Miasto-wyspa. Enklawa dryfująca po niebezpiecznym oceanie aglomeracji Detroit. Hamtramck było kiedyś fenomenem na skalę światową. Założone przez niemieckich farmerów swój rozkwit zawdzięczało Polonii, tak licznie tu przybywającej. To dzięki niej zaczęło z czasem odgrywać rolę „najbardziej polskiego miasta za oceanem". To się jednak skończyło. I to dość brutalnie.

Jak polskie miasto stało się Jemenem

eprasa.pl d14e7ac149

To było gdzieś tutaj. Na rogu tych dwóch ulic – Jurek wyraźnie się ożywia, opowiadając tę historię. Widać, że nadal go porusza, wzbudza emocje. – Mama szła z torbą na zakupy. I gdzieś z okolic tego domu po prawej wybiegł nagle czarnoskóry. Z nożem. Zażądał od mamy portfela. Po czym wyrwał torebkę i uciekł. Jak się potem okazało, to był dopiero początek. Dziś jest jeszcze gorzej.

Miejsce, w którym krzyżują się dzisiaj ulice Brombach Street z Poland Street, na pierwszy rzut oka nie wydaje się wcale jakąś strefą wiejącą grozą. Ot, dwie wąskie prostopadłe względem siebie uliczki. Zaprojektowane w typowo amerykańskim stylu. Obok jednej i drugiej ciągnie się pas jednorodzinnych domków. Są biedniejsze, są bogatsze. Choć trzeba przyznać, że tych pierwszych już znacznie więcej. Przeważnie to standardowe amerykańskie chatki – z niewielką werandą przed wejściem, jednym piętrem, z którego na ulicę wychodzi maleńki balkonik. Przy dachu jednego z takich domostw gospodarz wetknął amerykańską flagę. Krótki przystrzyżony trawnik robi za rodzinny ogródek. Nie jest jednak ogrodzony. Zresztą mało który dom jest. Żal zabudowywać miejsca.

Spokój i cisza. Ani żywego ducha. Dopiero po kilku minutach stania na środku ulicy wraz z Jurkiem i dłuższej rozmowie kątem oka dostrzegam, jak poruszają się firanki pobliskiego domku. Po chwili z okna wychyla się starszy jegomość. Macha pozdrawiająco do Jurka.

– Hello, George! How are you? – w kilka chwil jegomość wspierający się drewnianą laską pojawia się na werandzie przed swoim domem. – Dawno cię nie widziałem.

– A wiesz... W Polsce byłem chwilkę. I przy okazji po Europie troszkę się poszwendałem. Ale już wróciłem na swoje śmieci.

– To dobrze, to dobrze... – zawiesza się sympatyczny staruszek. – I widzę, że gościa nam przywiozłeś! Nice to meet you!

– Tak, to kolega z Polski. Dziennikarz. Będzie o nas pisał! – dodaje z dumą Jurek.

– A co tu pisać... – macha z rezygnacją mężczyzna. – Tu już nie ma o czym pisać...

Jak bracia Dodge Forda wysiudali

Hamtramck. Miasto-enklawa. Z czterech stron otoczona potężnym Detroit. Pod względem liczby mieszkańców – 22 tys. – piętnaste miasto Stanów Zjednoczonych. Za to drugie w klasyfikacji FBI na najbardziej niebezpieczne miasta w kraju. Wskaźnik przestępczości w Detroit jest największy od 40 lat. 20 procent ludzi pozostaje bez pracy. W Hamtramck wcale nie jest lepiej.

Ale przecież nie zawsze tak było. Hamtramck przez całe dekady słynął z dobrobytu jako wybitny przykład amerykańskiego sloganu, że „uczciwą pracą możesz dojść do wszystkiego". Prawdopodobnie takie podejście do życia sprawiło, że w latach 70. miasteczko stało się głównym celem emigrującej z ojczyzny Polonii.

– To właściwie Polacy założyli Hamtramck – wspomina Jurek. – Nie wiem, czy wiesz, ale przez lata to właśnie ta niewielka miejscowość ulokowana w amerykańskim stanie Michigan była największym skupiskiem Polonii na świecie! I nie mówię tutaj o chicagowskiej dzielnicy Jackowo czy brooklińskim Greenpoincie, lecz o oddzielnym mieście. Z własnym wybieralnym co kadencję burmistrzem, z własną policją, strażą pożarną i szkolnictwem. Wszystko to przez całe lata było polskie.

– Zawsze tak było? – dopytuję wyjmując notes.

– Nie, nie... Kiedyś to była równina porośnięta krzewami. Tereny rolne. Z czasem zamieszkałe przez farmerów. Głównie z Niemiec i Francji. Wszystko zmienili bracia Dodge.

Ci od samochodów. John i Horacy wychowywali się dokładnie tutaj – wspominanie początków czasów prosperity tego miasteczka wyraźnie sprawia Jurkowi radość. – Ponoć byli najbiedniejszymi dzieciakami w mieście. Ale to właśnie jeden z nich wynalazł wpierw odporne na zabrudzenia łożysko kulkowe, a drugi, wykorzystując odkrycie pierwszego, zaczął z czasem produkować rowery z takimi właśnie łożyskami. W ten sposób zaczęli. Zyski ze swej działalności przekuwali w motoryzację. Zaczęli produkować części dla Oldsa, największego wówczas wytwórcy samochodów na świecie. Byli na tyle dobrzy, że w 1902 roku zgłosił się do nich sam Henry Ford. Trzy mile stąd znajdziesz ciągle jego fabrykę. Ale posłuchaj dalej o braciach Dodge... Osiem lat po poznaniu Forda bracia zbudowali spory zakład w naszym miasteczku. Już wtedy zasiedlonym głównie przez Polaków. I się zaczęło. Odłączyli się od swego mocodawcy i zaczęli robić własne auta. Reklamowali się, że produkują samochody z myślą „o wszystkich kierowcach fordów, którzy kiedyś będą chcieli mieć prawdziwy samochód".

Polski schabowy dla Murzyna

W swoich fabrykach bracia Dodge bardzo chętnie zatrudniali naszych rodaków. Polacy mieli więc gdzie przyjeżdżać. Nawet dla nieznających języka adaptacja nie stanowiła większych problemów. W latach 70. XX wieku Polacy stanowili 70 proc. populacji Hamtramck. Polski był burmistrz, polska była policja, polska była straż. Wszystko było biało-czerwone. Polska również była świątynia wzniesiona w kwadracie ulic Latham, Poland, Florian i Brombach Street. To polska parafia pw. św. Floriana. Charakterystyczną neogotycką wieżę kościoła widać dziś nawet z wielomilowej odległości w sąsiednich dzielnicach Detroit. To przed fasadą tej właśnie świątyni przemawiał do wiernych swego czasu sam Jan Paweł II.

Nie był to jednak jedyny polski kościół wybudowany przez rodaków w dalekim Hamtramck. Z czasem powsta-

eprasa.pl d14e7ac149

Opustoszałe biedne domy w centrum miasta zaczęli przejmować przyjeżdzający coraz liczniej emigranci z Jemenu i Bangladeszu

wały kolejne. Jak choćby parafia św. Władysława, M.B. Królowej Apostołów, Zmartwychwstania Pańskiego czy pobliska parafia św. Stanisława. Dziś część z polskich świątyń zaczyna przypominać ruinę. Zamknięte na cztery spusty czekają na rozbiórkę. Wizytowanie ich przyprawia o prawdziwy ból serca.

– Wszystko załatwialiśmy tu po polsku. Wszystko – wraca do tematu historii Polonii w Hamtramck Jurek. – Zakupy, sprawy bankowe, ubezpieczanie się, opłacanie świadczeń, wszelkie sprawy urzędowe. Po polsku wzywałeś policję, straż pożarną i pogotowie. Byliśmy u siebie.

– To, co się stało, że jest was teraz coraz mniej? – zagaduję Jurka, gdy na głównej ulicy miasta Joseph Campau Street mijamy trzy szczelnie opatulone w czadory muzułmanki prowadzące do szkoły gromadkę dzieci. – Wyprowadziliście się?

– Nie! – oponuje Jurek. – My nigdy stąd się nie wyprowadziliśmy. Po prostu wymieramy. A nowych nie ma.

Mijamy polski sklep z kiełbasą. Spora kolejka. Niekoniecznie polskich klientów. Po chwili jest i polska cukiernia. Tu z kolei widać siedzących Murzynów. Wreszcie dochodzimy do polskiej restauracji. Dłuższą ścianę od parkingu tworzą białe cegły. Nie wygląda to zachęcająco. Nad nami czerwony napis „POLONIA POLISH RESTAURANT". Poniżej charakterystyczny dla całych Stanów halogen wyświetlający napis „OPEN". Dopiero minąwszy narożnik oszpeconego czasem budynku widzę, jak wygląda on od przodu. Na węższej, pomalowanej już na pomarańczowo, ścianie wisi biały orzeł na czerwonym tle. Polskie godło jest tuż przy drzwiach wejściowych. Zaraz obok wypisane menu dnia. W ładnych drewnianych obramowaniach. Wchodzimy.

– To przyjaciel – przedstawia mnie szefowi restauracji Jurek. – Nasz człowiek. Z „Gazety Polskiej" i Telewizji Republika. Pokazuję mu Hamtramck.

– Bardzo mi miło – potężny mężczyzna ściska mi dłoń. – Na co macie ochotę? Bigos, schabowy?

Mało dyskretnie oglądam się wkoło. Niemal wszystkie stoliki zajęte. Przychodzą tu całe rodziny. Z tego, co słyszę, jedynymi Polakami jesteśmy w tej chwili my. Cała reszta rozmawia po angielsku. Z typowo amerykańskim akcentem. Jest też paru muzułmanów. Między stolikami uwijają się młode kelnerki. Mają pełne ręce roboty. I jak się okazuje, też mówią tylko po angielsku. – Widzisz? Nawet w polskiej knajpie same Amerykanki – mówi Jurek. – Jest nas coraz mniej. Napisz o tym.

▶ Od Rady Miasta po szkołę

Jeszcze w 1900 roku mieszkało tu zaledwie 500 osób. Po 22 latach, gdy Hamtramck uzyskało prawa miejskie, miało już 48 tys. mieszkańców. W 1930 roku mamy zapi-

eprasa.pl d14e7ac149

W budynku niewielkiej izby muzealnej Hamtramck ściany zdobią wielkie plakaty przedstawiające historię osadnictwa miasta, m.in. udział w niej Polaków

saną liczbę 56 tys. Szacuje się dziś, że był to jeden z najszybszych wzrostów w okresie przemysłowej rewolucji w USA. Wszystko jednak ma swój koniec. Tak jak musiała się kiedyś skończyć hossa na rynku przemysłu samochodowego w Detroit, tak skutkiem tego musiał się skończyć rozwój „polskiego Hamtramck". Dziś po latach świetności zostało po nim ledwie wspomnienie.

Najedzeni wychodzimy z polskiej restauracji. W drzwiach mijamy się z siwobrodym mężczyzną. Idzie dość dziarsko. Ale na dźwięk polskiej mowy się zatrzymuje.

– Skąd jesteście? – wykrzykuje przepiękną polszczyzną.

– Z Warszawy... – odpowiadam nieco zaskoczony pytaniem.

– Kolega jest dziennikarzem z Polski. Zaprosiłem go do nas. Jestem Jurek. Mieszkam tutaj. Chciałem pokazać mu nasze polskie Hamtramck.

– A jakie ono polskie, panie kochany? Kiedyś to tak – odpowiada z jękiem w głosie mężczyzna. By po chwili zwrócić się do mnie. – Wie pan, że przez lata to było najbardziej polskie ze wszystkich miast poza naszą ojczyzną? Kto dziś o tym pamięta?

– Tak, tak... Jurek wszystko mi opowiedział.

– A dziś? Niech pan się tylko obejrzy. Meczet na meczecie budują. Zaraz nam zabiorą nasze polonijne centrum kultury. Są tak ekspansywni...

Rzeczywiście nie sposób nie zauważyć, że niegdyś polskie miasto przepoczwarza się dziś w muzułmańską hybrydę. Pierwsi wyznawcy islamu zaczęli tu przybywać jeszcze w latach 80. Większość pochodziła z Bangladeszu. Z czasem pojawili się Omańczycy, Pakistańczycy, Jemeńczycy. Dziś stanowią w Hamtramck zdecydowaną większość. Znalazło to odzwierciedlenie w ostatnich wyborach. W 2015 roku w lokalnych wyborach do Rady Miasta dostało się aż sześciu muzułmańskich kandydatów. Uzyskali w ten sposób większość. Mało tego. Trzech muzułmanów mających obywatelstwo amerykańskie otrzymało największą liczbę głosów spośród wszystkich startujących. – To koniec – mówi zamartwiony Jurek. – Tej tendencji już nie odwrócimy. Oni mnożą się na potęgę. Jest ich coraz więcej. A co gorsza, stają się coraz bardziej roszczeniowi. Kiedyś siedzieli cicho. Dziś zaczynają się domagać. Sam się boję, czym to wszystko się skończy.

Gdy to mówi, z pobliskiego budynku wybiega kilkanaścioro dzieci. Wszystkie w muzułmańskich szatach. Dziewczynki z chustami na głowach. Idą całą szerokością chodnika, głośno krzycząc. Jurek widząc to, dodaje: – I ta cholerna poprawność polityczna. Pod tym względem w Ameryce bardzo się pogorszyło – zaciska wargi ze zdenerwowania. – Wyobraź sobie, że dyrekcja tutejszej szkoły wymyśliła sobie segregację rasową! Stworzyli specjalny kazus, według którego przynajmniej połowa przyjętych

eprasa.pl d14e7ac149

Na walcowatym cokole przedstawiona jest miniatura ołtarza, z którego przed laty przemawiał do mieszkańców Hamtramck Jan Paweł II

dzieci ma pochodzić z rodzin czarnoskórych imigrantów oraz muzułmanów. Czy to jest normalne?! Moja córka, mimo lepszych wyników w nauce, nie może dostać się do wymarzonej klasy, bo jej koleżanka ma czarnoskórych rodziców? I ze względu na tzw. wyrównywanie szans przyjmuje się tamtą?

▶ Modlitwa w meblowym

Jeśli wierzyć statystykom, Polaków w Hamtramck zostało mniej niż 10 proc. Muzułmanów jest już natomiast ponad 60 proc. Mają dla siebie aż siedem meczetów. W liczącym nieco ponad 20 tys. mieszkańców miasteczku to nad wyraz dużo. Dziennik „The Washington Post" obliczył, że w przeliczeniu na jednego mieszkańca to więcej niż gdziekolwiek indziej w całych Stanach. Dziś centrum miasta opanowane jest praktycznie wyłącznie przez muzułmańskie gospodarstwa. To pochodna czasów prosperity w Hamtramck. Gdy miasto było jeszcze zamieszkane w 90 proc. przez polską społeczność, większość z niej wolała budować się w większych domach na przedmieściach miasta. Opustoszałe w ten sposób biedne domy w centrum zaczęli przejmować przyjeżdzający coraz liczniej emigranci z Jemenu i Bangladeszu. Dziś to ich enklawa.

Idąc główną ulicą Joseph Campau Street na południe, co chwilę wchodzimy do kolejnych lokali to po lewej, to po prawej stronie. Jak choćby teraz do budynku niewielkiej izby muzealnej. Wita nas sympatyczny jegomość. Prezentuje kolorowe murale zdobiące ściany wnętrza muzeum. Od lewej widać wpierw niemieckich rolników. Ubranych w bawarskie stroje. Dalej są Amerykanie. Wreszcie dochodzimy do wielkiej tapety prezentującej polski pierwiastek w dziejach miasta. Ubrani w lokalne stroje ludzie prezentują widzowi portrety swych przodków. Na wieży kościoła autor namalował wizerunek Matki Bożej Częstochowskiej. Znalazło się też miejsce dla polskiej piekarni. Są panowie prezentujący polską wędlinę. W tle zaś wszystkiego dymiące kominy fabryk samochodów. To także polski kapitał. Zaraz dalej mural z historią współczesną. Zaczynają pojawiać się czarnoskórzy. Wreszcie zaś ubrani w charakterystyczne białe stroje muzułmanie. – Mówię ci – szepcze mi na ucho Jurek. – Jeszcze dożyję czasów, jak wysypią nam tutaj pustynię i sprowadzą wielbłądy.

Wracamy na główną ulicę miasta. Po prawej stronie schowany we wnęce pomnik św. Jana Pawła II. Pierwszy raz Karol Wojtyła przybył tutaj jeszcze jako kardynał w 1969 roku. Powrócił już jako papież po 18 lat latach. Na pamiątkę tamtej Mszy świętej dziś na rogu Joseph Campau Avenue i Hewitt St stoi niewielki pomnik. Na walcowatym cokole przedstawiona jest miniatura ołtarza, z którego przed laty przemawiał do mieszkańców Hamtramck jeden z największych Polaków w historii. – Bo-

eprasa.pl d14e7ac149

imy się, jak długo pozwolą nam jeszcze na utrzymywanie tych pomników – mówi z obawą w głosie Jurek. – Ponoć były już zakusy, aby je gdzieś przenosić. Na razie udało się nam jeszcze je obronić.

Mijamy sklep z papierosami. Zamknięte. Na drzwiach kartka z własnoręcznie napisanym po angielsku komunikatem: „Niedługo wrócę, poszedłem się modlić". Niegdyś w podobnych okolicznościach polscy właściciele sklepów wywieszali kartki z napisem „Poszedłem na mszę". Znak czasów. W 2004 roku rada miasta przegłosowała projekt, aby na dachu centrum islamskiego zamontować specjalne głośniki. Od tej pory pięć razy dziennie nadają z nich wezwanie imama do modlitwy. Co piątek na modlitwę ściąga tu około 500 ludzi. – Widzisz ten budynek? – wskazuje palcem Jurek. – Kiedyś mieścił się w nim sklep meblowy. Muzułmanie go wykupili, bo sąsiadował z ich centrum. Planują rozbudować miejsce modlitwy, bo się nie mieszczą. Szacują, że po remoncie w budynku zmieści się kolejnych 2000 modlących.

Już nie wróci

Podczas ostatniej pamiętnej kampanii do Rady Miasta z 2015 roku troje kandydatów, Susan Dunn, Cathie Gordon i Robert Zwolak, wystosowało ulotki z dramatycznym apelem: „Wyrzućmy muzułmanów z Hamtramck. 3 listopada odzyskajmy nasze miasto". Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Po wygranych przez muzułmanów wyborach przedstawiciel jemeńskiej wspólnoty Ibrahim Algahim powiedział w nagraniu opublikowanym na Facebooku: „Dziś pokażemy Polakom i wszystkim innym, że jesteśmy zjednoczeni". Film szybko usunięto z sieci. Dużo część Polonii w Hamtramck zdążyła go jednak zobaczyć. Dziś coraz częściej na pytanie o przyszłość swego ukochanego miasta odpowiadają z grymasem smutku i beznadzieją w głosie: „To koniec. Przegraliśmy".

Po napaści na mamę Jurek woli robić zakupy sam. Jego nie ruszą. Za długo tu mieszka. Dobrze zna język. Mama do dziś się go nie nauczyła. Nadal tęskni za Polską. Chcąc wyjść niejako naprzeciw tej tęsknocie, Jurek wykupił jej pełen pakiet polskich kanałów telewizyjnych. – Teraz to nawet Apel Jasnogórski mogę odmawiać razem z rodakami na Jasnej Górze – wzrusza się kobieta, gdy rozmawiamy.

W pokoju mnóstwo polskich pamiątek. Widać, że to dom ludzi zakochanych w ojczyźnie.

– To może warto wrócić? – rzucam Jurkowi podczas którejś ze wspólnych kolacji.

– Do Polski? – mężczyzna patrzy na mnie sponad parującego herbatą kubka.

– Tak. U nas teraz ludziom żyje się troszkę lepiej niż za czasów, gdy wyjeżdżałeś...

– A kto mnie dziś zatrudni, Stefan? Tutaj pracowników w moim wieku zwyczajnie w świecie się szanuje. W Polsce zaś zwalnia, bo młodszy jest tańszy. Musiałbym budować wszystko na nowo. Kocham nasz kraj. Sam widzisz, ile staram się dla niego robić. Wspierać finansowo, promować, reklamować. Ale...

– Ale powoli zaczynasz dostrzegać, że takich jak ty jest coraz mniej... – dokańczam, zgadując, do czego zmierza.

– Dokładnie. Czasem mam wrażenie, że zostałem tu kompletnie sam. Nikogo nie obchodzi to, co tutaj robię.

Na planie „Młodych gniewnych"

Opuszczam Hamtramck nieco przygnębiony. Przez te kilka dni zdążyłem poznać człowieka, który – mam nieodparte wrażenie – za ojczyznę dałby się poćwiartować. Który równowartość połowy średniej polskiej pensji wydaje na polską prasę konserwatywną. Owszem, mógłby czytać ją w internecie. Ale tak nie wsparłby mądrych rodaków. I przy okazji nie pokazałby właścicielowi tutejszego kiosku, że nadal jest ekonomiczny sens sprowadzania do jego sklepu polskiej prasy. Choć przecież kupujących z roku na rok jakby coraz mniej. Poznałem człowieka, który przekonał się, jak krucha może okazać się monolityczna społeczność. Jeszcze 20 lat temu nikt nie spodziewał się, że dziś trzech na czterech napotkanych na ulicy mieszkańców będzie wyznawcami Allaha. Że proboszcz parafii św. Floriana, ksiądz Mirek, będzie musiał w pocie czoła walczyć w Radzie Miasta o utrzymanie pobliskiej katolickiej kaplicy św. Władysława. Na którą parol zagięła muzułmaństwa społeczność, gdyż bardzo pasowałaby im ta lokalizacja. Obok mają niewielki dom modlitwy. A jest ich przecież coraz więcej.

Pakując torby do samochodu Jurka pod jego niewielkim domem, słyszę nagle donośny warkot. W uliczkę wjeżdża samochód z odkręconym tłumikiem. I głośną murzyńską muzyką dobywającą się z wnętrza. Auto prowadzi czarnoskóry mężczyzna. Przez chwilę mam wrażenie, że to jeden z aktorów, jakich oglądałem w filmie „Młodzi gniewni". Wcale nie czuję się bezpiecznie. Mężczyzna wolno odwraca głowę, lustrując mnie od stóp do głów. Po chwili jedzie dalej. – Teraz i tak jest spokojniej – słyszę znajomy głos Jurka. Właśnie wyszedł na werandę. – Jeszcze do niedawna nocą wybudzały mnie strzały. Porachunki gangów. Strzelali do siebie o tutaj.

Jurek wskazuje okoliczne pustostany po fabrykach wokół Detroit. Ogrodzenia po wielkich betonowych placach kończą się zaraz przy murowanym budynku z czerwonej cegły. Z logo w kształcie skręconej kiełbaski. I napisem: „Kowalski Sausage". To sklep polskiego potentata wędlin. Ten jeden jeszcze się ostał. ■

eprasa.pl d14e7ac149

Olga Doleśniak-Harczuk

Głód wiedzy lubi samotność

Ponad 100 metrów kwadratowych paraklasztornego pomieszczenia, w którym zgromadzono 80 tysięcy książek. Wszystkie zamiast banalnie stać, leżą jedna na drugiej na regałach wysokich na siedem metrów, „ponieważ tak lepiej widać tytuły". – Piękna tapeta, nieprawdaż? – pyta gospodarz tej niezwykłej, mieszczącej się w paryskim mieszkaniu biblioteki, zachwalając przy okazji jej walory akustyczne. Podobno dźwięk w tych ścianach rozchodzi się nie gorzej niż w operze wersalskiej. Kto wie, a może nawet lepiej.

eprasa.pl d14e7ac149

Niemieccy dziennikarze nie kryją zdumienia. Mężczyzna o białych włosach spiętych w kucyk, który otworzył przed nimi swój prywatny księgozbiór, to Karl Lagerfeld. KL – te dwie literki mówią wszystko i nic: kreator mody, ekscentryk, wielbiciel kotów. A całkiem przy okazji właściciel 300 tys. książek rozlokowanych w siedmiu mieszkaniach, pochłaniający z miną zblazowanego dandysa nawet kilkadziesiąt lektur dziennie.

Nie ma kredytów na przeszłość

Podobno doskonale wiedział, w którym miejscu jest który tom, potrafił wysyłać współpracowników do jednego z mieszkań z precyzyjnym opisem miejsca ulokowania książki, którą nagle zapragnął przeczytać. Taki pośrednik między Lagerfeldem a jego biblioteką otrzymywał koordynaty typu: „Regał czwarty, rząd trzeci, druga od góry". Odnajdywał tom i wracał z nim do Lagerfelda. I świat był na powrót na swój dziwaczny sposób uporządkowany. Tak jak lubił.

W 2013 roku w wywiadzie udzielonym dziennikowi „Die Welt" Lagerfeld mówiąc o swoich pasjach, modę wymienił jednym tchem z czytaniem. To od niego zaczynał dzień – gazety i książki czytane godzinami, koniecznie w wersji papierowej, żadnych kompromisów. Uwielbiał dotyk papieru. I pracę. „Człowiek musi mieć poczucie, że zawsze mógłby coś zrobić lepiej, że jak będzie się lenił, nie pójdzie do przodu [...] Dopóki człowiek nie bierze siebie samego tak strasznie na serio, wszystko idzie w dobrym kierunku. Jednak z chwilą, gdy uwierzy, że jest świetny, że wszystko mu się już udało – następuje koniec. Nie ma kredytów na przeszłość – to jest stare niemieckie, żydowskie, berlińskie przysłowie" – powtarzał.

A gdyby tak kupić sobie czas

Pasja zdobywania wiedzy zaspokajana intensywną, wręcz żarłoczną lekturą i pasja kreowania mody, ale przede wszystkim samego siebie zdawały się być podwójnym motorem napędzającym go do działania. W branży mówiono o nim, że jest swoim największym tworem i mistrzem autokreacji. Znakiem firmowym były ciemne okulary i rękawiczki. Od połowy lat 70. Lagerfeld nie rozstawał się z okularami, które z każdym rokiem były coraz większe i coraz bardziej zaciemnione. Aby idealnie zmieścić się w wąskie garnitury, schudł 42 kilo, pod koniec życia w jego garderobach wisiało około 500 takich lagerfeldowskich zestawów, w szufladach do kompletu piętrzyło się 200 par rękawiczek. Tylko książek miał więcej niż ubrań. I wciąż pragnął poszerzać swój zbiór. W 1999 roku przy paryskiej rue de Lille, nieopodal Saint-Germain, Lagerfeld założył 7L – własną księgarnię. Za nazwą 7L kryje się raj dla moli książkowych zainteresowanych nie tylko albumami poświęconymi haute couture, lecz także wszelkimi pięknymi i cieszącym oko i zmysły zagadnieniom, które odzwierciedlały wysokie wymogi estetyczne właściciela. Lagerfeld lubił fotografować się na tle swoich książek. Czarna, wychudzona postać hamburczyka z urodzenia, paryżanina z wyboru, pozująca przed regałami pełnymi kolorowych tomów... nietypowy entourage jak na branżę, którą w porywach stać na kilka atrap książek wciśniętych w róg scenografii kolejnej sesji. – Mój problem z książkami już kiedyś opisał Schopenhauer: Do każdej książki, którą się kupuje, należałoby kupić dodatkowy czas. Ja ich przeczytałem masę. I muszę się nimi otaczać.

Nie trzeba mądrych słów

Kilka lat temu zapytany przez brytyjską dziennikarkę o swoje dzieciństwo, Lagerfeld zaskoczył ją swoim brakiem sentymentu do czasu, który zazwyczaj ludzie sławni opisują z pewnego rodzaju mniej lub bardziej egzaltowanym rozrzewnieniem. „Chciałem jak najszybciej dorosnąć, nie interesowały mnie zabawy z innymi dziećmi, nie miałem wiele wspólnego nawet z moją siostrą i drugą, przyrodnią. Byłem całkowicie odizolowany, siedziałem z boku i szkicowałem" – wspominał. Lagerfeld zmarł 19 lutego 2019 roku w wieku 85 lat. Odizolowany od świata, przed którym nie zamierzał się przyznać do choroby, do słabości. W otoczeniu swoich książek, być może ze szkicownikiem lub tomikiem wierszy ulubionej poetki Catherine Pozzi na stoliku nocnym. Zapytany kiedyś o to, czy nie ma dość wszechobecnych tomów piętrzących się na podłodze, stolikach, wszędzie... odpowiedział: „wręcz przeciwnie, ja się tym żywię". Do jego ulubionych dań należały dzieła historyczne i filozoficzne, cenił sobie Kanta. „Im więcej abstrakcji, tym lepiej" – mawiał. Czytanie było sensem ukrytym za blichtrem wybiegów i spojrzeniem sprytnie i celowo schowanym przed światem za czarnymi szkłami. Unikał jednak uczonych, przeintelektualizowanych dysput, lubił czytać i wiedzieć „dla siebie", zatopić się w przemyśleniach. „[Nieustanny przymus czytania – przyp. O.D.H.] jest niczym choroba, z której nie chcę być uleczony" – przyznał trzy lata temu w rozmowie z dziennikarzami „Frankfurter Allgemeine Zeitung". A w chorobie tej wspierało go grono zaufanych poszukiwaczy książkowych pereł. We Francji, w Niemczech, Stanach Zjednoczonych miał ludzi, którzy przetrząsali w jego imieniu księgarnie, wydawnictwa, antykwariaty i dostarczali wszystko, co najlepsze i zgodne z oczekiwaniami zleceniodawcy. Skrojone na miarę wiecznie niezaspokojonego głodu wiedzy cara mody. Człowieka, który chyba najbardziej w świecie lubił siebie przy... lekturze. I święty spokój. ■

eprasa.pl d14e7ac149

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Polska–Korea Południowa

Trochę w cieniu warszawskiej konferencji dotyczącej Bliskiego Wschodu i wizyty amerykańskich polityków w naszym kraju – wiceprezydenta Mike'a Pence'a i sekretarza stanu Mike'a Pompeo – miała miejsce wizyta minister spraw zagranicznych Korei Południowej Kang Kyung-wha. Spotkała się z szefem polskiego MSZ Jackiem Czaputowiczem i wzięła udział w konferencji warszawskiej tuż przed szczytem Trump–Kim w dniach 27–28 lutego w Wietnamie.

W tym roku przypada 30. rocznica nawiązania oficjalnych stosunków dyplomatycznych między Republiką Korei a Polską. Ministrowie spraw zagranicznych obu państwa zwrócili uwagę na coraz większą wymianę gospodarczą pomiędzy krajami. Minister Kang wyraziła nadzieję na obecność koreańskich przedsiębiorstw w dużych projektach inwestycyjnych w Polsce, na przykład przy budowie elektrowni jądrowej czy Centralnego Portu Komunikacyjnego, a także na ściślejszą współpracę obu krajów w zakresie przemysłu obronnego.

Szefowa południowokoreańskiego MSZ przekazała ministrowi Czaputowiczowi informacje na temat szczytu Trump–Kim w Wietnamie i obecnej sytuacji na Półwyspie Koreańskim, wyrażając przy tym uznanie dla Polski za silne poparcie dla wysiłków jej rządu na rzecz ustanowienia pokoju na Półwyspie Koreańskim.

Chiny–Izrael–USA

Tel Awiw jest coraz ostrzej krytykowany przez Waszyngton w związku z rosnącymi wpływami Chin w infrastrukturze i newralgicznych sektorach gospodarki w Izraelu. W trakcie styczniowej wizyty w Izraelu amerykański asystent sekretarza do spraw energii, Dan Brouillette, stwierdził, że Tel Awiw powinien podjąć zdecydowane kroki w celu dokładnego oszacowania pod względem bezpieczeństwa zagranicznych inwestycji, głównie tych z Chin. Mniej więcej w tym samym czasie doradca Trumpa do spraw bezpieczeństwa narodowego, John Bolton, podczas wizyty w Izraelu przestrzegł tamtejsze władze przed korzystaniem ze sprzętu i usług chińskich firm telekomunikacyjnych, takich jak Huawei i ZTE.

Waszyngton jest zdumiony, że ważna infrastruktura w Izraelu przechodzi w ręce Chińczyków. I tak na przykład chińska spółka Shanghai International Port Group wygrała przetarg na zarządzanie nowym nabrzeżem w kompleksie portowym w Hajfie. Problem w tym, że to właśnie tam regularnie cumują amerykańskie okręty wojenne. Według admirała Gary'ego Roughheada, byłego dowódcy US Navy do spraw operacji morskich, chińska kontrola nad portem niesie wysokie ryzyko pod względem cyberbezpieczeństwa, dlatego zasugerował, że w przyszłości amerykańskie okręty mogą omijać izraelski port. Co więcej, nawet były ambasador Izraela w Chinach, Matan Vilnai, uważa, że „szaleństwem" jest powierzanie Chinom zarządzania takim „narodowym atutem bezpieczeństwa" jak port w Hajfie.

Wiadomo, że umowa dotycząca nabrzeża Hajfy została zawarta z chińską spółką przez izraelskie ministerstwo transportu „w oparciu o kryteria czysto biznesowe" i nie dokonano odpowiedniego oszacowania projektu pod względem bezpieczeństwa. Propagatorem inwestycji po stronie Izraela był ówczesny minister transportu Israel Katz (ten sam, który po mianowaniu na stanowisko szefa MSZ w połowie lutego tego roku w jednej z izraelskich stacji telewizyjnych dopuścił się rasistowskiej wypowiedzi wobec Polski, stwierdzając, że „Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki").

eprasa.pl d14e7ac149

Poza inwestycją w Hajfie chińskie firmy wygrały w Izraelu kontrakty na budowę nowego portu w położonym w Dystrykcie Południowym mieście Aszdod i tuneli pod nowe linie kolejowe w Tel Awiwie. Są one także zainteresowane budową szybkiej linii kolejowej łączącej Tel Awiw z nadmorskim kurortem Eilat i budową zakładu odsalania niedaleko Tel Awiwu. Chińczycy generują już jedną trzecią wszystkich inwestycji w kluczowym sektorze hi-tech w Izraelu i stały się drugim co do wielkości partnerem handlowym Izraela po Stanach Zjednoczonych. W październiku ubiegłego roku w trakcie wizyty chińskiego wiceprezydenta Wang Qishana w Izraelu premier Benjamin Netanjahu zaproponował umowę o wolnym handlu między obu krajami.

Coraz głośniej media w Izraelu i USA, a także eksperci piszą o „niebezpiecznym flircie" Tel Awiwu z Pekinem. Danny Catarivas, ekspert do spraw handlu zagranicznego w Izraelskim Stowarzyszeniu Producentów, twierdzi, że Waszyngton wywiera presję na Izrael, by przede wszystkim wprowadzić ściślejszy nadzór nad inwestycjami. Na razie Amerykanom udało się to w sektorze obronnym, który każdego roku otrzymuje prawie 4 mld dolarów amerykańskiej pomocy wojskowej. Tel Awiw zobowiązał się nie sprzedawać Chinom broni ani technologii cywilnych, które mogłyby być wykorzystane w produkcji sprzętu wojskowego.

Byllan Berman, wiceprezydent amerykańskiego konserwatywnego think tanku American Foreign Policy Council, w artykule na łamach „The Wall Street Journal" stwierdził, że dalsza długoterminowa dynamika rozwoju relacji izraelsko-amerykańskich zależy w dużym stopniu od tego, jak poważnie „polityczni decydenci w Izraelu podejdą do coraz większego ryzyka związanego z chińskimi inwestycjami i wynikającymi z tego implikacjami dla bezpieczeństwa Izraela".

▶ Japonia–Rosja

W trakcie Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa 16 lutego doszło do spotkania ministra spraw zagranicznych Japonii Taro Kano i jego rosyjskiego odpowiednika Siergieja Ławrowa. Rozmowy miały dotyczyć możliwości zawarcia porozumienia pokojowego między oboma krajami.

Wcześniej, w styczniu tego roku, na Kremlu spotkali się już po raz 25. premier Japonii Shinzo Abe i prezydent Rosji Władimir Putin. Oczekiwano wtedy postępu w negocjacjach w sprawie Wysp Kurylskich (tzw. Kuryli Południowych, a według terminologii japońskiej Terytorium Północnego). To jednak nie nastąpiło. To właśnie spór o Wyspy Kurylskie sprawił, że Rosja i Japonia do tej pory nie podpisały traktatu pokojowego po II wojnie światowej. Japonia chce zwrotu czterech wysp, które Armia Czerwona zajęła wraz z całym archipelagiem latem 1945 roku, po kapitulacji Japonii. Jesienią 2016 roku oba kraje rozpoczęły konsultacje dotyczące intensyfikacji kontaktów państwowych na najwyższym szczeblu, mające służyć uregulowaniu spornych kwestii. W deklaracji z 1956 roku ZSRS zgodził się rozpatrzeć możliwość przekazania Japonii wysp Habomai i Shykotan po podpisaniu traktatu pokojowego.

Premier Abe chciałby osiągnąć porozumienie ramowe w sprawie traktatu pokojowego na spotkaniu z Putinem pod koniec czerwca tego roku na forum G-20 w Osace. Na razie jednak termin ten wydaje się mało prawdopodobny, co potwierdziło także spotkanie w Monachium. Po tych rozmowach Ławrow stwierdził, że nie ustalono żadnych ram czasowych dotyczących zawarcia porozumienia. Szef MSZ Rosji po raz kolejny też oświadczył, że Tokio powinno najpierw uznać rezultaty II wojny światowej oraz rosyjską suwerenność nad Kurylami Południowymi.

Wcześniej już kilka razy rosyjski minister spraw zagranicznych sugerował, że Japonia nie robi wystarczająco dużo, by stworzyć sprzyjającą atmosferę do zawarcia układu pokojowego i na przykład uczestniczy w zachodnich sankcjach oraz ściśle współpracuje z Waszyngtonem w kwestii obrony przeciwrakietowej (chodzi o japoński system obrony przeciwrakietowej, który ma chronić Kraj Kwitnącej Wiśni przed atakiem Korei Północnej i który wyposażony jest w rakiety Aegis SM-3 na okrętach oraz rakiety Patriot PAC-3 na lądzie, a także korzysta z amerykańskich systemów wykrywania). Moskwa niezadowolona jest także z tego, że do 2023 roku planowane jest rozmieszczenie w Japonii dwóch lądowych baz obrony przeciwrakietowej.

W trakcie spotkania z szefem japońskiego MSZ w Monachium Ławrow dorzucił także kwestię wycofania się USA z układu INF – o zakazie broni nuklearnej średniego zasięgu (od 500 do 5500 km), co umożliwia Stanom Zjednoczonym przeciwdziałanie chińskim zbrojeniom na Pacyfiku. Bardzo możliwe, że USA będą chciały rozmieścić takie rakiety w Japonii, Korei czy na Tajwanie.

W tej chwili do uregulowania stosunków z Rosją dąży premier Shinzo Abe, który obawia się rosnącej potęgi Chin. W jego przekonaniu zakończenie sporu z Rosją i zacieśnienie stosunków gospodarczych, politycznych i wojskowych mogłoby powstrzymać dalsze zbliżenie Moskwy z Pekinem. Abe próbuje także zaspokoić swoje ambicje – chce przejść do historii jako polityk, który nie tylko podpisał traktat pokojowy z Rosją, lecz także uzyskał zwrot części spornego terytorium. ■

eprasa.pl d14e7ac149

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

„Dzikie gęsi" czy „Psy wojny"?

Centrum „Dossier" Michaiła Chodorkowskiego przedstawiło wyniki śledztwa w sprawie śmierci rosyjskich dziennikarzy w Republice Środkowoafrykańskiej kręcących film o tamtejszej działalności „CzWK Wagnera". W Sudanie natomiast rosyjscy najemnicy pomagają tłumić protesty przeciwko prezydentowi, a w Libii ochraniają składy i złoża ropy oraz bronią głównego polowego komendanta. W ciągu ostatniego roku doniesienia o pojawieniu się mówiących po rosyjsku ludzi z bronią automatyczną w ręku nadchodziły z kilkunastu krajów Afryki. Kim są, czy jest ich wielu i dlaczego świat zwrócił na nich uwagę właśnie teraz? Na te pytania próbuje odpowiedzieć Aleksander Gostiew w artykule zamieszczonym 10 stycznia 2019 roku na stronie Radia Swoboda.

eprasa.pl d14e7ac149

W stolicy Sudanu Chartumie, gdzie trwają protesty przeciwko rządowi autorytarnego prezydenta Omara al-Baszira, znajdują się najemnicy prywatnych spółek wojskowych z Rosji. Jak informowały „The Times" i portal Defence Blog, powołujące się na przedstawicieli sudańskiej opozycji, po ulicach Chartumu transporterami rosyjskiej produkcji przemieszczają się uzbrojeni ludzie w mundurach, mówiący po rosyjsku. Już wcześniej pojawiały się doniesienia, że w Sudanie działają najemnicy tzw. prywatnej spółki wojskowej Wagnera, związanej z bliskim Putinowi miliarderem Jewgienijem Prigożinem. Zachodni dziennikarze również łączą obecność uzbrojonych Rosjan w Sudanie z wyraźnie zwiększoną aktywnością Rosji w Afryce, szczególnie w takich krajach, jak Libia, Madagaskar, Republika Środkowoafrykańska, Kongo i Nigeria. 10 stycznia komisja wyborcza Demokratycznej Republiki Kongo (były Zair lub Kongo-Kinszasa) ogłosiła kandydata opozycji Felixa Tshisekediego zwycięzcą przeprowadzonych 30 grudnia wyborów prezydenckich. Kandydat partii rządzącej zajął dopiero trzecie miejsce, mimo poparcia Moskwy. Odchodzący prezydent Joseph Kabila, rządzący przez 18 lat, chciał widzieć swojego następcę w byłym ministrze spraw wewnętrznych Emmanuelu Ramazanim Hadarim, ale ten dostał zaledwie około 4,5 mln głosów, podczas gdy na Tshisekediego głosowało ponad 7 mln obywateli. W listopadzie agencja Bloomberg opublikowała wyniki własnego śledztwa o udziale w wyborach w Kongo struktur Prigożina. Jak zapewniali autorzy artykułu w Bloomberg, Moskwa wspierała w wyborach kandydata władzy.

▶ Rosyjskie interesy w Afryce

Przez ostatnie kilka lat Prigożin stara się poszerzyć wpływy Kremla na całą Afrykę – twierdzi Bloomberg – a jego ludzie pracują już w 10–15 afrykańskich krajach, w pierwszej kolejności w Republice Środkowoafrykańskiej i Libii, a także w Północnym i Południowym Sudanie, na Madagaskarze, w Angoli, Gwinei, Gwinei-Bissau, Mozambiku, Zimbabwe i Demokratycznej Republice Kongo. Kreml zwrócił uwagę na Afrykę jako bogaty w surowce kontynent, gdzie uzyskanie wpływów mogłoby częściowo zrekompensować niedostatek finansowych i innych zasobów w globalnej rywalizacji Rosji z Zachodem. Chodzi szczególnie o wydobycie w afrykańskich krajach surowców mineralnych i dostawy na ten rynek rosyjskiego uzbrojenia. W 2019 roku w Rosji ma się odbyć pierwszy szczyt Rosja–Afryka z udziałem przywódców około 50 afrykańskich krajów.

Nie tak dawno amerykański „The Washington Times" i brytyjski tabloid „The Sun" pisały o rosyjskim zamiarze wzmocnienia swojej wojskowej obecności w Libii. „The Sun" zapewniał, że dziesiątki agentów GRU i oddziały rosyjskiego specnazu już znajdują się na śródziemnomorskim wybrzeżu Libii, w Tobruku i Bengazi, korzystając właśnie z pomocy bojowników Kompanii Wagnera. Stałe kontakty Moskwy z przywódcą tzw. Narodowej Armii Libijskiej, marszałkiem polowym Chalifą Haftarem, którego na Zachodzie uważają za najbardziej wpływowego polowego komendanta, na tyle się umocniły, że USA i NATO na poważnie zaczynają obawiać się pojawienia się rosyjskich morskich i powietrznych baz na terytorium Libii, od 2011 roku podzielonej przez wojnę domową.

I wreszcie, 10 stycznia centrum „Dossier" Michaiła Chodorkowskiego przedstawiło wyniki własnego śledztwa w sprawie śmierci w Republice Środkowoafrykańskiej 30 lipca 2018 roku rosyjskich dziennikarzy Orhana Dżemala, Aleksandra Rastorgujewa i Kiryłła Radczenki. Przylecieli do RŚA, żeby nakręcić film dokumentalny o działalności w tym kraju Kompanii Wagnera. Dziennikarze „Dossier" twierdzą, że grupa reporterów od początku pobytu w RŚA była śledzona, a zabójstwa nie dokonano na tle rabunkowym, jak uważają na przykład rosyjscy śledczy, a było ono zaplanowaną operacją, za którą stali związani z Kremlem ludzie. W dniu, w którym to ujawniono (10 stycznia), okazało się, że Rosja może zbudować w Republice Środkowoafrykańskiej swoją oficjalną wojskową bazę. Przewiduje to podpisana wcześniej umowa o współpracy wojskowej RŚA i Moskwy – oznajmiła w wywiadzie dla RIA Nowosti minister obrony Republiki Środkowoafrykańskiej Marie-Noele Koyara. Międzyrządowa umowa o współpracy wojskowej między Rosją a RŚA była podpisana w sierpniu 2018 roku. Następnie w mieście Berengo utworzono centrum szkolenia środkowoafrykańskich wojskowych: rosyjscy instruktorzy uczą ich obchodzenia się z bronią i metod prowadzenia walki. Szef sztabu generalnego RŚA przyjeżdżał do Rosji na szkolenie.

▶ Prywatne spółki wojskowe

Jak odróżnić prostego najemnika do bojownika prywatnej spółki wojskowej, a obu ich – od oficjalnie wynajętego przez rząd jakiegoś państwa zagranicznego wojskowego specjalisty? Profesjonalne usługi związane z udziałem

eprasa.pl d14e7ac149

w konfliktach zbrojnych, ochroną i obroną, zbieraniem danych wywiadowczych, wojskowym planowaniem, logistyką i konsultowaniem zapewniają setki odpowiednich spółek i Rosja nie jest tu wyjątkiem. Pierwsza we współczesnym rozumieniu prywatna spółka wojskowa Watchguard International została zarejestrowana w 1967 roku w Wielkiej Brytanii, założył ją pułkownik brytyjskiej armii David Sterling, wcześniej organizujący SAS – uważaną do dziś za wzorzec wojskowego profesjonalizmu brytyjską specjalną jednostkę wywiadowczo-dywersyjną. Jeśli w XX wieku z usług najemników i prywatnych spółek wojskowych korzystały głównie rządy i dowódcy różnych buntowników, partyzantów i powstańców na całym świecie, to od początku nowego wieku ich usługami zaczęły się interesować wielkie międzynarodowe korporacje i organizacje (na przykład jedna z największych i najbardziej znanych amerykańskich spółek najemniczych DynCorp została podwykonawcą ONZ w Afganistanie i Iraku). Według danych „The Economist" w pierwszej dekadzie XXI wieku globalny rynek najemników z niedużej wyspecjalizowanej niszy przekształcił się w globalny sektor usług z obrotami ponad 100 mld dolarów rocznie.

Prywatne spółki wojskowe dość dawno temu pojawiły się też w Rosji, acz sam skrót CzWK [od rosyjskich słów „prywatna spółka wojskowa" – przyp. tłum.] stał się ogólnie znany po wybuchu wojen w Syrii i na Ukrainie, ingerencji w nie Moskwy i popularyzacji zbitki słów „Grupa Wagnera" – nazwy nieoficjalnej zbrojnej formacji, od jakiegoś momentu uznanej przez dziennikarzy za prywatną spółkę wojskową, co w istocie nie jest w stu procentach poprawne. Grupa ta działa na terytorium Ukrainy, w potem Syrii od 2014 roku, a teraz jej ludzie pojawili się w Afryce. W czerwcu 2017 roku CzWK Wagnera trafiła na listę sankcji USA, co w pewien sposób zalegalizowało tę nazwę, ponieważ Amerykanie nazwali tę grupę „Private Military Company (PMC) Wagner". Istnieniu prywatnych wojskowych spółek w Rosji Kreml oficjalnie zaprzecza. Jednak Putin, komentując problem CzWK na swojej ostatniej wielkiej konferencji prasowej, oznajmił, że takie spółki „mają prawo działać i rozwijać swoje interesy biznesowe w dowolnym punkcie planety", jeśli nie naruszają rosyjskiego prawa.

O prywatnej i niejawnej obecności wojskowej Rosjan w Afryce na komercyjnych zasadach w wywiadzie dla RADIA SWOBODA opowiada znawca tematu i kontynentu, żyjący w stolicy Senegalu Dakarze SIERGIEJ JELIEDINOW:

▶ W ostatnim roku, szczególnie po zamordowaniu w RŚA grupy dziennikarskiej Chodorkowskiego, o rosyjskich najemnikach w różnych krajach Afryki mówić zaczęto bardzo dużo, traktując to niemal jak sensację. Rosjanie w Afryce pojawili się niedawno?

Tak naprawdę rosyjscy czy też sowieccy wojskowi byli w Afryce od końca lat 50. XX wieku i nigdzie stąd nie odchodzili. Jeśli przy Związku Sowieckim była to tylko służba ojczyźnie, to już po rozpadzie ZSRS rosyjscy wojskowi specjaliści, a także ludzie z innych republik postsowieckich w Afryce zaczęli pracować dla siebie.

▶ Kiedy mówimy o najemnikach czy też pracownikach CzWK z Rosji, jak ich rozróżniać?

Jeśli chodzi o termin „najemnik", to, mówiąc generalnie, nie jest to obywatel danego kraju, który z bronią w ręku uczestniczy w walkach. Dlatego faktów obecności takich bojowników w Afryce jest bardzo mało. Jeśli mówimy o prywatnych spółkach wojskowych jak o formalnie istniejącej strukturze, takich bojowników może być niewielu. Jeśli zaś chodzi o jakąś grupę ludzi, którzy wykorzystują te czy inne legalne formy i schematy, aby zajmować się wojskowym doradztwem lub doradztwem odnośnie bezpieczeństwa i minimalizacji ryzyka, to oni się tu znajdują. W Afryce są takie rosyjskie spółki, są też tacy ludzie z Rosji i ogólnie byłego Związku Sowieckiego, którzy znajdują się tutaj od dawna. W ostatnim czasie to ogólna tendencja epoki wojen hybrydowych, dlatego wszyscy zaczęli o nich mówić. Wszak korzystanie z takich ludzi za granicą jest wygodniejsze niż obecność oficjalnych wojskowych – to nie wywołuje w społeczeństwie tego niezadowolenia, które może się pojawić w momencie użycia regularnych sił zbrojnych. Straty wśród „prywatnych wojskowych specjalistów" nie są uwzględniane w oficjalnych statystykach, ich działalności nie przeszkadza zwykła wojskowo-sztabowa biurokracja. I generalnie u takich żołnierzy i oficerów jest zwykle dużo

eprasa.pl d14e7ac149

większe praktyczne doświadczenie i wysoki profesjonalizm niż w regularnych jednostkach sił zbrojnych tego czy innego państwa.

▶ Wątpliwe jednak w przypadku Afryki, gdy mówimy o „rosyjskich najemnikach" czy też „wojskowych specjalistach", by zawsze chodziło tylko o ludzi tzw. CzWK Wagnera. Po prostu właśnie o tej grupie stało się teraz głośno i zmieniła się ona w rodzaj uniwersalnego stracha na wróble. W rzeczywistości takich spółek, grup, formacji, mówię o tych rosyjskich, na pewno jest w Afryce bardzo dużo.

Zdecydowanie tak, jest ich dużo, tylko ta „CzWK Wagnera" stała się takim diabłem, wszyscy o niej mówią. Dam taki przykład: jestem byłym doświadczonym oficerem i proponują mi jechać do pracy z jakąś spółką w Afryce, na stanowisko zastępcy dyrektora do spraw bezpieczeństwa. Wtedy przygotowuję swój program pracy, w którym formułuję jakiś model możliwych zagrożeń. Następnie szukam znajomych, z którymi służyłem i pracowałem, swoimi sposobami znajduję jakichś ludzi, którzy, jak zakładam, będą mi przydatni w załóżmy rozminowywaniu, ochronie terenu, ochronie fizycznej. Proponuję im pracę, oni się zgadzają i wszyscy wyjeżdżamy do Afryki. Zakładałem do tego prywatną spółkę wojskową? [...]

▶ Gdzie dokładniej byli odnotowani ci, których nazywamy potocznie „rosyjskimi najemnikami", w jakich państwach Afryki? Słyszałem o RŚA, Libii, Sudanie, Kongo, Angoli, Etiopii i Gwinei. W sumie w tym kontekście wymieniano 16 afrykańskich krajów.

Może jest ich więcej, a może mniej. W każdym kraju, gdzie jest poważny rosyjski biznes, taka struktura zdecydowanie powinna być. Możemy wtedy mówić z pewnością jeszcze o Zimbabwe i Mozambiku. Jeśli nie, to znaczy, że biznesmeni tam przyszli, wyrzucili po prostu pieniądze w błoto. Takie w tych krajach realia. [...]

▶ Biali najemnicy w Afryce, najemnicy europejskiego pochodzenia – to gruby rozdział historii, nakręcono o nich dziesiątki filmów, napisano setki książek [...]. Czy tak jak kiedyś, tych nieznanych białych ludzi z automatami boją się na przykład miejscowe rządy? Nawet te, które biorą ich na służbę?

Wszystkie afrykańskie rządy się ich boją. Jak w znanej książce Fredericka Forsytha „Psy wojny", właśnie jak takich dużych i bardzo groźnych psów [...]. Ale jeśli oni znajdują się w danym państwie, to znaczy, że oni odpowiadają jego rządowi, tym strukturom, które kontrolują sytuację w kraju. Jeśli zaś chodzi o miejscową afrykańską ludność, to ona zawsze cieszy się z obecności jakichś białych ludzi, którzy mają pieniądze i mogą je wydać na ich towary i usługi. Co więcej, jeśli to jacyś biali uzbrojeni ludzie, to oni w jakiś sposób gwarantują bezpieczeństwo wszystkim otaczającym ich bandom i grabieżcom. Jednak jest kilka „ale". Po pierwsze, są dobrzy tylko do tego momentu, gdy sam rząd nakazuje tym białym cudzoziemcom rozprawić się z jakimiś niezadowolonymi. Po drugie, są potwierdzone przypadki przestępstw popełnionych przez francuskich żołnierzy lub kontyngenty sił pokojowych ONZ w niektórych krajach Afryki. Rabują, gwałcą i podejście do nich zaczęło się zmieniać – białych zaczęto postrzegać znów jak watahy kondotierów i landsknechtów, z którymi lepiej się nie spotkać. [...]

▶ Skoro już mówimy o najemnikach w historii i sztuce – przypomina się jeszcze stary znany film „Dzikie gęsi", którego główni bohaterowie dużo filozofują w przerwach między walkami. I dochodzą zawsze do tego samego wniosku – że choć to brudna robota i dostają za nią krwawe pieniądze, to i tak kochają Afrykę. Bo jej się nie da nie kochać. To prawda?

Tak! Afryka – w niej jest magia, ona przyciąga. Bez gorącej miłości do Afryki nie da się tu żyć, mieszkać, pracować. Ale nie bądźmy naiwnymi romantykami. Za tym wszystkim stoją ogromne pieniądze, potężne korporacje, cyniczne rządy. Ludzie może kochają swoją robotę i „miejsce pracy", ale przy tym wszystkim dostają za nią dobre pieniądze, proporcjonalnie do ryzyka, a te pieniądze są dla nich najważniejsze.

▶ O jakich kwotach mowa, zaczynając od minimalnej płacy?

Dużych, według naszej miary. Najniższy miesięczny żołd dla najniżej stojącego w hierarchii wojskowego białego specjalisty w Afryce zaczyna się od 3,5 tys. euro miesięcznie. Dalej sumy tylko rosną. Wszystko zależy od konkretnych kwalifikacji, niebezpieczeństwa pracy i gotowości, by stanąć twarzą w twarz z tym niebezpieczeństwem. ■

_____

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl d14e7ac149

Marcin Wolski

Prawda czasu, prawda propagandy

W bardzo wielu powieściach fantastycznych pisanych w dobie komunizmu powracał motyw odkrywania świata. Młodzi ludzie chronieni przez rodzinę, indoktrynowani przez szkołę, dorastając, zaczynają dowiadywać się prawdy o tym najlepszym z możliwych światów. Wydawać się mogło, że gdy wreszcie kłamstwa runą, imperium zła się rozpadnie, otoczy nas prawda i tylko prawda. „Z PRL-u wracamy do Polski" – obwieścił Jan Pietrzak i Polacy bardzo chcieli, żeby tak było. Wygrała „Solidarność", z nami był papież, mieliśmy swoich reprezentantów sprawdzonych w więzieniach i w konspirze, a wszystkiemu przewodził niezłomny elektryk, laureat Nagrody Nobla i niezliczonej liczby doktoratów. I Polacy uwierzyli w tę bajkę. Niektórzy nawet wierzą do dziś. Propaganda komunistyczna miała osiem lat, aby ich do tego przygotować. Upierała się na przykład, żeby przy Okrągłym Stole nie zasiedli Kuroń i Michnik. Tak później użyteczni dla ochrony komunistów. Wylansowała właściwych ludzi na właściwe miejsca. Z czasem sielsko-anielski obraz zaczął pryskać. „Gazeta Wyborcza" nigdy nie stała się rzecznikiem związku, którego znaczek nosiła. Jedność Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego zaczęła pękać. Między Wałęsą a Mazowieckim wybuchła wojna na górze. Ale jednocześnie bezkarnie płonęły akta esbeckie i uwłaszczała się nomenklatura. Konflikt między solidaruchami a postkomuną zaczął ustępować podziałom wewnętrznym – początkowo skrywanym i niezbyt zrozumiałym, z czasem silniejszym. Naiwnym wydawało się, że w tym konflikcie Wałęsa oprze się na siłach, które wsparły go w wyborach przeciw Salonowi. Niestety, szybko okazało się, że prezydentowi bliżej jest do Bronisława Geremka niż braci Kaczyńskich. Może zdziwienie byłoby mniejsze, gdybyśmy znali teczki Kiszczaka. W każdym razie wymuszone powołanie rządu przełomu na czele z Janem Olszewskim było dla Wałęsy jedynie mniejszym złem, i to krótko. Wymieniając dotychczasowych doradców, otoczył się miernotami i tajnymi współpracownikami. Obalił rząd Olszewskiego, ale nie miał żadnego planu B. Dwa wielkie błędy. Rozwiązanie Sejmu pierwszej kadencji i podpisanie ordynacji proporcjonalnej z wysokim progiem wyborczym skończyło się powrotem postkomuny. Czy mogło być inaczej w obliczu sojuszu funkcjonariuszy byłego reżimu z liderami „lewicy laickiej"? Solidarnościowa część społeczeństwa nie miała dość sił, aby się przeciwstawić. Nie miała własnych mediów, straciła ostatnie przyczółki w telewizji. Ich przywódcom skłóconym i podzielonym (czego żywą ilustracją był konwent św. Katarzyny) oficjalna propaganda przyklejała łatki oszołomów, awanturników, pieniaczy. Czy była alternatywa (nie literacka – sam napisałem o tym parę książek, w tym „Cud nad Wisłą), lecz realna? Czy też społeczeństwo musiało odrobić tę żmudną lekcję przez kolejne dekady? Zaznać dobrodziejstw planu Balcerowicza, wyprzedaży i zatraty majątku narodowego, komercjalizacji mediów, splugawienia języka, tryumfu łże-elit i psudoautorytetów. Nieliczni przywódcy i wizjonerzy, tacy jak Jan Olszewski, Jarosław Kaczyński czy Antonii Macierewicz, mieli oczywiście gotowy plan Polski lepszej, silniejszej, bardziej solidarnej, pytanie jednak brzmi, czy Polska po traumie zniewolenia, Polska zbiedniała, spsiała, znieprawiona, była na to gotowa? ■

NIELICZNI PRZYWÓDCY I WIZJONERZY, TACY JAK JAN OLSZEWSKI, JAROSŁAW KACZYŃSKI CZY ANTONII MACIEREWICZ, MIELI GOTOWY PLAN POLSKI LEPSZEJ, SILNIEJSZEJ, BARDZIEJ SOLIDARNEJ, PYTANIE, CZY POLSKA PO TRAUMIE ZNIEWOLENIA, POLSKA ZBIEDNIAŁA, SPSIAŁA, ZNIEPRAWIONA, BYŁA NA TO GOTOWA?

eprasa.pl d14e7ac149

WOLNE MEDIA - WOLNA POLSKA!

STOP CENZURZE W INTERNECIE

Celem działania naszej Fundacji jest walka o wolną Polskę poprzez wspieranie niezależnych mediów.
Dzięki pomocy ludzi, dla których ważna jest Polska - niezależni dziennikarze mogą pisać prawdę.

DANE DO PRZELEWU W POLSCE
FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA, ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Bank Pekao SA, Nr konta: 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
TYTUŁEM: DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI NIEZALEŻNE MEDIA

DANE DO PRZELEWU Z ZAGRANICY
FUNDACJA NIEZALEZNE MEDIA,
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa, POLAND
Bank Pekao SA, ul.Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa
NUMER KONTA - PL 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
SWIFT CODE – PKOP PL PW
TYTUŁEM: AS A DONATION FOR „FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA"

Wspomóż naszą Fundację nawet skromnym datkiem

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

eprasa.pl d14e7ac149